

Truciciele

Jan Dobraczyński



calibre 0.9.27

Jan Dobraczyński

Truciele

*„Cała nasza planeta, ze wszystkim
co na niej jest, bez tego Człowieka byłaby
czymś obłąkańczym”.*

T. Dostojewski „Biesy”

*„Powiedział o kimś: »Ten człowiek
dojdzie daleko. On wierzy w siebie«.*

Pamiętam, że

w tej

właśnie

chwili

podniosłem głowę i zobaczyłem omnibus, na

którym

było

napisane

»Hanwell«.

Powiedziałem: »Czy chcesz, abym ci

powiedział, gdzie są ludzie, którzy tak

bardzo wierzą w siebie? Mogę ci to

powiedzieć. Mogę cię zaprowadzić do tronu

nadludzi... «”

G. K. Chesterton „Orthodoxy”

Część pierwsza

Wyszedł na taras i spojrzał w dół: fiord leżał u jego stóp. Ciemna, połyskliwa tafla wpuszczona niby kamień w oprawę w półkoliste ramy urwisk, opadających prostopadle w wodę. Od skał pokrytych mchem padał na wodę zimny, zielonkawy refleks. Przez jakby zastygłą, barwy oksydowanej stali powierzchnię fiordu sunął, zda się bardzo wolno, prom, zostawiając za sobą rozchodzące się wachlarzowato smugi piany. Po przeciwnej stronie zatoki skalne ściany zachodziły na siebie, tworząc kręty korytarz. Tamtędy wiodła droga na otwarte morze.

Z rękami w kieszeniach, z fajką w zębach zeszedł na wysypaną żwirem aleję. Wzrok jego sunął po mechatych liściach kwiatów posadzonych na rabatce wzdłuż ścieżki.

Przypominała mu się wczorajsza rozmowa z Nielsenem. Ogrodnik stał na zakręcie ścieżki w swym kwiecistym fartuchu i patrząc na grządkę, kłopotliwie drapał się za uchem. Gdy Andrzej zatrzymał się obok niego, Nielsen bez słowa wskazał ręką na kwiaty. Wybijały dziwnie. Wydawały się większe niż kiedykolwiek, ale w swym ogromie utraciły cały wdzięk: stały się odrażające niby otyłe ciało ludzkie. Liście obwisły i leżały na ziemi, łodyga ugięła się, niezdolna podźwignąć rozwartego szeroko kielicha. Wczoraj rozkwitłe, dzisiaj zwiędły i opadły. Leżały podobne dogorywającym motylom. Karen, wnuczka Nielsena, przykucnąwszy wyrywała je jeden za drugim i rzucała za siebie na ścieżkę. Odruchowo zatrzymał wzrok na jej ładnych, opalonych nogach. Dopiero po chwili skierował wzrok w inną stronę. Był jak stary myśliwski pies, który poczuł zapach lasu, ale po chwili rzuca wywieszony trop, by wrócić do swej miski.

Minął taras, schodził wyciętymi w urwistym zboczu schodkami – Fiord w dole podsuwał się pod same stopy. Tutaj nic się nie zmieniło od czasu, gdy zamieszkał w Stagnes. Może tylko częściej widywało się teraz prom, przecinający wody fiordu, a na niebie srebrną

ważkę samolotu.

– Helle! – zawołał. – Helle! Jedziesz czy nie jedziesz?

– Naturalnie, że jadę! – usłyszał. – Idę.

Kobieta zbiegła schodami prowadzącymi od tylnej strony domu. Miała szczupłą sylwetkę, która pozwalała na noszenie białych spodni i białego swetra. Biegąc szybko, przyciskała dłoń do piersi, aby przytrzymać rozbujany wisiołek. W drugiej ręce, uniesionej w górę, trzymała plastikowy koszyczek na zakupy i barwną chusteczkę. Bardzo jasne włosy rozwiewały się nad głową.

Mimo smukłej figury nie była dziewczyną ani nawet młodą kobietą. Gdy zatrzymała się przy nim, lekko zadyszana, widać było, że jej opalona twarz jest pocięta zmarszczkami, a w zarysie podbródka i szyi można było dostrzec znamiona przeżytych lat.

– Jedziemy? – powtórzył swoje zapytanie.

– Chyba nie czekałeś?

– Nie. Myślałem tylko, że może nie masz ochoty. Dzień taki duszny.

Potrząsnęła złotymi włosami.

– Dzień nigdy nie jest zły, gdy możemy jechać razem.

Zaśmiał się zakłopotany. Jej słowa brzmiały szczerze i naturalnie. Nie było w nich cienia afektacji. On jednak nie był prosty jak ona.

Zeszli ku stojącemu pod zboczem garażowi. Ledwo uwolnione z napięcia lekkie drzwi uniosły się, odsłaniając białe volvo. Siadł za kierownicą, włączył motor. Auto cicho wysunęło się z garażu. Zjechał w dół do bramy, a potem jeszcze kilkadziesiąt metrów boczną drogą.

Aby wydostać się na szosę, musiał wyczekać sposobnej chwili: nie było rzeczą łatwą włączyć się w nieprzerwany sznur mknących samochodów. Ruch był ogromny. Auta sunęły za autami, różnego typu, rozmaitego wieku. Nad szosą unosił się zapach spalin.

Kiedy wreszcie znaleźli się w sznurze wozów, jazda stała się wolna i wymagała wielkiej uwagi.

– Do licha, co za ruch! – klął gniewnie. – Jeszcze większy niż zwykle.

– Tak myślisz?

Miał czasami uczucie, że Helle wielu rzeczy nie dostrzega. Tak inaczej patrzyli na życie: jemu świat zewnętrzny kształtował wnętrze, ona sprawami wnętrza wyznaczała zakres spraw zewnętrznych.

– Poszaleli z tą turystyką! – ciągnął z irytacją, raz po raz naciskając hamulec.

– To nie tylko turystyka – powiedziała. – Ludzie przenoszą się tutaj na stałe.

Wykupiono w Goele wiele domów. Budują także nowe.

– Zupełna wariacja!

Ostatni jeździł rzadko do miasteczka nad fiordem. Nie miał tam żadnych interesów.

Telefon mieli w domu, pocztę przywoził codziennie listonosz. Helle natomiast bywała w mieście często dla zrobienia zakupów, a także w sprawach mleczarni. On, jeżeli wyjeżdżał, to raczej na drugą stronę łańcucha górskiego, nad małą, zawsze pustą zatoczkę. Miał tam wynajętą niezamieszkaną chatę. W pobliżu był potok z rybami. Kilka dni zupełnej samotności zawsze robiło mu dobrze. Czasami jechał jeszcze dalej, do wsi Heia, gdzie znajdował się stary drewniany kościółek z przełamanym dachem i sterczącymi drewnianymi rynnami w kształcie smoczych głów. Jechał tam, aby pisać albo zabierał ze sobą sztalugi i farby. Obudziły się w nim spóźnione zamiłowania malarskie. Nie były to wielkie umiejętności – nie miał co do tego żadnych złudzeń – traktował to malowanie jedynie jako miłą rozrywkę. Jego obrazki Helle rozwieszała na ścianach dworu w Stagnes, kilką poszło między sąsiadów, którzy zjeżdżali się każdej soboty na brydża. Karty, rybołówstwo, wędrówki – samotne lub z Helle – pisanie, malowanie, czytanie – czy to nie był wymarzony tryb życia dla człowieka, który się

uznał za skończonego?

Czy naprawdę był człowiekiem skończonym? W duchu nie czuł się takim. Uważał się jedynie za rozsądnego, który wyznaczył sam sobie kres wysiłku. Nie mógł narzekać na ubiegłe lata. Były bujne. Przyniosły mu wiele. Jeśli nawet jego twórczość nie zdobyła światowego rozgłosu, miała swoje okresy dużego, a nawet bardzo dużego powodzenia.

Zyskał sobie liczne grono wielbicieli. Cokolwiek byłby teraz napisał – zawsze mógł liczyć na odbiór. Kiedyś twórczość pochłaniała go. Pisał, wkładając w to całego siebie. Przyszła jednak chwila, że poczuł się tym zmęczony. Pojął, że można pisać bez tego wyczerpującego napięcia.

W Stagnes otoczyły go spokój i wygoda. Mógł pisać – gdy chciał; mógł ograniczyć się do marzeń, nie pragnąc, aby te marzenia stały się koniecznością. Mógł przekonywać siebie, że ciągle szuka, chociaż naprawdę niczego już nie szukał.

Liczba aut na szosie wydawała się niezliczona. Niektóre jechały obładowane nawet na zewnątrz walizkami i pakunkami. Wyglądało to na prawdziwy exodus, na paniczną ucieczkę, jak uciekali kiedyś ludzie przed nadciągającą wojną.

Krajobraz utracił już jaskrawą żywość barw letnich. Zieleń zszarzała, góry – w miarę jak jechali w dół – zaciągał fiolet. Trawa na zboczach nabrała rudawych tonów. Droga pełna była zakrętów. Za każdym z nich otwierał się nowy widok na fiord. Morze w dole wydawało się całkiem czarne. Ale nie sposób było patrzeć na otwierające się widoki, gdyż jazda w sznurze samochodów wymagała nieustannej uwagi.

– Nie, to już zupełnie nieznośne! – krzyknął z gniewem, gdy na jakimś zakręcie musiał gwałtownie hamować, a jednocześnie rzucić auto w bok, aby uniknąć uderzenia z tyłu.

– Prasa zapewnia, że u nas jest o wiele mniej wypadków niż na kontynencie. Jeżeli tak pójdzie, prędko dogonimy innych!

Gdy hamował, kobieta oparła się dłonią o tablicę rozdzielczą. Znał dobrze tę dłoń –

małą, wysportowaną, zręczną w każdej pracy. Bardziej przypominającą dłoń chłopca niż kobiety. Może to siła i spokój tych dłoni sprawiły, że postanowił się im powierzyć?

Za ostatnim wirażem znaleźli się wreszcie między domami osady. Były to niskie, drewniane domki, wyglądające jak nowe dzięki ciągłemu pociąganiu ścian świeżą farbą. Ale na zboczu wznosiły się także kilkupiętrowe kamienice. Wyrósł wśród nich wspaniały, połyskujący szybami i chromem hotel. Budowano także nowe domy. Nad wznoszącymi się murami pochylały się dźwigi niby monstrualne ptaki nad swymi gniazdami. Tak – Helle miała rację: spokojna, cicha osada rozbudowywała się z wielką szybkością.

– Dlaczego oni tak się tu pchają? – denerwował się.

– Podobno powietrze u nas jest mniej skażone niż w całej Europie.

– Przecież cała Europa nie może się tutaj przenieść! Zresztą, gdyby się przeniosła...

Co oni tu będą robili? Ci ludzie przywożą ze sobą tysiące wymagań. Kto je zaspokoi?

– Myślę, że masz rację. Oni nie potrafią żyć bez niezliczonych towarów i bez ciągłych nowości...

– Dodaj: bez hałasu i bez śmiecenia. Bez niszczenia i zatruwania wszystkiego! To, co było nam potrzebne, mieliśmy dowiezione. Teraz zacznie się budowa fabryk, warsztatów...

– Owszem, już się o tym mówi. Słyszałam w zarządzie miejskim, że planuje się sprowadzenie obcych robotników...

– Przyjdzie taka chwila, że trzeba będzie stąd uciekać! A ja myślałem, że będę mieć spokój!

Położyła dłoń na jego dłoni, dygoczącej gniewnie na kole kierownicy.

– Nie denerwuj się – powiedziała. – Na naszej górze nie zabraknie ci spokoju. Ja ci to obiecuję.

Chciał powiedzieć: „Czy można będzie mówić o spokoju, gdy osadę w dole spowije

brudny smog, kiedy rozryczą się maszyny i zacnie niekończąca się nigdy przebudowa dróg?”

Ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem tych słów. To prawda – mógł stąd uciec.

Pozostał wolnym ptakiem. Nikt go nie potrzebował, on zaś nie czuł się zobowiązany wobec kogokolwiek. Mógł iść szukać sobie lepszego spokoju. Tylko gdzie by poszedł?

I gdziekolwiek by poszedł, musiałby tam iść sam. Helle, mimo swoich uczuć dla niego, nie odeszłaby nigdy od swego dworu, od swej mleczarni. To był jej świat, bez którego chyba nie byłaby sobą. Może spokój, który emanował z Helle, w niej samej wyrastał z tutejszej gleby?

A ich rozstania nie wyobrażał już sobie. Przez ostatnie lata nawykł do spokoju, jaki dawało Stagnes. Gdyby odszedł – czuł – musiałby wrócić do tego co dawniej gorączkowego szukania. Czy nie było lepiej pozostać jedynie poszukiwaczem w marzeniach, a w życiu powierzyć się spokojowi? Może zresztą niepotrzebnie się martwię! – myślał. Ten drażniący proces posuwa się wprawdzie szybko, ale i czas biegnie. Zanim życie w Stagnes stanie się niemożliwe do zniesienia, miną lata. Gdy się skończyło sześćdziesiątkę, nie ma co myśleć kategoriami lat. Zresztą Helle obiecała, że zrobi wszystko, aby zapewnić mi spokój; a ona nie rzuca słów na wiatr.

Wjechali w uliczki miasta. Jeszcze niedawno nie trzeba się było zastanawiać, gdzie zaparkować wóz. Teraz wszędzie przy chodnikach stały auta. Nie było mowy, aby znaleźć miejsce przy budynku poczty. Dopiero dalej, w bocznej uliczce, udało mu się wkręcić wóz między dwa inne.

Idź, dowiedz się o ten list – powiedziała. – Ja tymczasem skoczę, załatwię sprawunki.

Za pół godziny spotkamy się w cukierni obok muzeum, zgoda?

Kiwnął głową. Centrum miasteczka stanowił placik noszący nazwę Czerwonego

Krzyża, utworzony przed laty po usunięciu starych zabudowań. W środku placu, nad fontanną bijącą w baseniku z wodą, stała ciężka figura kobiety trzymającej dziecko w uniesionych nad

głową rękach. Basen początkowo otaczały trawniki i kwietniki. Ale rok za rokiem powierzchnia trawników musiała być zmniejszana, aby stworzyć miejsce na parking. Obecnie auta zajęły już całą przestrzeń aż po cembrowinę basenu. Figura była skryta za ścianą kolorowych karoserii.

Plac otaczały nowoczesne, duże kamienice. Jedną z nich stanowił wspaniale zaopatrzonej dom towarowy. Na parterze znajdowała się cukiernia, a przed nią taras. Stały na nim stoliki pod kolorowymi parasolami. Tam gdzie się kończył taras, w samym kącie placu, ledwo widoczny napis mówił o znajdującym się obok Muzeum Czerwonego Krzyża. Niegdyś muzeum było najważniejszym miejscem na placu i to ono nadało mu nazwę. Dziś wtłoczone w zastawiony autami kąt stało się instytucją zupełnie nieznaną. Nikt tam nie zachodził, nikt o muzeum nie pamiętał. W kilku małych pokojkach w półciemnych gablotach znajdowały się nie interesujące już nikogo pamiątki z wojny z lat 1939-1945. Kurz pokrywał manekiny ubrane w zapomnianego kroju mundury, żółkły na ścianach fotografie, czerniała pokryta patyną czasu broń, rozkruszyły się wydobyte z ziemi drobne przedmioty, znalezione niegdyś przy zabitych żołnierzach. Muzeum pilnował stary, siwy kustosz. Był tu wszystkim – dyrektorem, kasjerem, woźnym. Godzinami wystawał przy drzwiach, oczekując zwiedzających. W końcu zniechęcony zamykał muzeum i szedł do domu. W zarządzie miejskim mówiło się, że czekają z likwidacją muzeum na śmierć kustosza.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się poczta. Nowoczesny budynek połyskiwał szklanymi ścianami. Wydawał się wielkim, przezroczystym pudełkiem. Za błyszczącą ladą pracowały jasnowłose urzędniczki.

Podszedł do ostatniego okienka, nad którym wisiał napis „Kierownik”. Siedziała przy nim również jasnowłosa kobieta. Była zamyślona, miała głowę schyloną, opartą na rękę. Nie zauważyła go. Chrząknął:

– Pani Hansen? Przepraszam...

Natychmiast podniosła głowę, a wierzchem dłoni przesunęła szybko po powiekach, jakby ścierała z nich jakiś kosmetyk. Gdy podeszła do lady, już była uprzejmie uśmiechnięta.

– Ach, to pan, panie profesorze...

Nazywała go profesorem, jak wszyscy tutaj – nie bardzo wiadomo dlaczego.

– Pan profesor sam się fatygował po ten list? Doprawdy, gdybym przypuściła...

– Głupstwo, pani Hansen. Przy okazji przejechałem się. Rzadko bywam w mieście.

– To prawda, nigdy teraz pana profesora nie widzimy.

Wróciła do stolika, znalazła w szufladzie list i przyniosła go wraz z arkuszem pokwitowań.

– To właśnie ten, o którym informowałam panią Romsloe. Nasz listonosz zachorował.

A list jest expresem. Ale gdybym przypuściła, że pan profesor będzie sam się trzymał...

– Kiedy to naprawdę głupstwo, proszę pani. Bardzo mi było miło zobaczyć panią.

– Och – kobieta aż się zaczerwieniła – pan profesor zawsze taki grzeczny... taki, taki niedzisiejszy... Naprawdę...

Uśmiechała się, ale zauważył, że mimo kokieterijnego uśmiechu pozostał na jej twarzy wyraz przygnębienia.

– Niech pan profesor zechce pokwitować.

List miał znaczek pocztowy włoski i stempel mediolański. Nadawcy na kopercie nie było. Przez chwilę obracał list w palcach. Na próżno usiłował przypomnieć sobie znajomego, który by mieszkał w Mediolanie.

– Dziękuję, pani Hansen. Ale widzę, że jest pani dzisiaj jakaś nieswoja... Zmęczona, a może zmartwiona?

– Ach, panie profesorze. – Od razu opadła z niej cała kokieteria. Westchnęła

i machnęła z rezygnacją ręką. Wyraz smutku wrócił na twarz. – Szkoda mówić...

– Coś się stało? Znowu może syn?

– Niestety...

– Bardzo pani współczuję. Ci chłopcy dzisiejsi...

Syn pani Hansen, Torkil, został niedawno schwytany podczas próby szmuglowania narkotyków. Adwokatowi udało się go wybronić. Musiał znowu coś zmalować.

– Niech się pani nie przejmuję. Wiele rodziców ma teraz kłopoty z dziećmi. Przykre, ale jestem pewien, że wszystko skończy się dobrze...

Uśmiechnęła się poprzez łzy. Nie musiał się zdobywać na jakąś konkretną pociechę.

Kobietom, do których mówił, wystarczały najczęściej jego słowa.

Powoli, ciągle obracając w palcach list, opuścił pocztową „bombonierę”. Na murze

przy wyjściu była mozaika z kolorowych kamyków: splątane ze sobą kwiaty, ptaki, ciała

kobiece. Gdy stanął w progu budynku, barwne karoserie zastawiających plac samochodów

wydały mu się także jakąś mozaiką.

Dotarł do tarasu, rozejrzał się po stolikach. Helle jeszcze nie było. Siadł, zamówił piwo i kanapki. Położył przed sobą list. Nie śpieszył się z jego otwarciem. Najpierw starannie nabił fajkę i zapalił ją.

Przybył do Stagnes z zamiarem zostania tu na zawsze. Taka decyzja wymagała zerwania ze wszystkim, co było jego dotychczasowym życiem. Były w nim powodzenia i były klęski. Właściwie ta jedna powtarzająca się ciągle... Czy jednak należało to nazywać klęską? Na pozór wyglądało wręcz przeciwnie. „Ależ on ma szczęście! – mówili koledzy. – Prawdziwy Don Juan. Lecą na niego jak zwariowane”. To też było prawdą. A jednak... Wiele kobiet przeszło przez jego życie, zaczynając od małej Hanki, zabitej, gdy zanosila amunicję kolegom na barykadzie! A jednak nie zatrzymał się przy żadnej. Raz jeden... Tamto jednak także minęło. Pozostał całe życie poszukiwaczem. Człowiekiem, który ciągle otrzymuje, a przecież – ciągle szuka...

Jak zrezygnował z walki o twórczość, tak zrezygnował z dalszego szukania. Pewnego dnia przypomniał sobie o Stagnes i o Helle. Pomyślał: – Ma rację ten, który się zadowala ostatnią wygraną stawką. Od kobiet, od których odchodził, nie wiedział, czego potem może się spodziewać. Ale do Helle przyjechał, nawet jej o swoim przyjeździe nie uprzedzając. Nie omylił się – nic się nie zmieniło od czasu, gdy przybył tu po raz pierwszy.

Powiedział do Helle: „Jestem zmęczony, zatęskniłem za ciszą. Jeżeli podtrzymujesz to, co kiedyś powiedziałaś, zostanę. Zostanę na zawsze...” Przykucnęła obok jego kolan, patrzyła na niego swymi błękitnymi oczami. „Nie marzyłam, że tak się stanie... – szepnęła. – Tylko o jedno cię proszę – podjęła po chwili milczenia. – Nie zarzekaj się. Nie mów, że to już na zawsze. Nie jesteś z tych, których można zatrzymać...” Zaprotestował: „Przecież ja sam przyszedłem...” Przerwała mu: „Wiem. Ale wiem także, czego ci potrzeba...” „Spokoju, ciszy,

dobroci” – zapewnił. „Obiecay – prosiła – że nie będziesz się zarzekał”. „Dobrze – zgodził się – choć doprawdy...” „Nie, nie! – położyła mu palce na ustach – chcę, aby tak było między nami”.

Pocałował te po chłopięcemu silne palce. Był całkowicie przekonany, że stąd już nigdy nie odejdzie. Ten kraj zresztą wiązał go swoim pięknem. Stagnes było wspaniałym odludziem. Helle – niezrównana w swym oddaniu. Jeśli jego obecność będzie dla niej szczęściem – on, dając jej siebie, znajdzie w tym także wiele radości. Czuł się jak statek, który po burzliwych rejsach zawinął do słonecznego portu i został zacumowany przy wybrzeżu niby czcigodna pamiątka, której nikt już z miejsca nie ruszy. Jakiś „Fram” czy jakaś „Kon-Tiki”...

Listów tutaj nie otrzymywał wiele. Wydawca przysyłał rozliczenia i dopominał się o nową książkę. Pozostała w kraju siostra, której nie widział od dwudziestu paru lat, pisywała na Boże Narodzenie i na imieniny. Żadna z kobiet, które przeszły przez jego życie, nie pisała nigdy. Od kogo mógł być ten list? Dlaczego wywołał w nim jakiś dziwny niepokój?

Rozdarł kopertę. Przede wszystkim spojrział na podpis. Imię „Jurek” nic mu nie powiedziało początkowo. Potem drgnął. Uświadomił sobie, że jest to imię człowieka, który był jego przyjacielem.

Z Jerzym Karwatem siedzieli w szkole na jednej ławce.

Razem chodzili na okupacyjne kursy, razem poszli do powstania, razem zostali wywiezieni do obozu jeńców. Po uwolnieniu odbyli wędrówkę po Europie i zamiast wrócić do kraju, osiedli w Anglii. Tam ukończyli opóźnione przez wojnę studia, pożenili się. Żona Andrzeja, Brenda, była początkującą aktoreczką. Kathy – żona Jerzego – jedynaczką bogatego przemysłowca, właściciela wielkiej firmy handlowej z Hongkongu. Jerzy zaczął pracować w firmie teścia, początkowo w Londynie, potem na Dalekim Wschodzie. Miał

zawsze głowę do interesów, nie było wątpliwości, że szybko zostanie współwłaścicielem firmy. Andrzej, jako początkujący pisarz emigrant, nie mógł żyć ze swej twórczości. To Jerzy znajdował mu rozmaite zajęcia w biurze swego teścia.

Ale przyjaźń między Andrzejem i Jerzym zaczęły mącić stosunki między Brendą a Kathy. Kathy była rozpieszczoną przez rodziców jedynaczką, której nigdy nie zbywało na niczym. Brenda pochodziła z ubogiego środowiska małych urzędników. Może zresztą były jeszcze i inne powody, które sprawiły, że Brenda nagle przestała odwiedzać Karwattów. Potem awanturowała się o to, że Andrzej korzysta z pracy oferowanej mu przez Jerzego. Wreszcie zaczęła gwałtownie tłumaczyć mężowi, że powinni wyjechać do Polski. On, jako pisarz, zyska tam na pewno sławę. O nią, angielską aktorkę, będą się niewątpliwie dobijały wszystkie polskie teatry. Andrzej nie byłby uległ żonie, czuł jednak sam, że aby zdobyć imię, musi wrócić do kraju. Wyjechali dość nagle. Oczekiwania Brendy spełniły się jedynie w stosunku do jej męża. On rzeczywiście zdobył sobie od razu pozycję, która pozwoliła mu potem stać się pisarzem znanym także poza krajem. Dla Brendy nie było miejsca w teatrach ani w filmach polskich. Zagrała dwa czy trzy razy – i na tym się skończyło. Polską czuła się zawiedziona. Ich małżeństwo weszło w stan kryzysu. Miała tysiące pretensji do Andrzeja: że zdobywa uznanie, którego ona zdobyć nie może, że mówi coraz częściej po polsku, że jego przyjaciele są jej wrodzy i kpią z niej za jej plecami. Po roku zażądała rozwodu i wróciła do Anglii. Gdy w kilka lat później Andrzej zjawił się także w Anglii – nie znalazł w Londynie Karwattów. Wyjechali na Daleki Wschód. Podobno teść Jerzego wycofał się z interesów, przekazując firmę zięciowi. Wspólni znajomi twierdzili, że firma pod nowym kierownictwem zaczęła niezwykle prosperować.

Rozłożył kartkę, wygładził ją wierzchem dłoni i popykując fajkę zaczął czytać. Nie szło to łatwo. List był nagryzmołony ołówkiem, jakby był pisany na kolanie, w ortografii były

błędy, widać Karwatt odwykł od używania ojczystego języka.

Witam cię, Andrzej – czytałem. – Tyle lat się nie widzieliśmy, lecz ja ciągle, mimo wszystko, uważam cię za swego przyjaciela. Dlatego piszę do ciebie. Jesteś mi bardzo potrzebny. Sprawa, o którą mi chodzi, jest zbyt poważna, abym mógł ją przedstawić ci w liście. Musimy o tym porozmawiać. Ja do ciebie przyjechać nie mogę i dlatego chcę cię prosić, abyś przyjechał do mnie. Przebywam w tej chwili w domu zdrowia koło Bergamo. Bliższy adres masz w nagłówku listu. Chyba ci podróż do Włoch nie sprawi kłopotu? Wiem, że jesteś człowiekiem niezależnym i że osiadłeś w Norwegii. Zebrałem informacje o tobie. Jakoby uważasz się za człowieka skończonego. Chyba to nieprawda? Dawniej nie robiłeś wrażenia człowieka, który kapituluje przed czasem. Ani w pracy, ani w miłości. Chciałbym także o tym z tobą pogadać. Więc co, przyjedziesz? Przyjedź, bardzo cię o to proszę. Gdybyś żywił jakąś urazę, zapomnij o niej. Chcę cię zobaczyć. Koniecznie. Gdyby na drodze przyjazdu stały jakieś trudności natury finansowej, proszę cię, złóż na mnie wszelkie wydatki. Chyba cię taka propozycja nie obraża? Traktuję rzecz prosto: jestem kupcem, któremu się powiodło. Ty wprawdzie zdobyłeś nazwisko, ale kto wie, czy nie pozostałeś takim strasznym Polakiem, który nawet, gdy lubi pieniądze, wstydzi się o nich mówić. Nie wstydź się. Każdą sumę pokryję, tylko przyjedź. I zrób to od razu, nie zwlekając. Jak najprędzej! Jestem chory, każda chwila jest dla mnie droga. Straciłem wiele czasu, zanim moi agenci dowiedzieli się, gdzie przebywasz. Przyjeżdżaj zaraz! Twój Jurek.

Przeczytał list cztery, może pięć razy, potem odłożył kartę i zamyślił się. Z zamyślenia wyrwał go głos Helle.

– No co, masz list?

– Tak. Właśnie siedzę nad nim.

– Od kogo? A może to tajemnica? W takim razie nie mów...

– Nie mam przed tobą tajemnic. Pisze kolega z dawnych lat. Dziwna historia. Nie widziałem go od wieków.

– Chce czegoś?

Helle położyła obok siebie na krześle wypchaną sprawunkami siatkę Delikatnym ruchem poprawiła uczesanie. Kelnerkę, która zjawiała się przy stoliku, poprosiła o kawę i kawałek ciasta.

– Pisze po polsku. Przetłumaczę ci.

– Wystarczy, że powiesz, o co chodzi.

– Ma do mnie prośbę, ale pisze, że chce ją wyjawić osobiście Sam nie może przyjechać, bo jest chory. Przebywa w domu zdrowia koło Bergamo.

– Pojedziesz?

– Co o tym myślisz?

Uśmiechnęła się. Wiedział, że lubi, gdy odwoływał się do jej rady.

– Myślę, że powinieneś jechać. Nie wiem, co was łączyło...

– Łączyło nas wiele, ale to były dawne czasy. Potem zerwały się między nami wszelkie kontakty. Od wielu lat jesteśmy sobie zupełnie obcy... Szczerze mówiąc, nie chce mi się...

– Powinieneś się przemóc. Nie ruszałeś się nigdzie od dawna.

Gdy mówiła, patrzył na nią. Jej twarz, choć poznaczona zmarszczkami, zachowała niezwykłą świeżość. Kiedy decydował się na zostanie w Stagnes, myślał: – Ona ma także swoje lata. Ale zachowała energię, jakiej ja nie mam. Jest jak nimfa Kalipso.

Zaśmiał się.

– Tak namawiasz, jakby ci zależało, abym jechał.

Odpowiedziała poważnie:

– Wiesz dobrze, że tak nie jest. Ale zawsze obawiam się, że mógłbyś potem żałować.

A poza tym... – zmieniła ton, teraz łagodnie tłumaczyła: – Mówisz, że jest chory. A może jest z nim źle? Może to, o co prosi, to naprawdę coś ważnego? Jeśli można komuś pomóc... Wiesz coś o nim?

– Właściwie nic. Wiem, że przebywał poza Europą, że robił wielkie interesy. Przejął po teściu wspaniale prosperujące przedsiębiorstwo. Jego żona nazywała się Kathy...

Przymrużył oczy i na moment odnalazł w pamięci tamtą twarz. Kathy miała orientalną urodę: wielkie, czarne oczy na buzi jak z porcelany. Ciężkie włosy koloru mosiądzu. Drobne usta. Nieco sterczące kości policzkowe...

Była ładna, bardzo ładna. Ciekawy jestem, co z tego zostało. Te pół-Azjatki starzeją się szybko. A to już tyle lat! Więcej niż dwadzieścia...

Oparła swe chłopięce dłonie o brzeg stolika.

– Jedź – powiedziała.

– Strasznie mi się nie chce. O czym będziemy ze sobą rozmawiali?

– Nie leń się. Jedź.

– Tak ci na tym zależy? Mam uczucie, jakbyś mnie wypychała.

Znowu przyjęła ton poważny.

– Nie wypycham cię. Każdy dzień spędzony z tobą jest dla mnie bezcennym darem.

A jednak – w jej błękitnych oczach błysnęła iskierka – gotowa jestem wyrzec się ciebie na kilka dni.

Spuścił oczy w podświadomym poczuciu wstydu. Sięgnął po list. Znowu wodził wzrokiem po rozmazanym piśmie.

– Namawiasz tak... – zaczął. Coś chciała powiedzieć, przerwał jej porywczo: –

Dobrze, już dobrze. Pojadę. Na dwa, trzy dni...

– Nie układaj z góry, na ile pojedziesz. Bądź tam tyle, ile będzie trzeba i ile będziesz chciał.

– Cóż bym tam robił? Mówię ci, nie mam z nim o czym rozmawiać. A poza tym to duży wydatek, a nie chcę być uzależniony...

– Mleczarnia daje dobry dochód.

– To są twoje pieniądze!

Nic nie powiedziała, ale on miał świadomość, że tymi słowami sprawił jej przykrość.

Słońce wspinało się coraz wyżej po bladym niebie. Skalne ściany po przeciwnej stronie fiordu utraciły swój ciemny ton, stały się płowozielone. W rozpęknięciach widać było białe żyłki spływających potoków. Wysoko na grzbietach leżał śnieg. Połyskiwał oślepiająco w słońcu. Tam, nad zatoką, rozpinały się cisza i senny spokój. Ale na placyku wciąż warczały motory i słyszeć było skrzek włączanych biegów.

– Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy od razu do biura podróży – zaproponowała.

Kiwnął głową potakująco. Wypukał fajkę i schował ją do kieszeni. Gestem przywołał kelnerkę. Zeszli z tarasu. Przed halą rybną, która została zbudowana na miejscu dawniej o wiele rozleglejszego muzeum, stała ciężarówka. Ludzie w plastikowych fartuchach, człapiąc gumowymi butami, wynosili z niej kosze ryb posypanych kawałkami lodu. Dziewczyna, również w wysokich butach, wspiąwszy się na palce wypisywała na tablicy ceny.

– Nareszcie – powiedziała – skończyły się kłopoty wywołane tą historią z zatruciem morza koło naszego wybrzeża. Był komunikat, że ryby można jeść bez obawy. Ale czytałam w prasie, że podobna historia zdarzyła się na Morzu Śródziemnym...

Puścił jej słowa mimo uszu, zaabsorbowany sprawą wyjazdu. Biuro podróży znajdowało się w pobliżu. Urzędniczka trzepała prędko i usłużnie, mrugając ogromnymi,

sztucznymi rżesami.

– Do Mediolanu? To zupełnie prosto, panie profesorze. Z Alesund pojedzie pan przez Oslo do Kopenhagi. Trzy godziny przerwy i bezpośredni lot do Rzymu z lądowaniem w Mediolanie. Połączenie mamy co drugi dzień. Jeżeli to panu profesorowi odpowiada, mogę mieć bilety na jutro. Czy pan profesor jest już zdecydowany? Bo jeżeli nie...

Spojrzał na Helle, jakby chciał, aby to ona wzięła odpowiedzialność za tę podróż.

– Po co odkładać decyzję i przyjeżdżać po raz drugi? – zdecydowała. – Leć jutro.

Sięgnęła po swą torbę i położyła przed nim książeczkę czekową.

Wyjechali wczesnym rankiem, zanim jeszcze słońce wysunęło się spoza zębatego grzbietu Skola. Nie było ciemno, w powietrzu wisiała błękitna poświata północnych nocy. Auto prowadziła Helle. Jej dłonie w dziurkowanych rękawiczkach leżały pewnie na kierownicy. Okulary, które zakładała prowadząc auto, zmieniały nieco jej twarz: zaostrzały rysy, nadawały im wyraz energii.

Taką ją zobaczył po raz pierwszy na konferencji w Oslo. Wielkie, mroczne sale, stare, ciężkie meble niby z Ibsenowskiego dramatu, na stołach tace z trójkątnymi kanapkami, na nich góry krwistego mięsa oblanego majonezem, butelki piwa. Podeszła do niego, męskim gestem potrząsnęła jego dłonią. Podjęła rozmowę o jego książkach. Był zaskoczony, że je zna, tym więcej, że nie słyszał, aby była pisarzem lub krytykiem. Zaskoczenie wzrosło, gdy mu powiedziano, że jest właścicielką dworu w głębi jednego z fiordów w okolicy Bergen. Kobiety norweskie, które spotykał, nie okazywały zbyt wielkiego zainteresowania literaturą. Na pozór robiły wrażenie istot prostych, zajętych jedynie domem, czasami ogrodem. Andrzej zbyt był doświadczonym obserwatorem, aby nie wyczuć, że pod pozorami prostoty kryją gwałtowne, utajone pasje. Podczas rozmowy zdjęła okulary. Wtedy wydała mu się kimś całkiem innym niż poprzednio – nie energiczną kierowniczką przedsiębiorstwa, lecz pełną ciepła, łatwą w obcowaniu kobietą. Gdy swobodnie zaprosiła go na weekend do Stagnes, przyjął to zaproszenie ze świadomością, że chętnie z niego skorzysta. Zainteresowała go.. Potem rozmawiał z niskim mężczyzną, który był jednym z organizatorów zaproszenia go do Oslo. „Poznał pan panią Helle Romsloe? – pytał tamten. – Przemiała osoba, prawda? Czy pan wie, że to ona pierwsza zwróciła nam uwagę na pańską twórczość?” „Skąd ona mogła o niej wiedzieć?” – pytał. „Och, pani Helle żyje na odludziu, a przecież na wielu sprawach trzyma rękę. Jej ojciec był naukowcem, filozofem, znawcą literatury. Także

podróżnikiem, badaczem Północy. Córka od dziecka towarzyszyła mu wszędzie. Jeździła, przezimowała nawet raz na Spitsbergenie. Gdy jej ojciec zestarzał się, zaczął chorować, zaopiekowała się nim. Czuwała przy nim w ciągu lat, aż do śmierci...” „Nie wyszła za mąż?” „Nie. Taka kobieta, jak ona, nie musi żyć w małżeństwie... Kiedyś mówiło się, owszem, o jakimś jej romansie. Ale to było dawno...”

Tyle tylko dowiedział się o Helle. Ale to wystarczyło, aby jego instynkt człowieka, którego interesują kobiety, został poruszony.

W Stagnes, w salonie nad kominkiem, wisiał duży portret mężczyzny z siwymi wąsami, z twarzą ciemną, jakby wysmaganą wichrami morskimi. Błękitne oczy mężczyzny wpatrzone były gdzieś w dal. „To mój ojciec – powiedziała, gdy po oprowadzeniu Andrzeja po całym domu przyszli tutaj na kieliszek porto. – Kochałam go ogromnie. Całe życie był samotny. Matka umarła, gdy byłam małym dzieckiem. Chciałam go ocalić przed samotnością...”

Ten weekend przeciągnął się. Trwał całe trzy tygodnie. Nigdy jeszcze nie czuł się równie wypoczęty. Przy innych kobietach doświadczał chwil zadumy, zadowolenia, radości. Przy Helle zaznał ciszy i spokoju, który dać może świadomość, że wszystkie troski przejmuje ktoś drugi. Był zawsze w końcu zniechęcony wymaganiami kobiet. Helle jednak nie żądała niczego. Pragnęła tylko dawać. To było takie naturalne, gdy przyszła do niego zaraz pierwszego wieczoru. I potem także jej stosunek do niego nie uległ zmianie. Rozstawali się równie serdecznie. Nie zatrzymywała go. Powiedziała tylko: „Dom w Stagnes zawsze na ciebie czeka. Możesz przyjechać, kiedy tylko zechcesz...”

Nie był pewny, czy tam pojedzie znowu. Natura poszukiwacza kazała mu wyruszyć w pogoń za czymś, co wciąż go ciągnęło raz tylko zaznanym przeżyciem. Jeszcze ciągle potrzebował niepokoju. Znowu kilka lat wędrował po świecie. Ale wpadał do Stagnes po

nowe siły. Początkowo jadąc tam czuł obawę, że się coś podczas jego nieobecności zmieniło, a jednocześnie poczucie zażenowania, że on jest ciągle błędzącym wędrowcem, a ona cierpliwie czeka. Zawsze jednak znajdował to samo i nigdy kobieta nie dała mu poznać, że czuje do niego urazę. Witła go jednakowo serdecznie. Kalipso stawiała się Penelopą. Stagnes nabierało cech coraz silniejszego magnesu. Aż wreszcie postanowił tu zostać na zawsze.

Poczuł ciężar lat. Zdecydował, że ważniejsze niż szukanie są spokój i cisza.

Dwukrotnie przeprawiali się promem. Wszędzie przyjeżdżali na czas, nigdzie nie musieli czekać. Ta precyzyjność była także cechą Helle: wszystko u niej było ułożone, wszystko szło jak w zegarku. Z taką samą dokładnością, z jaką zapoznawała się z utworami literatury światowej, rządziła domem i prowadziła założoną przez siebie spółdzielnię mleczarską. Lokalna impreza stała się poważnym przedsięwzięciem, dającym wcale niemałe dochody.

Wolno spoza ściany gór piętrzących się nad lądem wysunęło się słońce. Ołowiane morze zaczęło się skrzyć i przybrało płową barwę. Na pustej szosie rozpoczynał się ruch. Jechały zwinne i kolorowe furgonetki dostawców, sunęły całe gromady ludzi na rowerach. Lotnisko było małe i skromne. Drewniany budynek, w poczekalni w bufecie tace z trójkątnymi kanapkami i baterie ponalewanych szklanek z mlekiem. Automat z kartami i znaczkami pocztowymi. Na płycie stał już czerwony odrzutowiec z wysoko sterczącym w górę ogonem.

– Bądź zdrowa – powiedział, gdy go wezwano do samolotu. – Wrócę prędko.

– Wróc, kiedy wszystko załatwisz. Ale zatelefonuj...

– Na pewno to zrobię. Bywaj. Objął ją ramieniem, pocałował.

– Idź – popchnęła go ku wyjściu. – Dziękuję ci.

– Za co?

– Za to, że jesteś... Aha, przywieź coś małej Karen.

– Przywiozę...

Po co ona to powiedziała? – przebiegło mu przez głowę. Obawiał się czasami, czy Helle... Ale już stewardesa zaprosiła go gestem do przejścia. Spoza parkanu pomachał Helle dłonią. Oparta czołem o framugę drzwi prowadziła go wzrokiem. Druga stewardesa, stojąc na schodkach samolotu, podała mu rękę. Za ledwie wszedł, schodki wprawione w drzwi kabiny uniosły się w górę. Usiadł na wskazanym fotelu. Stewardesa – wysoka, jasnowłosa dziewczyna o sterczących nieco do przodu zębach – pochyliła się nad nim i sprawdziła zapięcie pasa. Słońce świeciło prosto w okienko, poprzez ten blask niczego nie mógł zobaczyć. Motory sapnęły i samolot prawie natychmiast poderwał się do krótkiego rozbiegu. Ostrą świecą strzelił w górę. Dopiero na dużej wysokości zatoczył półkole. Kiedy wyrównał, Andrzej pochylił się nad okienkiem i spojrzał w dół. Ale zobaczył tylko prześwietlone słońcem morze rozbijające się o koronkę nadbrzeżnych skał. Uśmiechnięta stewardesa stała przy nim z plikiem gazet pod pachą i ze szklaneczką whisky na małej tacce.

Świeży ranek norweski zmienił się w upalne, duszne południe, gdy wylądował na hałaśliwym lotnisku mediolańskim. W ciszy Stagnes tak bardzo odwykł od hałasów wielkomiejskich, że idąc teraz ku wyjściu w tłumie pasażerów, czuł się oszołomiony i zagubiony. Ludzie rozmawiali, jakby się ze sobą kłócili. Dziewczyna w okienku telewizora bez przerwy coś zapowiadała ostrym, spotężniałym dzięki megafonom, głosem. Tragarze nawoływali się, wózki z walizkami szczękały metalicznie, pas transmisyjny ze stukotem wyciągał bagaż, stemple strażników uderzały w podsuwane paszporty. Wszyscy się spieszyli. Jakaś młoda kobieta z dzieckiem na rękę, a drugim płaczącym się koło nóg, wołała histerycznie: „Gino! Gino!” na towarzysza, który stanął przy bufecie. Przy wyjściu tłum się skłębił i zatrzymał. Andrzej przebił się przez cizbę i stanął oko w oko z łysym mężczyzną, który coś perorował, żywo gestykulując.

– Gdzie jest autobus do miasta? – zapytał.

– *No autobusi.* Nie ma autobusów – wykrzykiwał tamten. – *Sciopero! Strike!*

Kierowcy strajkują. *Soltanto tassi. Nur die Taxi! Only the taxies. Capisci? Do you want a taxi?*

Strajk kierowców wywołał niesłychane zamieszanie. Taksówek zabrakło, trzeba było czekać, aż przyjedzie ich więcej. Cofnął się do baru, zamówił szklaneczkę campari. Ale było mu coraz bardziej duszno. Pocił się. Znowu wyszedł przed dworzec. Stanął w kolejce do taksówki. Wreszcie przyszła jego kolej. Auto dowiozło go pod pomarańczową w blasku słońca ścianę zamku Sforzów. Pamiętał, że w cienistej uliczce Camperio znajduje się mały hotelik, w którym się kilka razy zatrzymywał. Lubił świadomość, że w każdym mieście ma się „swój” hotel. W tamtym hotelu, pamiętał, była w bufecie sympatyczna i ładna sprzedawczyni. W ciasnym zaułku odnalazł znany sobie czerwony budynek. Był tu hotel jak

wtedy, ale nosił inną niż dawniej nazwę. Nie było także dawnego personelu. Mimo to zatrzymał się tutaj.

Odpocząwszy udał się na miasto. Dołem ulica przypominała cienisty wąwóz, ale wyżej słońce zdawało się rozżarzać ściany domów. Tuż obok hotelu znajdował się pachnący serami sklep spożywczy, a na jego tyłach restauracja, pozująca wyglądem na artystyczno-cygański lokal. O tej porze było tutaj pusto. Ledwo Andrzej usiadł przy stoliku pod oknem, zjawił się sam właściciel w białej, płóciennej czapce kucharza. Szerokimi gestami zachwalał potrawy. Kelnerzy tylko czekali, by podsunąć wózek z wymyślnymi przekąskami.

Przyniesiono mu także wino w oplatanej butelce. Pił wolno. W skroniach czuł ucisk.

Oddychał z trudem, brakło mu powietrza. Zakończył obiad filiżanką mocnej kawy. Potem wyszedł na tonące w potokach słońca Largo Caioli. Jezdnią przewalał się potok aut. Gnały zbitą masą niby oszalałe z trwogi stado bizonów, gotowe, wszystko stratować, co by im stanęło na drodze. A może goniły za czymś, co przed nimi uciekało? Każde przyhamowanie ruchu wywoływało piski hamulców i gniewne protesty klaksonów, Idąc wzdłuż via Dante, wciąż doznawał uczucia dokuczliwego gniecenia w piersi. Gdy skręcił w via Orefici, ujrzał przed sobą plac i szarą koronkę katedry. Wydawała się raczej otwartym parawanem niż świątynią. Auta w swej szaleńczej gonitwie obiegały plac. Środkiem placu sunął sznur przechodniów, a nad ich głowami krążyły stada gołębi. Z lewej strony placu, pod arkadami budynków, kwitł uliczny handel. Sprzedawcy, trzymający cały swój towar w rozpiętym i odwróconym parasolu, nawoływali do kupowania tanich apaszek. Mężczyźni z rękami wciśniętymi w kieszenie proponowali niezwykle transakcje walutowe. Obok kiosku oblepionego kolorowymi pismami, na których widać było gołe dziewczyny w skomplikowanych pozach, brodaty mężczyzna wręczał przechodniom ulotki zapraszające do kościoła metodystów. O dwa kroki od niego dwie dziewczyny w kusych spódniczkach,

z wielkimi krzyżami na głębokich dekoltach proponowały obejrzenie widowiska pod tytułem „Jesus – our pal”. Dalej ponury osobnik w czarnym golfie podawał wezwania do generalnego strajku. Nie dalej niż krok od niego policjant w czarnym mundurze flirtował z dziewczyną o złotych włosach spadających na ramiona, która zaśmiewała się na cały głos z tego, co jej mówił mężczyzna. Andrzej nie przestawał czuć ucisku w skroniach. Wszedł do baru, poprosił o kawę. Na stojąco pił małutkimi łykami z filigranowej filiżanki. Kawa była mocna i od razu zaczęło mu łomotać serce, lecz uczucie oszołomienia i ucisku w skroniach nie ustąpiło.

W barze tłoczyli się ludzie i było duszno. Dzwoniły rzucane na tacę liry.

Wyszedł z powrotem na plac, wrócił do hotelu. W zaułku, nie opodal wejścia do hotelu, stał duży czarny wóz. To było auto, które na jego prośbę zamówiła recepcja – miał nim pojechać do Bergamo. Kierowcą był starszy mężczyzna. Powiedział Andrzejowi, że przyjechał trochę wcześniej, gdyż w mieście odbywają się pochody i demonstracje i może być kłopot z wyjechaniem z miasta.

– To ci młodzi – narzekał – zupełnie powariowali.

– Czego chcą?

– Kto ich wie, *mamma mia!* Awanturują się, krzyczą, rozbijają wystawy, podpalają auta... Poszaleli, wszyscy poszaleli!

Kierowca wykazał z miejsca niezwykle zdolności ekwilibrystyczne, wyprowadzając swój wóz spomiędzy innych aut upchniętych w zaułku. Okazało się, że miał słusność, obawiając się trudności: zaledwie wjechali w jakąś ulicę, zobaczyli na drugim jej końcu demonstracyjny tłum, który blokował wyjazd. Wydobyli się jakoś ze sznura aut podobnie zatrzymanych i pojechali szukać innego przejazdu. Ale w następnej ulicy utknęli znowu. Klnąc kierowca wyprowadził znowu wóz z pułapki.

– Zupełnie powariowali, zupełnie – powiedział uderzając się dłonią w czoło.

– Demonstrują przeciw rządowi?

– Rząd to także kupa wariatów!

– Ale o co chodzi?

Wciąż szukając przejazdu, kierowca wyliczał: płace są za małe, ceny za duże, brak mieszkań, leczenie coraz kosztowniejsze. Ci młodzi mają naprawdę wiele racji. Ale czy im o rację chodzi? Demonstrują, aby demonstrować, aby robić awantury. Oni, gdyby tylko mogli, wszystko by rozbili...

Ulica była znowu zamknięta przez tłum młodych: dziewczęta w szortach, chłopcy z długimi włosami, z brodami, w barwnych koszulach. Młodzi ryczeli, wygrażali komuś, ciskali kamieniami; a zaraz potem żartowali z dziewczętami, obejmowali je, całowali, sadzali je sobie na ramionach. Trzymali transparenty z nieprzyzwoitymi rysunkami, jeden przedstawiał człowieka z długim nosem, siedzącego na nocniku. Dziewczyna z twarzą, na której namalowane były zielone cętki, wymachiwała transparentem, przedstawiającym gołego mężczyznę w cylindrze na głowie. Na spodniach, na siedzeniu, miała napis: „Ecco termine”. Jeszcze raz udało się im zawrócić. Kierowca zrobił to, chociaż ulica miała tylko jeden kierunek jazdy. Klął bez przerwy. Dopiero przy piątej czy szóstej próbie wydostali się na przelotowy szlak. Teraz kierowca zdjął czapkę i wytarł wierzchem dłoni zroszone potem czoło. Sięgnął do pudełka, które miał w kieszeni; łyknął pigułkę.

– Lekarstwo? – zapytał Andrzej.

Tamten wzruszył niechętnie ramionami.

– Od takiego lekarstwa tylko się szybciej umiera – mruknął. – Ale, Santa Madonna, trzeba... Kto by wytrzymał w tym zwariowanym świecie? Zresztą, po co długo żyć? Póki człowiek może pracować, to go potrzebują. Ale jak przestanie pracować, wywiozą go na śmiecie. Własne dzieci wyrzucą go z domu... Kto dziś chce się zająć starym?

Jeszcze przyszło im raz i drugi zawracać, ale w końcu znaleźli się na autostradzie.

U stóp nasypu, na którym leżała szosa, ciągnęła się przeraźliwie płaska lombardzka równina.

Dopiero po jakimś czasie zaczęły się nad równinę wybrzuszać szare pagórki otulone mgłą.

Ruch był na autostradzie olbrzymi. Niektóre samochody pędziły z taką szybkością, że gdy ich

mijały, pęd powietrza wstrząsał wozem. Oszołomienie, jakie opanowało Andrzeja po

przybyciu do Mediolanu, z wolna ustępowało. Przemieniało się w zmęczenie i apatię.

Kierowca także wydawał się zmęczony. Obaj milczeli. Wreszcie znaleźli się

w Bergamo. Pod starą bramą w murach trzeba było czekać, aż przejedzie kolumna aut

z drugiej strony. Potem sunęli porośłym drzewami zboczem. Minęli miasto, wydostali się

znowu na szosę. Wyjąc prześcigały ich inne auta, mknące jak szalone. Na zielonych

okolicznych wzgórzach rozsiane były wspaniałe wille z tarasami, pływalniami, podcieniami.

Obok will parkowały kolorowe samochody i bawiły się dzieci. Jeszcze parę kilometrów dalej

Andrzej zobaczył wielki płat bujnej zieleni. W pierwszej chwili myślał, że to las, ale to był

tylko rozległy ogród. Szofer wyciągnął rękę.

– To tu – powiedział.

Skręcili w boczną uliczkę. Kolorowa tablica na zakręcie obiecywała doskonały relaks

wszystkim, którzy przyjadą tutaj, by odpocząć w domu wypoczynkowym „Colorado”. Na

tablicy wymalowany był mężczyzna siedzący przy biurku z głową opartą na ręku. Piękna

kobieta, widać żona, i dziewczynka, widać córka, zdawały się o coś prosić mężczyznę.

„Tylko tam odpoczniesz i naprawdę” – biegł wielki napis. Kierowca wzruszył niechętnie

ramionami.

– Żeby tu odpocząć, trzeba mieć diablo dużo forsy! – rzucił – Podjechali do bramy.

Była artystycznie kuta i wyłożona.

– Pan na długo? – pytał taksówkarz.

– Na godzinę, może dwie...

– Będę tutaj czekał – kierowca wskazał parking obok budynku przy bramie.

Recepcjonistka ze złotymi, opadającymi na ramiona włosami i oczami zrobionymi „na gwiazdki” powiedziała Andrzejowi, że *signor direttore* zamieszkuje w pawilonie „Giuliana”.

Zawołała małego boya, ubranego w szary, hotelowy strój ze złożonymi guzikami i w małej czapeczce na głowie, i poleciła mu zaprowadzić tam Andrzeja. Ruszyli drogą wysypaną żwirem między ścianami gęstej zieleni tworzącej nieprzenikliwe dla wzroku ściany. Po drodze mijali fontanny i rzeźby bardzo nowoczesne. Od zieleni bił miły chłód. Co pewien czas drogę zamykały automatycznie zatrzasujące się furtki, które chłopiec otwierał kluczem.

Potem wkroczyli w alejkę, nad którą rozpinał się napis „Giuliana”. Skrywająca wszystko zieleń rozstąpiła się. Andrzej miał przed sobą biały jednopiętrowy budynek. Dach budynku tworzył taras otoczony wysokimi siatkami. Na dole wielki, otwarty taras z fontanną pośrodku schodził na łąkę, na której znajdowały się basen kąpielowy i pole golfowe. Na tarasie pod parasolami stały leżaki. Leżeli na nich mężczyźni, a między leżakami kręciły się dziewczyny w króciutkich sukienkach lub w szortach, w bluzkach z ogromnymi dekolami.

Boy zaprowadził Andrzeja do kobiety, która siedziała z boku przy stoliku

i obserwowała, co się dzieje na tarasie. Była to niemłoda, ale urodziwa jeszcze Włoszka o wydatnym nosie, wielkich oczach i włosach czarnych, na których leżały pasma siwizny.

Kobieta wskazała Andrzejowi krzesło obok siebie.

– Czym mogę panu służyć?

– Szukam dyrektora Karwatta. Chciałbym z nim porozmawiać.

- Czy pan jest kimś z rodziny *signora direttore*? – Utkwiła w twarzy Andrzeja

przenikliwe spojrzenie swych dużych, czarnych oczu. – Czy pan porozumiał się z biurem dyrektora?

– Z nikim się nie porozumiewałem. Przyjechałem z Norwegii, dyrektor napisał do

mnie prosząc, abym do niego przyjechał.

– Napisał? Otrzymał pan list od *signora direttore*? Pan chyba zna stan zdrowia pana dyrektora?

– Wiem, że jest chory...

– Tak, rzeczywiście. Doprawdy nie wiem, czy mogę pozwolić na tę rozmowę.

Dyrektorowi zalecono unikanie jakichkolwiek wzruszeń czy podnieceń. Jesteśmy odpowiedzialni za zdrowie naszych pacjentów.

– Nie sądzę, aby nasza rozmowa miała wywołać jakieś podniecenie. Jestem kolegą dyrektora z lat dawnych. Jak mówiłem, pisał do mnie.

– Obawiam się, że pisał bez porozumienia z lekarzem. Gdyby było inaczej, byłabym wiedziała...

– Lecz przecież kontakt z dyrektorem Karwattem nie jest zakazany?

– Ach, nie, nie, naturalnie. I rozumiem pana. Pan jest zresztą taki sympatyczny – uśmiechnęła się. – Ale powtarzam, jesteśmy odpowiedzialni za zdrowie pacjentów – usiłowała wrócić do postawy surowej służbistki. – Nasz dom jest zakładem specjalnym...

Doprawdy nie wiem, jak mam postąpić – przycisnęła dłoń do piersi, uniosła w górę swe smoliste oczy. Westchnęła. – Chyba zgodzę się. Wezmę na siebie odpowiedzialność. Ale proszę rozmowy nie przeciągać i unikać spraw, które mogłyby wywołać wzruszenie, dobrze?

– prosiła i patrzyła na niego uśmiechnięta.

– Zrobię, co tylko będę mógł...

– Koniecznie, bardzo proszę. Chodzi o zdrowie dyrektora. Nawet o życie... – ściszyła nieco głos. – Ale nie chcę panu odmawiać. Proszę, chodźmy do *signora direttore*.

Ruszyła przodem, Andrzej szedł za nią. Idąc rozglądał się, coraz bardziej zaintrygowany zakładem, w którym się znalazł. Na leżakach na tarasie siedzieli mężczyźni,

dobrze ubrani, wcale niestarzy. Niektórzy przerzucali jakieś pisma, które wyglądały na zbiory historyjek obrazkowych, ale większość zajmowała się dziewczętami, które kręciły się między leżakami. Wszystkie były młode, ładne, zgrabne, barwnie i krótko ubrane. Każda z nich miała przypiętą na piersi dużą, ładną broszkę, taką samą, jaką widział na dżemperku prowadzącej go kobiety. Domyślił się, że musi to być odznaka tutejszego personelu i że piękne dziewczyny muszą być pielęgniarkami. Zachowywały się jednak dziwnie jak na swą funkcję – Chichotały wesoło, dawały się mężczyznom obejmować, chwytać za ręce, całować. Biegały po tarasie, przynosiły jakieś butelki, podawały napój pacjentom i same przy tym piły. Inne na łące, ubrane w kostiumy kąpielowe, objawszy mężczyzn szły z nimi w stronę basenu. Jeszcze inne grały ze swymi pacjentami w golfa lub badminton.

Leżak, ku któremu zmierzali, stał na uboczu. Siedział na nim mężczyzna z odrzuconą do tyłu głową, w ciemnych okularach. Przy leżaku czuwała rudowłosa pielęgniarka. Gdy zobaczyła, że się zbliżają, wstała.

Andrzej zatrzymał się o parę kroków od leżaka i patrzył zaskoczony na mężczyznę.

Nie poznał Karwatta. Dawny kolega zmienił się bardzo. Wyłysiał. Twarz miał zapadniętą, oczy podkrążone, nos posiniały. Po naciągniętej skórze twarzy przebiegały dreszcze. Ale widać poczuł utkwiony w siebie wzrok, bo zwrócił głowę w stronę Andrzeja. Zdjął okulary.

Przez chwilę mrugał powiekami niedowierzająco.

– To ty? – zapytał po polsku. – To ty, Andrzeju?

– To ja, Jurku...

Nie wstając wyciągnął rękę, chwycił dłoń Andrzeja i trzymał ją w swojej, małej i suchej. Nie przestawał patrzeć na przybyłego, jakby chciał mu się dobrze przyjrzeć. Kobieta, która przyprowadziła Andrzeja, uśmiechnęła się i cofnęła. Zanim odeszła, coś powiedziała do czerwonołosej pielęgniarki. Dziewczyna podeszła do stojącego obok stolika, wzięła

pastylkę, wrzuciła ją do szklanki z wodą, a gdy płyn przestał musować, podała szklankę Karwattowi. Ten wypił prędko, nie obracając głowy do dziewczyny, wciąż wpatrzony w Andrzeja.

– Patrzę na ciebie i patrzę – rzekł. Jego polszczyzna brzmiała twardo, jak u kogoś, kto od niej odwykł. – Trudno mi uwierzyć, że wyglądasz tak młodo.

– Mamy te same lata.

– Lata – uniósł ramiona w górę – może... Ale to nic. Siadaj – puścił wreszcie jego dłoń i wskazał Andrzejowi stojący obok leżak. – Cieszę się, bardzo się cieszę, że zechciałeś przyjechać. Trochę nie wierzyłem, że to zrobisz...

– Napisałeś, że masz coś ważnego do powiedzenia...

– To prawda. Podano mi jednak, że się zaszłyś w norweskiej głuszy. Że ci tam dobrze. Że znalazłeś spokój. Ludzie nie lubią tracić spokoju.

– Jest mi dobrze, to prawda – przyznał.

– Niczego już nie szukasz?

– Czy ja wiem! Pisarz zawsze szuka... Ale nie szukam już tak, jak dawniej...

– I nie oglądasz się za babkami? Nie wierzę – Karwatt zaśmiał się, a jego śmiech brzmiał jak grzechot drewnianych paciorków. – Zanadto je zawsze lubiłeś. I miałeś tyle szczęścia. Czyżby się coś zmieniło? A może w końcu osiodłała cię jakaś i trzyma? Co? Musisz mi opowiedzieć wszystko o swoim życiu. Tyle lat się nie widzieliśmy. Pisziesz? Ciągłe pisziesz? Przez pewien czas twoje książki były głośnie.

– Miałem dobrą passę. Ale nie narzekam i dziś.

– Jeszcze ludzie czytają?

– To prawda, że coraz mniej. Zwłaszcza młodych książki zdają się nie obchodzić. To, co dawniej czytawali z wypiekami na twarzy, dziś przeżywają sami... i bez wypieków...

– To dla kogo piszesz?

– Mam jeszcze swój krąg.

– Zawsze myślałem, że dla was, pisarzy, pisanie jest jak narkotyk, który zażywa się, czy jest potrzeba, czy jej nie ma...

– Dla mnie nigdy nie było narkotykiem.

– Jesteś człowiekiem, który przede wszystkim żyje, a potem pisze. Inni piszą, a żyją na dodatek. Więc jak wygląda twoje życie osobiste? Brendy, przypuszczam, już w nim nie ma?

– Zgadłeś. Rozeszliśmy się, i to dość prędko...

– Przewidywałem, że tak się stanie, gdy wyjechaliście. Ona była małą gąską i na dodatek złą aktorką. Wyobrażała sobie, że w Polsce wszyscy będą padali na kolana na samą wzmiankę, iż zgodziłaby się grać...

– Jakbyś widział.

– Co się z nią stało?

– Nie wiem...

– Ożeniłeś się po raz drugi?

– Nie...

– Miałeś niewątpliwie rację. Don Juani się nie żenią. Raz tylko w życiu spotykają prawdziwą miłość...

Nie podjął tematu. Sięgnął po fajkę.

– Pozwolisz, że zapalę?

Odpowiedź Karwatta poprzedził jakby moment wahania.

– Pal... W Polsce długo nie siedziałeś? – powrócił do swych pytań.

– Nie. Miałem środki, mogłem podróżować...

– Co cię w końcu zagnało do Norwegii?

– To chyba ostatni kraj w Europie, gdzie jeszcze można egzystować.

– Siedzisz podobno na jakimś pustkowiu?

– Tak.

– Nie sam, oczywiście?

– Nie...

Początkowo pytania Karwatta padały szybko, prawie gwałtownie. Ale teraz nastąpił jakby odpływ energii. W rozmowie powstawały coraz dłuższe pauzy. Głos utracił swą siłę, przypominał raczej bełkot. Mężczyzna opadł w leżak. Już nie patrzył na Andrzeja, utkwiał oczy w przestrzeń. Po ostatnim pytaniu zapadła długa chwila ciszy. Nagle zwrócił głowę ku pielęgniarce. Rzucił:

– Pastylkę, Klaro!

Pielęgniarka, która ciągle pozostawała w pobliżu, szybko wytrząsnęła z flakonika fioletową pastylkę, nalała z dzbanka wody do szklanki. Gdy Karwatt popijał pastylkę wodą, pochyliła się nad nim, aby poprawić małą poduszeczkę, którą miał pod głowę. Andrzej zauważył, że ma długie ładne nogi. Między jej pełnymi piersiami wisiał złoty krzyżyk. Buzia była przyjemna i nawet nie tak bardzo zasmarowana makijażem.

Karwatt przez dłuższy czas zmagał się ze swą słabością. Potem sapnął, jak ktoś po dokonanym wysiłku, i zapytał:

– Nie napijesz się czegoś? Klara przyniesie, co tylko zechcesz. Whisky, bourbon, campari, piwo? Tylko powiedz.

– Whisky.

– Klaro, dwie whisky. Dla mnie dużo lodu.

Dziewczyna odeszła, kołysząc się w biodrach. Zaledwie oddaliła się, Karwatt zapytał

prędko:

– Masz papierosy?

– Nie mam. Palę tylko fajkę.

– Daj mi tytoń. Kupisz sobie...

– Proszę cię. Ale przecież masz papierosy – wskazał na leżące na stoliczku pudełko.

Karwatt pośpiesznie schował paczkę tytoniu do kieszeni, rzucając na boki spojrzenia, jakby obawiał się, że ktoś to zauważy. Wzruszył pogardliwie ramionami.

– U nas tylko takie wolno palić. Fuj!

– Lecz jeżeli ci tytoń szkodzi...

– Wszystkim szkodzi.

Pielęgniarka wróciła, niosąc na tacce dwie wysokie szklanki i miseczkę z lodem.

– Twoje zdrowie – powiedział Karwatt. – Niech ci się szczęści jak dotychczas. Co?

Czyżbyś nie uważał się za szczęśliwego? – uśmiechnął się drwiąco, widząc jak Andrzej

zachnął się na jego słowa. – Miałeś przecież bujne życie, a teraz masz zasłużony odpoczynek.

Miałeś sławę, kobiety... Nie tak, jak ja...

Opuścił głowę i kilka razy przesunął dłońią po oczach. Kiedy odkrył twarz, widać

było, że pastylka zaczęła działać i wyraz znużenia znika z jego twarzy.

– Nie narzekałbym – podjął – gdyby nie to, że się za wcześnie skończyłem. I tak

głupio... No cóż, zbiera się owoce przeszłości. Żyło się prędko, ciągle prędzej. Diabelski pośpiech.

Nie było czasu na odpoczynek. Nie warto gadać. Na to jesteśmy skazani. Miałeś sto

razy słuszność, żeś zrezygnował z tego szaleńczego wyścigu. Ja nie potrafiłbym.. I inną mam naturę. Skoro zacząłem walczyć, będę walczył do końca. Zresztą nie mam dokąd uciec...

Znowu przesunął dłońią po oczach.

– Pewno chcesz, abym ci opowiedział o sobie? Więc ja także zostałem sam... Kathy nie żyje. Już od dawna. Piętnaście lat. Zginęła w katastrofie samochodowej. Jej szczęście zresztą...

Miała raka i zaczynała się już tego domyślać... To byłoby dla niej straszne... Bała się każdego bólu...

Przerwał i zapatrzył się w blade niebo nad grotami cyprysów, które tworzyły aleję na krańcu łąki. Oddychał jakby ciężiej. Podjął na nowo:

– Zostałem sam. Nie ożeniłem się po raz drugi, choć może powinienem był to zrobić...

Ale myślałem, że może Kathy miała rację, gdy skarżyła się, że nie mam nigdy dla niej czasu.

Nie miałem czasu, to prawda... Utonąłem w interesach. Przejąłem sprawy teścia, całe jego przedsiębiorstwo. Co otrzymałem, pomnożyłem. Teraz to już nie jest przedsiębiorstwo, ale cały koncern. Robimy interesy wszędzie, mamy swoich przedstawicieli na całej kuli ziemskiej.? Chciałem jej dać przynajmniej pieniądze. Dużo, dużo pieniędzy... Tego jej nie brakło. Mogła mieć wszystko, czegokolwiek zapragnęła. Oczywiście to, co mogła kupić... – zaśmiał się gorzko.

Jeszcze raz urwał. Koło basenu na łące powstał jakiś zamęt. Młody mężczyzna, stojący obok zgrabnej dziewczyny, odepchnął ją gwałtownie. Wymachując dłońmi, coś krzyczał. Ale natychmiast otoczył go tłum dziewcząt. Biegła także w tamtą stronę kobieta, która przyprowadziła Andrzeja. Krzyk ucichł równie nagle, jak wybuchnął. Po chwili widać było, jak dwie pielęgniarki wyprowadziły z koła zebranych widzów młodego mężczyznę. Otaczał ramionami ich szyje, opierał dłonie na piersiach. Miał twarz głupkowato uśmiechniętą. Z boku szła tamta kobieta.

– Widzisz, tak jest tu u nas... – powiedział. – Więc – wrócił do tego, o czym mówił poprzednio – przedsiębiorstwo stało się wielkim koncernem. Stoję na jego czele. Robimy

wiele interesów. O niektórych mówi się, że to są brudne zyski... Może... Jednak pieniądze dają siłę, a siłę trzeba mieć... Kiedy jeszcze trwała wojna Stanów z Wietnamem, stworzyliśmy w Hongkongu wielki dom wymiany. Sprzedawaliśmy Chińczykom amerykańskie towary, a chińskie Amerykanom. Potem zjawił się inny, nie gorszy interes. Heroina. Nie tylko sprzedawaliśmy ją. Jak pewno wiesz, w Laosie i w Birmie są największe plantacje maku. Trzeba było tak pokierować polityką i strategią amerykańską, aby te plantacje nie dostały się w ręce czerwonych. Ci, co czytali gazety, nie pojmowali, dlaczego tu, a nie tam zakładane były amerykańskie bazy, dlaczego dokonywały się lokalne przewroty... Oczywiście, trzeba było za to płacić: rozmaitym kacykom lub amerykańskim generałom... Ale zyski pokrywały wkłady. Wierz mi: za pieniądze można wszystko... Teraz znowu zaczęliśmy kapitalny interes. Żeby tylko wrócił do zdrowia, będą z tego miliardy... I cóż ty na to? – w głosie Karwatta pojawił się nagle ton wyzwania. – Może i ty uważasz, że to, o czym ci opowiadam, to coś diabelnie niemoralnego?

Wydał wargi i patrzył na Andrzeja.

Teraz dopiero przypominał chłopca, jakim był kiedyś – przedsiębiorczego, skłonnego do bezwzględności, nie znoszącego krytyki. Życzliwego przyjaciółom, ale twardego wobec tych, z którymi walczył. W szkole mówiło się o nim: dobrze jest mieć Karwatta po swojej stronie, ale biada jego wrogom. On nie ustąpi nigdy,

– Od dawna zrezygnowałem z moralizowania... – mruknął.

– Masz rację. Nasz świat oszalał. Jest tak zepsuty, że go już bardziej zepsuć nie można. Trzeba dbać o swój interes, a potem... niech przychodzi potop! Zresztą, kiedy się ma forszę, wtedy dopiero można komuś pomóc, prawda? Ja forszę mam. Ale widzisz...

Zaczął – lecz nie skończył. Urwał. Przysłonił dłonią oczy i siedział dłuższy czas

milcząc. Zaniepokoiło to rudowłosą pielęgniarkę. Wstała, podeszła do Karwatta. O coś go

spytała cicho. Mężczyzna potrząsnął głową. Ale tamtej to nie uspokoilo. Stała dalej obok swego pacjenta. Pochyliła się nad nim, zaczęła mu poprawiać poduszkę. Odkrytym dekoltem dotykała policzka Karwatta. Coś mu szeptała. Ale on strząśnięciem ramienia oddalił ją od siebie. Cofnęła się i rzuciła atakującym spojrzeniem na Andrzeja. Zobaczył gniew w jej czarnych oczach, pod opadającymi na brwi ufarbowanymi na czerwono włosami. Rozmawiali po polsku, więc nie wiedziała, o czym mówią, ale musiała zauważyć wyczerpanie swego pacjenta. Może uważała, że Andrzej ponosi za to winę? Nagle obróciła się na palcach, mignęła ledwo przykrytym zadkiem i energicznym krokiem poszła w stronę tarasu, gdzie siedziała dama, która przyprowadziła Andrzeja.

– Może czujesz się źle? – zapytał Andrzej. – Wydaje mi się, iż ona poleciała skarżyć, że za dużo mówisz...

– Mówię tyle, ile trzeba, aby ci wszystko powiedzieć! – rzucił. – Do diabła! Po to cię sprowadziłem!

– Skoro już tu jestem, mogę cię odwiedzić jutro...

– Muszę obgadać z tobą wszystko dzisiaj. Potem może nie być czasu. Widzisz chyba, że ten zakład nie jest zwykłym domem wypoczynkowym. Tu zamyka się takich, których trzeba chronić przed nimi samymi. Każdy z nas w każdej chwili... Rozumiesz? Wokoło tarasu na dachu jest siatka. Wiesz dlaczego? Gdyby jej nie było, co chwila by któryś skakał... Przy każdym z nas stoi dziewczyna. Jest na wszystko gotowa. Płaci się jej za to, żeby ci przywracała chęć do życia... Ale i to nie zawsze skutkuje. Pilnują cię, karmią uspokajającymi pastylkami... Jesteśmy ludźmi, których się na siłę trzyma przy życiu... Ale pewnego dnia...

Czerwonowłosa dziewczyna wróciła w towarzystwie damy. Kobieta powiedziała surowo:

– Proszę skończyć już rozmowę. *Signor direttore* jest wyczerpany. Musi odpocząć.

Zgodziłam się, a pan obiecał...

Ale to Karwatt przerwał damie. Zrobił niecierpliwy ruch ręką.

– Niech pani stąd idzie! Nie przeszkadzać!

– Przepraszam – kobieta skłoniła się z godnością – ale ja mam obowiązek... Jesteśmy za zdrowie pana dyrektora odpowiedzialni... Regulamin wymaga...

– Dość! – podniecony głos Karwatta stał się krzykiem. – Do diabła z waszym regulaminem! Niech pani sobie idzie! Póki tej sprawy nie załatwię...

– Proszę się nie denerwować, proszę się tylko nie denerwować – kobieta robiła uspokajające ruchy rękami. – Czy długo jeszcze będzie trwała rozmowa? – zwróciła się do Andrzeja.

Zamiast niego odpowiedział porywczo Karwatt:

– Tyle, ile trzeba! Potem będziecie się nade mną trzęśli. Ale teraz niech się pani wynosi stąd do wszystkich diabłów!

– Proszę przynajmniej zażyć lekarstwo... – złożyła prosząco dłonie. Gdy nie protestował, skinęła na pielęgniarkę. Rudowłosa wytrząsnęła na spodeczek kilka różnokolorowych pastylek. Przygotowała jakiś płyn. Wszystko to podała Karwattowi.

Niecierpliwie połknął pigułki, a potem zrobił dłonią gest odpędzający kobiety.

– Idźcie sobie! – Mówił teraz do Andrzeja: – Kiedy te wszystkie świństwa łykamy, tam, za zakładem, mówi się, że od tego zwariujemy. Ale one mogą nas tym karmić. Zupełny idiotyzm. Świat oszalał, a my razem z nim. Niedługo wariaci będą zamykali zdrowych do szpitali lub do więzień. Czego pani jeszcze chce? – wybuchnął widząc, że kobieta nie odeszła, ale stoi dalej w pobliżu.

– Już idę, idę, panie dyrektorze... – Ale pełne niepokoju oczy kobiety szukały oczu

Andrzeja. – Bardzo pana proszę... – szepnęła. W końcu odeszła. Pielęgniarka wróciła do

swego stolika.

Karwatt zaśmiał się sucho. Znowu to brzmiało, jakby, ktoś przerzucał drewniane klocki. Jego podniecenie, zdawało się, nieco opadło.

– Oczywiście pamiętasz Kathy?... – zapytał niespodziewanie. Andrzej drgnął.

Obrzucił Karwatta szybkim spojrzeniem.

– Oczywiście...

– Jak wiesz, zostawiła dziecko.

– Skąd mogę wiedzieć?...

– Byłem pewny, że wiesz. Córkę.

Milczał. Obracał w palcach próżną szklanekę. Jego błędzący wzrok napotkał oczy pielęgniarki. Dziewczyna zrozumiała jego spojrzenie jako prośbę: skinęła głową i odeszła w stronę budynku. Karwatt wcisnął dłonie głęboko w kieszenie marynarki.

– Córkę – powtórzył. – Ma teraz dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat... Jest podobna do Kathy. Ale także inna... Jeśli umrę, zostanie zupełnie sama. Zupełnie... Nie ma nikogo, kto by mógł się nią zająć... Jest moja siostra, Ela. Pamiętasz ją na pewno. Ale ona... – zrobił lekceważący ruch dłonią. – Mimo to dziewczyna jest u niej. Miałem z nią już przedtem tysiące kłopotów. Teraz są także... Okropni są ci młodzi! Mają jakieś swoje zwariowane pomysły. Żebyś nie wiem co im dawał...

Każde słowo Karwatt wyrzucał z siebie jakby z wysiłkiem. Nie patrzył na Andrzeja.

Po ostatnim zrobiła się dłuższa cisza.

– Gdzie mieszka Ela?

– W Rzymie. Teresa jest u niej. Studiuje... Ale tak naprawdę to nie wiem, co robi...

Karwatt skrzywił się, jakby poczuł jakiś ból.

– Mogłem dać jej wszystko. Wszystko, czego by zapragnęła. Chciałem dać... Tak jak

Kathy... Ale ona... – Zaciśnął usta, zamknął oczy. Przez chwilę kiwał się w milczeniu. –

Ściągnąłem cię, aby cię prosić, byś roztoczył nad nią opiekę – rzucił wreszcie.

– Ja?

– Ty...

Pielęgniarka wróciła z nową szklanką whisky. Przydała się bardzo, Andrzej wypił

duży łyk. Musiał zebrać myśli, zanim przyszło mu sformułować odpowiedź:

– Jestem zaskoczony. Nigdy nie miałem dziecka. Nie rozumiem dzisiejszych

młodych... Przecież nie jesteś tak ciężko chory?...

Gdy mówił, miał oczy spuszczone. Dopiero przy tym pytaniu podniósł wzrok na

Karwatta. Tamten siedział ze ściągniętymi brwiami, z zaciśniętymi ustami.

– Jestem... – powiedział. – Ale nie tylko to... Szukałem cię całej Europie.

Interesowałeś się zawsze kobietami. Leciały na ciebie...

– Przesadzasz.

– Nie. Dla mnie najważniejszą sprawą była walka i władza. Ty szukałeś kobiet...

– Jestem pisarzem...

– Pisarze są różni. Ciebie zajmowały kobiety jako kobiety. Znasz je. Powinieneś

rozumieć. Ja ich nie rozumiem... Ona mnie także nie rozumie... Mam uczucie, że mnie

nienawidzi...

– Co ty mówisz? To niemożliwe.

– Możliwe, możliwe... Ela jest także wobec niej bezradna. Jeśli umrę... Tutaj wszyscy

się wykańczają... Oni tylko przeciągają sprawę, aby wypompować jak najwięcej forsy.

Obiecuj mi...

– Ależ, Jurku, mówię ci...

– Proszę cię... Musimy już kończyć. Czuję się naprawdę źle... Obiecuj mi.

– Nie mogę. Zrozum.

– Możesz. Zrobisz to. Wierzę... Byliśmy tyle lat przyjaciółmi. Są między nami dawne sprawy...

– Ale jak? Nie potrafię...

– Ona jest już kobietą. Dogadasz się z nią. – Gestem przywołał pielęgniarkę: – Klara, *appunti!*

Podala mu pospiesznie jakąś teczkę. Wyjął z niej kartkę.

– Masz tu adres Eli. A to adres mego biura w Mediolanie. Idź tam zaraz jutro, zobacz się z moim sekretarzem. Jest uprzedzony. On ci we wszystkim pomoże...

– Nie pójdę. Nie mogę tego zrobić dla ciebie. Jestem człowiekiem skończonym.

Przemęczonym... Tam, w Norwegii, znalazłem odpoczynek...

Urwał spojrzawszy na twarz Karwatta. Była szara. Oczy mu przygasły, usta opadły.

Oddychał gwałtownie i ciężko.

– Idź tam... Jedź do Rzymu... On ci pomoże...

– Lecz, Jurku...

– Idź... Już nie mogę...

Poderwał się gwałtownie i zaraz opadł w leżak, jakby trafiony niewidzialnym

pociskiem. Już nie oddychał, ale rzeził. Ruda pielęgniarka gwałtownymi gestami wezwała na

ratunek damę. Ta nadbiegła spiesznie. Spojrzawszy z urazą na Karwatta, zaczęła wydawać

polecenia. Szybko zjawiło się dwóch mężczyzn z noszami. Położyli na nie Karwatta

i dyskretnie, bokiem tarasu, odeszli w stronę domu. Pielęgniarka oddaliła się razem z nimi.

Dama powiedziała, kiwając frasobliwie głową:

– Widzi pan, czym się taka rozmowa kończy... Rozłożył ręce. Zaczął się tłumaczyć:

– Nie dał sobie przerwać. Chciałem...

– Tak, tak. Domyślam się tego. Jestem pewna, że pan chciał skończyć w porę. Ale dyrektor jest taki... Niecierpliwy, trudny. Innych można czymś zająć...

– Co pani myśli? Czym się to skończy?

– Teraz jeszcze niczym. Ale któregoś dnia... – potrząsnęła złowroźnie dłonią. – Jego by trzeba od wszystkiego uwolnić. Ale czy to możliwe? Najgorsze jest to, co siedzi w środku, w człowieku...

Przywołała jakąś kręcącą się bez zajęcia pielęgniarkę i poleciła jej odprowadzić

Andrzeja do wyjścia. Na pożegnanie uśmiechnęła się – smutnie, ale życzliwie.

– *Arrivederci* – powiedziała. – A o dyrektora proszę się tak bardzo nie obawiać.

Myślę, że tym razem nic mu nie będzie...

Ruszył zamyślony za dziewczyną w króciutkich szortach. Znowu szedł aleją między nieprzeniknionymi dla wzroku ścianami zieleni. Był tak pogrążony w myślach, że nie odzywał się do swej towarzyszki, ona, widać zawiedziona jego milczeniem, zaczęła cicho nucić jakąś melodyjkę. Miał niemiłe uczucie, że przykry ciężar spadł mu na barki. Myślał z tęsknotą o Helle i o Stagnes. Wreszcie znalazł się na parkingu, gdzie czekała na niego taksówka.

Biuro koncernu mieściło się w budynku przy via Manin. Po drugiej stronie ulicy znajdował się park; wzdłuż muru stał rząd luksusowych aut. Hall na dole pełen był marmurów, brązów, kryształów, luster, palm w doniczkach. Drzwi otwierał z godnością wąsaty portier w liberii. Gdy tylko Andrzej wymienił swoje nazwisko, z niskim ukłonem odprowadził go do windy i oddał w ręce boya ubranego w kusy fraczek ze złotymi guzikami. Winda ruszyła w górę szybko i prawie bez szmeru. Na piętrze, na którym wysiadł, był również wspaniały hall. Pod palmami stały miękkie skórzane fotele, nad nimi zwisały nisko kryształowe żyrandole.

Boy wskazał mu szeroki korytarz, ale ledwo Andrzej zwrócił się w tamtą stronę, zobaczył idącego mu na spotkanie młodego mężczyznę, ubranego z niezwykłą elegancją. Mężczyzna uśmiechał się, błyskając białymi zębami, i raz po raz odruchowo przyglądał czarne, lśniące włosy. Jego twarz przypominała twarz Rudolfa Valentino. Było widoczne, że portier zdążył uprzedzić go o przybyciu Andrzeja.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – powiedział skłaniając nisko błyszczącą głowę. –

Nazywam się Ugo Benuzzi, jestem sekretarzem osobistym dyrektora Karwatta. Czy mogę prosić do gabinetu dyrektora? – zrobił szeroki gest. – Oczekujemy pana od rana.

Prowadził go przez pokój, który wyglądał na poczekalnię, i przez drugi, w którym siedziały dwie sekretarki. Wreszcie otworzył drzwi obite ceratą i wpuścił Andrzeja do środka.

Gabinet był ogromny. Podłogę krył puszysty dywan. Pod oknem stało wielkie biurko, a na nim kilka telefonów oraz aparat z ekranikiem telewizyjnym. W drugiej części pokoju, pod rozłożystą palmą stał barek, a obok stół otoczony fotelami. Mała fontanna, miniatura Trevi, oświetlona od wewnątrz, szemrała cicho. Na ścianie naprzeciw biurka wisiał naturalnej wielkości portret miedzianowłosej kobiety w balowej sukni. Andrzej od razu poznał Kathy.

To była jej okrągła lalkowata twarz, skośne oczy, przyplaszczony lekko nos – cechy odziedziczone przez Kathy po matce, Chince czy Birmance. Kathy na obrazie była właśnie taka, jaką pamiętał. Wspomnienia napływały rwącym strumieniem. Benuzzi trzymał się dyskretnie z boku. Milczał i dopiero kiedy Andrzej przerwał kontemplację obrazu, zapytał:

– Czym mogę pana poczęstować? – Mówiąc nie przestawał robić szerokich gestów.

Miał dłonie starannie utrzymane, o wypielęgnowanych paznokciach. Z rękawów wysuwały się mankiety koszuli, spięte ogromnymi spinkami. Marynarka i spodnie były znakomicie dopasowane, z pierwszorzędного materiału. – Bourbon, martini? Może jakiś cocktail?

– Po prostu campari.

– Ależ naturalnie!

Wszystko było przygotowane na barku: alkohol, lód, słone ciasteczka, kostki sera.

– Jak pan znalazł wczoraj dyrektora?

– Nie widziałem go od lat, to prawda. Ale to, co zobaczyłem... Zemdlał podczas rozmowy. Czy jest z nim aż tak źle?

– No, nie jest najlepiej... – Benuzzi zrobił wymowny ruch dłońmi i uśmiechnął się, jakby chciał tym uśmiechem wywinąć się od dalszych tłumaczeń. – Ale czasami wygląda to gorzej, niż jest naprawdę. Dyrektor zbyt wiele pracuje... – dorzucił takim tonem, jakby chciał już zamknąć dyskusję na ten temat. – Wiem, że zemdlał. Ale potem szybko przyszedł do siebie. Rozmawiałem z nim telefonicznie już po pana odejściu. Powiedział mi, że zgodził się pan pojechać do Rzymu i zająć się signoriną Teresą...

– Dyrektor zwrócił się z tym do mnie. Nie mogłem mu odmówić ze względu na jego stan. Ale właściwie nie jestem wcale zdecydowany...

– Ach, nie powinien pan odmawiać prośbie pana dyrektora! – Benuzzi zrobił szeroki gest, jakby to on sam o to prosił. – Dyrektor był taki szczęśliwy, gdy mówił o pana zgodzie.

Od razu poczuł się lepiej.

– Być może, być może... Ale ja nie mogę podjąć się czegoś, czego nie potrafię...

– Czyżby to był aż taki problem? – sekretarz uśmiechnął się szeroko.

– Opieka nad młodą dziewczyną... Podobno są z nią jakieś trudności...

– Trudności są rzeczywiście – przyznał. – Panna Teresa jest bardzo samodzielna. Za

bardzo... – zaśmiał się. – Taka zresztą jak cała młodzież dzisiaj. Niezwykły temperament,

nieprawdopodobne pomysły... Aż trudno uwierzyć, że jest córką naszego dyrektora. On taki

opanowany. Nie znałem matki panny Teresy. Pan ją pewno znał?

– Znałem.

– To było dawno?

– Więcej niż dwadzieścia lat temu. Wyglądała właśnie tak, jak na tym portrecie... Na

zewnątrz wiele spokoju, prawdziwie wschodniego spokoju. Ale pod tym był rzeczywiście

wulkan...

– A więc jednak – Benuzzi śmiał się. Włożył dłonie między kolana i tarł je o siebie. –

Tutaj wulkan jest stale czynny. Z tym wszystkim osoba naprawdę pociągająca. Najgorsza

rzecz to towarzystwo, w jakim się obraca... A przecież odziedziczył kiedyś piękną fortunę –

zatonął wzrokiem krąg po zdobnych w delikatne stiuki ścianach gabinetu. – Powinna wyjść

za męża, dostać człowieka, który by się zaopiekował i nią, i całym interesem... Sądzę, że

dyrektor, myśląc o opiece nad nią, spodziewał się, że pan znajdzie kogoś właściwego i tym

mu pomoże. Dziś rodzice mają tak mało wpływu na swoje dzieci...

– Nie ma narzeczonego?

Benuzzi skrzywił się.

– Chodzi, owszem, z jakimś. Ktoś bardzo niepoważny... Nie muszę chyba panu

mówić, jak bardzo dyrektor jest temu przeciwny... Ale jestem pewny, że rzecz jest do

odkręcenia. Znam pannę Teresę. Zapala się i szybko gaśnie...

Zagłębiony w miękkim fotelu raz po raz spoglądał na portret Kathy. Siedział czas jakiś w milczeniu.

– Nie rozwiązał pan moich niepokojów – powiedział. – Nie rozumiem, dlaczego dyrektor wybrał właśnie mnie... Tyle lat się nie widzieliśmy. Nie mam żadnego doświadczenia w sprawach z młodymi ludźmi. A najważniejsze, jestem kimś, kto sam potrzebuje spokoju... – ostatnie słowo rozbił na sylaby.

– To oczywiste – rzekł Benuzzi. – Jest pan przecież pisarzem. Ale małżeństwo panny Teresy uwolni pana od razu od wszystkich kłopotów. Oczywiście, rozsądne małżeństwo.

– Bardzo pięknie, ale zanim do niego dojdzie... Jest mi naprawdę ciężko, że dyrektor wymógł na mnie tę zgodę... Może go jeszcze przekonam. Tymczasem jednak gotów jestem pojechać do Rzymu...

– Dyrektor będzie zachwycony. A my tutaj – położył obie dłonie na piersi – jesteśmy do pańskiej dyspozycji. – Poderwał się, Przyniósł z biurka jakiś blankiet. – Proszę tylko łaskawie o podpisy...

– Podpisy? Na czym?

– Podpisów potrzebuję do otworzenia książeczki czekowej na pańskie imię. Konto jest już przygotowane. Przelejemy na nie dwadzieścia pięć milionów lirów. Gdyby pan jednak potrzebował więcej...

Odruchowo zrobił gest, jakby chciał odepchnąć dłońmi propozycję sekretarza.

– Po co te pieniądze? I jeszcze tyle?

Benuzzi uśmiechnął się.

– Suma wydaje się duża, ale pan wie, że te nasze miliony... – machnął lekceważąco

dłonią. – Tak zresztą postanowił dyrektor. Oczywiście, jak powiedziałem, zawsze możemy

panu dostać tyle, ile będzie trzeba. Ale gdyby pan stanął wobec konieczności, na przykład, nagłego wyjazdu...

– Jadę do Rzymu, nigdzie dalej. Przecież tam przebywa córka dyrektora?

– W tej chwili tak. Wczoraj wieczorem rozmawiałem telefonicznie z panią Karwatt.

Ale z panną Teresą nigdy nie wiadomo... Może nagle powitać sytuacja, że trzeba będzie za nią jechać na drugi koniec świata...

– Ładna perspektywa. Chcę wrócić jak najszybciej do siebie.

– Proszę naprawdę nie tracić odwagi. Dyrektor ogromnie liczy na pana.

Westchnął.

– Na Rzym zdecydowałem się. Czy mogę prosić o załatwienie biletu na samolot?

– Na dziś po południu?

– Chyba tak.

– Wszystko zostanie dokładnie załatwione. Samolot mamy o piątej. Odpowiada to

panu? Auto, które teraz odwiezie pana do hotelu, przyjedzie znowu po pana, aby go zabrać na lotnisko. Będę tam z biletem i książeczką czekową. Zamówię także hotel w Rzymie. Gdyby coś jeszcze okazało się potrzebne, proszę, oto mój telefon. Jedno słowo, a jestem w każdej chwili do pańskiej dyspozycji.

Andrzej nie zjechał windą. Wolał zejść marmurowymi schodami. Miał uczucie lekkiego zawrotu głowy. Na dole obok portiera czekał mały pękaty kierowca. Ukłonił się służbiście. Wydawał się zaskoczony skromnym wyglądem hotelu, do którego odwiózł Andrzeja.

Gdy Andrzej znalazł się w swoim pokoju, zanim wziął się do pakowania walizki, stanął zamyślony przy oknie. Widział z niego tylko dachy domów pokryte spłowieła dachówką. Trochę dalej sterczała baniasta kopuła. Nie mógł się pozbyć dokuczliwego uczucia, że mu zrzucono na barki przykry ciężar. Miał to w naturze, że rzecz przykra, na którą przychodziło mu czekać, nabierała z każdą chwilą czekania jeszcze większej wagi.

Jednocześnie utracony spokój rósł w cenę. Już wieczorem poprzedniego dnia dzwonił do Helle. Powiedział jej o tym, co mu narzucił Karwatt. Potraktowała to żartobliwie. „Nie przejmuj się – powiedziała – na pewno wygląda to gorzej z daleka. Z bliska nie będzie takie straszne...” A przecież wtedy jeszcze nie wiedział tego wszystkiego, co mu powiedział Benuzzi.

Już miał wrócić do składania rzeczy, gdy nagle murami kamienic, które miał przed sobą, wstrząsnęła ciężka eksplozja. Od wstrząsu zadygotały ściany hotelu. Gdzieś zadzwoniły szyby. Na korytarzu rozległ się okrzyk: Santa Madonna! Otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz. Sprzątaczką w błękitnym fartuchu stała wsparta na drągu elektrycznej froterki. U jej nóg plątały się zwoje kabla niby oswojone węże.

– Co się stało? – zapytał.

Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.

– Kto to wie? Pewnie znowu bomba.

– Bomba?

Wyciągnęła ramiona żalonym gestem.

– Santa Maria, ciągle te bomby! Podkładają wszędzie, pod urzędy, pod banki, pod sklepy, rzucają do mieszkań, posyłają pocztą... Nie wiadomo kto i dlaczego. Ani chwili spokoju... Ciągle trzeba się bać...

Pociągając żalśnie nosem, wzięła się do przerwanej roboty. Wrócił do pokoju i do składania rzeczy. Miasto za oknem zdawało się huczeć głośniejsz niż przedtem. Przypominało rozdrażniony rój pszczeł. Doleciał go zawodzący głos syreny: gdzieś niedaleko pędziła karetka pogotowia lub wóz policyjny.

Zawiadomiono go, że przyjechało po niego auto. Płacąc należność, zapytał recepcjonistę:

– Nie wie pan, co to był za wybuch? Może przed godziną...

– Nowa bomba! Podłożyli na via Magenta.

– Kto podłożył? I dlaczego?

– Kto to wie? Może dzieci?

– Dzieci? Jak to dzieci?

- One też potrafią załatwiać w taki sposób swoje porachunki. Ten sklepikarz, u którego podłożyli, ma syna. Czternaście czy piętnaście lat. Dwie bandy chłopców toczą ze sobą wojnę, a jego syn należy do jednej z tych band.

– Są ofiary?

– Tak, jedna osoba zabita i dziecko ranne...

Kierowca, który przyjechał po Andrzeja, znał kilka dalszych szczegółów.

– Tak, to rozprawa między dwoma gangami – opowiadał. – Chłopcy ciągle walczą ze sobą. Jedni uważają za swój teren skwery koło San Ambrogio, drudzy park zamkowy.

Podporządkowali sobie całe dzielnice. Zmuszają kupców do płacenia haraczu. Jak się który

opiera, niszczą mu towar. Także wzajemnie wchodzą sobie w drogę...

– Mogę zrozumieć, że się biją. Ale podkładanie bomb?

– Och, oni są gotowi na wszystko. Mają broń. Policja nic im nie zrobi. Wyglądają na dzieci...

Zamyślił się znowu.

Nie miał nigdy dziecka. Brenda nie chciała nawet słyszeć o tym. Lękała się, że dziecko mogłoby stanąć na drodze jej wiecznie nie zrealizowanych projektów scenicznych. On zresztą także nie myślał wtedy o dziecku. Ważniejsze były plany twórcze. Pochłaniały go całkowicie, żądały niezależności. Gdy potem powstał konflikt między nim a Brendą – sprawa dziecka całkowicie zniknęła z pola widzenia. Oboje pragnęli tylko wolności.

Potem już żył niczym nie związany. Raz jeden – tak, raz jeden pojawiła się jeszcze w jego życiu sprawa dziecka. To było w okresie jego związku z Krystyną. Pierwszy i jedyny raz Andrzej był gotów wtedy zrezygnować z czegoś. Wydawało mu się – i może ciągle jeszcze pozostawało w nim to przekonanie? – że ta miłość była jedyną miłością w jego życiu.

Wiedział, że Krystyna pragnie dziecka. Ale wiedział także, że Krystyna ma swoje przekonania, które nie pozwalają jej zostać żoną człowieka żonatego. Ten konflikt rozwiązała kobieta swoim odejściem. „Skoro wszystko jest sprzecznością – powiedziała – muszę się wyrzec wszystkiego...”

Na lotnisku, w barze, czekał na Andrzeja Benuzzi.

– Proszę spocząć – wskazał ręką stolik. – Mamy trochę czasu. Podawali przed chwilą, że odlot samolotu uległ opóźnieniu.

– Czy się coś stało?

– W Rzymie miały miejsce wczoraj zamieszki studenckie. Podobno nawet dość poważne. Są zabici i ranni. Być może, że to w związku z tym powstało małe zamieszanie w ruchu lotniczym. Ale na pewno nie potrwa długo. Historie studenckie zdarzają się ciągle, można się było już do nich przyzwyczaić...

– No, to poczekamy.

– Przed godziną dzwonił dyrektor. Chciał mieć pewność, że zrobiliśmy wszystko dla pana. Proszę, oto bilety. A tu książeczka czekowa. W kopercie sto pięćdziesiąt tysięcy, gdyby pan potrzebował jeszcze dzisiaj za coś płacić. Na Fiumicino czeka na pana auto hotelu „Astoria”. Pokoje zarezerwowane. Wieczorem zgłosi się do pana nasz urzędnik z rzymskiego biura. Proszę nim dysponować jak swoim sekretarzem. Ja także zadzwonię wieczorem. Chciałbym przekazać dyrektorowi wiadomość, że jest już pan na miejscu...

– Dziękuję.

– Zawiadomiłem także signorę Karwatt.

– Ekspediuje mnie pan niby wartościową przesyłkę.

– Nie jest pan przesyłką, ale wiem, jak bardzo zależy dyrektorowi na pana wyjeździe do Rzymu. Zresztą, nam wszystkim także.

– Naprawdę?

– Sprawy dyrektora są naszymi sprawami. – Rozejrzał się. – widzę, że trzeba będzie poczekać dłużej, niż myślałem. Może się Czegoś napijemy?

– Zgoda.

– Proponowałbym martini.

– Niech będzie martini.

Benuzzi podniósł rękę i szybkim ruchem palców przekazał kelnerowi zamówienie.

– Kiedy wyjeżdżałem z hotelu – powiedział Andrzej nabijając fajkę – na via Magenta wybuchła bomba podłożona w jakimś sklepie...

Benuzzi wzruszył lekceważąco ramionami.

– To się zdarza codziennie...

– Naprawdę? Tu, w Mediolanie?

- W całej Europie, nie mówiąc już o Stanach. Pan przyjechał z Norwegii, prawda?

Czyżby tam było inaczej?

– Może nie jest inaczej. Siedzę na odludziu, gdzie takie rzeczy jeszcze nie są na porządku dziennym. Odkąd tu przyjechałem, czuję się jak ktoś, kto zabłądził w dżungli!

Benuzzi wybuchnął śmiechem.

– Rozumiem. No cóż, toczy się walka...

– Kogo z kim?

Sekretarz przestał się śmiać. Jego zwinne palce przesuwają się po nóżce kieliszka.

Wzrok miał spuszczone.

– Wszystkich ze wszystkimi. Także młodych ze starymi. Ze starszymi... – poprawił się. – Takich, którzy mają lat dwadzieścia, z takimi koło pięćdziesiątki...

– Synów z ojcami?

– Mniej więcej. Synów, którzy nie chcą czekać na odejście ojców.

Zawieszony przy wejściu do baru telewizor wykrzykiwał ciągle jakieś informacje.

Benuzzi urwał i przez chwilę nasłuchiwał. Potem rzekł:

– Tak, jeszcze musimy czekać.

– Wracając do naszej dyskusji – Andrzej przyłożył zapalną do fajki, która zgasła – jednak to, co pan mówi, nie tłumaczy się jasno. Konflikty pokoleń istniały zawsze...

– Konflikty były zawsze – przyznał Benuzzi, obracając w palcach pusty kieliszek. –

Ale teraz to już nie konflikt, lecz wojna. Dawniej młodzi narzekali, buntowali się, dziś gotowi są brać siłą. – Nie chcą się zgodzić, aby starzy... starsi – poprawił się znowu – urządzali świat na swój sposób. A poza tym zmieniły się w ogóle metody – Czy mogę zamówić jeszcze po jednym?

– Proszę.

– *Cameriere!* – znowu pstryknięciem palców sekretarz dał znak kelnerowi, aby podał nowe kieliszki.

Ciekawi mnie w takim razie – Andrzej podniósł wzrok na sekretarza – ile pan ma lat.

– Obserwował go przez chwilę. – Wygląda pan na dwadzieścia pięć...

– Trafił pan w dziesiątkę. Właśnie tyle.

– Czy pana to nie zobowiązuje do udziału w tej walce? Benuzzi śmiał się długo

i bardzo głośno, jakby po usłyszeniu znakomitego dowcipu. Ale Andrzej podejrzewał, że ten śmiech może być unikiem. Postanowił zmusić sekretarza do wyraźnej odpowiedzi.

– Więc jak? Po której pan jest stronie?

Benuzzi wziął w palce nowy kieliszek.

– Jeżeli pan pozwoli, wyjaśnię rzecz z całą szczerością – powiedział. – Jestem urzędnikiem koncernu i sekretarzem dyrektora. Sprawy przedsiębiorstwa są moimi sprawami.

– A koncern jest po czyjej stronie?

– Koncern musi być po stronie tych, którzy gotowi są prowadzić z nami transakcje.

Taka jest dewiza handlu...

– Czym wy właściwie handlujecie? Dyrektor mówił o jakichś historiach z opium.
– Zajmowaliśmy się tym także. To był dobry interes. Koncern zarobił na tym miliony, oczywiście dolarów. Ale to się kończy. Wszyscy teraz handlują narkotykami. Zajęliśmy się ostatnio czymś nowym. Muszę się pochwalić, że to był mój pomysł...

– Cóż to takiego?

– Działalność usługowa na rzecz krajów, które zajmują się produkcją atomową.

– To ciekawe. W czym im pomagacie?

– W oczyszczaniu ich terenu z odpadów radioaktywnych...

– To właściwie wydaje się jakąś akcją społeczną.

– Tak, właściwie tak... Przepraszam, właśnie coś mówią. O. zapowiedzieli odlot pańskiego samolotu. Możemy przejść do Poczekalni.

Była to wielka sala pełna kątów i załomów. Między filarami znajdowały się stoiska z towarami zwolnionymi od cła. Wśród stoisk, automatów ze słodyczami i papierosami, wśród plastikowych kloszy, pod którymi można było rozmawiać z automatów telefonicznych, wśród kolorowych afiszów, reklam i połyskujących luster gubiły się postacie czekających na samolot pasażerów. Była wśród nich młoda kobieta z kilkuletnim dzieckiem; kilku grubych mężczyzn z wypchanymi teczkami, wyglądających na przedstawicieli handlowych; kilku innych bez żadnego wyrazu, a wśród nich czarno ubrany pan z koloratką na szyi. Z boku, w głębokim fotelu, siedział przystojny młody mężczyzna, z długimi aż po ramiona włosami i z jasną bródką. Był ubrany w kwiciastą koszulę i w coś, co przypominało fantastyczny huzarski mundur. Mężczyzna wydawał się zniecierpliwiony: co chwila odrzucał papierosa, którego palił, wstawał, robił kilka kroków w jedną lub w drugą stronę, stukając głośno wysokimi obcasami. Potem znowu rzucał się w fotel, zakładał wysoko nogę na nogę, ukazując nabijany ćwiekami but i barwną skarpetkę, sięgał na nowo do papierośnicy...

W okienku telewizora ukazała się głowa spikerki, która zapowiedziała:

– Pasażerów odlatujących do Rzymu prosimy do samolotu...

– To do zobaczenia – wyciągnął rękę do Benuzziego.

– Do zobaczenia – sekretarz potrząsnął z zapalem podaną rękę. – Bardzo liczymy na pana pomoc. Arrivederci. Między ósmą a dziewiątą pozwolę sobie zatelefonować.

Andrzej ruszył w stronę wyjścia razem z grupą, którą poprzednio zobaczył. Z kątów poczekalni wynurzyli się także inni pasażerowie, których poprzednio nie zauważył.

W przejściu stewardesa w kokieteryjnym kapelusiku sprawdzała bilety. Tuż przed Andrzejem szedł młody człowiek z długimi włosami, w mundurze z operetkowego królestwa. Andrzej ujrzał w czarnych oczach stewardesy wyraz zachwytu, niemal adoracji.

– Ach, signor Marcello! – zawołała. Złożyła dłonie jak do modlitwy, nie patrzyła na bilet, ale na chłopaka. – W podróż?

– Tak. Do Rzymu... – uśmiechnął się łaskawie. – Niedaleko.

– Jakiś występ?

– Śpiewam jutro na dużym mityngu.

– Będę na pewno słuchała. Na pewno. A czy mogłabym... czy mogłabym poprosić o autograf? I parę słów... Nazywam się Angela. Och, byłabym taka szczęśliwa...

Zrobi się, *mia bella*. Trzymaj – podał jej swoją walizeczkę a na niej położył kartkę

podsuniętą przez stewardesę. Uniósł rękę z ołówkiem gestem pełnym afektacji. Potrząsając

głową i włosami zdawał się namyślać, co ma napisać. Nie liczył się ze stojącymi za nim

ludźmi. Zachowywał się, jakby był na scenie. Gdy namyślanie przedłużało się, stewardesa

niecierpliwym gestem dała znak pasażerom, by przechodzili za plecami śpiewaka. Z gniewem

prawie rzucała spojrzenie na bilety. Ruchem ręki wskazywała, by przechodzili szybciej:

Presto! Presto! Wreszcie śpiewak coś napisał, a swą sentencję opatrzył zamaszystym

podpisem. *Och, grazie, molto grazie...* och, będę miała cudowną pamiątkę... – zanosila się zachwytem, nie odrywając rozanielonego wzroku od twarzy chłopaka. Długowłosa pochylił się, wziął ją za brodę i pocałował w usta.

Na chwilę zamknęła umalowane oczy i mocno westchnęła. Mężczyzna przesunął dłonią po jej ramieniu, piersi, biodrze, rzucił: *ciao* – po czym, już się nie oglądając, odszedł do niskiego autobusiku, w którym czekali na niego odlatujący do Rzymu pasażerowie.

Gdy Andrzej znalazł się w kabinie samolotu, zobaczył, że także stewardesy pokładowe szepczą coś gwałtownie, pokazując sobie chłopaka z długimi włosami.

Porzuciwszy innych pasażerów, obie podbiegły do niego. Jedna przez drugą pomagały mu ułożyć walizkę i płaszcz na półce. Śpiewak przyjmował te usługi jak coś zupełnie zrozumiałego. Bez sprzeciwu pozwalał się obsługiwać. Zajął miejsce pośrodku kabiny.

Sięgnął do barwnej torby, którą miał przy sobie, wypchnął z pudełka pastylkę i połknął ją.

Jedna ze stewardes przyniosła mu spieszenie szklankę wody, aby mógł popić. Wyciągnął przed siebie nogi. Teraz przyszła druga stewardesa i przyniosła poduszeczkę, którą wsunęła chłopakowi pod głowę. Gdy ją o coś poprosiła matka dziecka, odeszła w jej stronę naburmuszona. Ta pierwsza długo i starannie zapinała pas śpiewakowi.

Samolot przetoczył się na skraj lotniska, a potem szybko wystartował. Niebo było jasne, przesłonięte delikatną mgiełką. W dole widać było pętle autostrad, po których mknęły kolorowe samochody. Zielen pól była blada, jakby przysypana szaropłowym pyłem. Na ekraniku nad drzwiami prowadzącymi do kabiny pilotów ukazała się głowa kapitana, który przywitał pasażerów w imieniu swoim i załogi. Potem zjawily się obie stewardesy. Popychały przed sobą wózek, na którym miały przygotowane filiżanki kawy. Dla tych, którzy chcieli, na wózku znajdowały się także alkohole, papierosy i dozwolone narkotyki.

Słońce świeciło mocno w okienka z prawej strony. Jedna ze stewardes zasunęła firankę przy oknie, gdzie siedział śpiewak. W kabinie zrobiło się ciepło. Mężczyźni zaczęli zdejmować marynarki.

Andrzej miał za towarzysza mężczyznę w koloratce. Tamten trzymał rozpostartą gazetę. Wielkie litery na pierwszej stronie donosiły o dwóch jednoczesnych lądowaniach na Księżycu kosmonautów amerykańskich i radzieckich. Sensacyjny tytuł artykułu zapytywał: „Czy nie wywoła to konfliktu? A może dojdzie do układu o podziale księżycowego obszaru?” Przerzuciwszy gazetę mężczyzna złożył ją i rozparłszy się w fotelu zamknął oczy. Zanim sąsiad zdążył zasnąć, Andrzej poprosił go o pożyczenie dziennika. Przeczytał relację o lądowaniu statków kosmicznych, a jednocześnie wiadomość, że obie wyprawy przedsięwzięto w związku z odkrytymi na Księżycu złożami lunitu. Pierwsze próbki tego nieznanego pierwiastka przywiezione zostały na Ziemię przez jedną z poprzednich wypraw. Miał to być pierwiastek o różnych cennych właściwościach. Ale wtedy uważano tę wiadomość za kaczkę dziennikarską. Teraz gazeta zapewniała, że lunit jest pierwiastkiem promieniotwórczym o wielkiej mocy i jego użycie może wywołać prawdziwą rewolucję

w przemyśle. Artykuł kończył się stwierdzeniem: „Tylko nieliczni naukowcy umieliby dziś powiedzieć, do czego lunit będzie mógł być użyty. Ale to pewne, iż każdemu z mocarstw będzie zależało na jego posiadaniu. I nie jest rzeczą obojętną dla równowagi politycznej świata, kto posiadzie księżycowe złoża”.

Nie czytał już dalszych wiadomości, odłożył gazetę. Zauważył, że siedzący obok niego mężczyzna nie śpi, ale patrzy na niego spod półprzymkniętych powiek.

– No i co? – zapytał, gdy Andrzej oddał mu gazetę. – Jak się panu ta historia podoba?

– Może to nie jest aż tak bardzo poważne?

– Na pewno jest. Tuż przed wyjazdem słuchałem komunikatu telewizyjnego. Pan nie słuchał?

– Nie.

– Podawali, że nowe ekspedycje już wyruszają na Księżyc. Za dziesięć minut – spojrzał na zegarek – ma być nowy komunikat. Może go przekażą na samolot. Ano sprawdza się: *de medietate lunae...*

– Nie rozumiem.

– „O przepołowionym księżycu”. Tak według starej przepowiedni Malachiasza określony został obecny papież...

– Przecież tego chyba nie można brać na serio?

– Przepowiednie Malachiasza nie mają może zbyt wielkiej powagi w Kościele, ale w tym wypadku spotykamy się z niezwykle rzetelnością. Interesuję się trochę tymi sprawami. Pan pozwoli, że się przedstawię: nazywam się ksiądz Benedetto.

– Bardzo mi przyjemnie. Ksiądz do Rzymu?

– Do Rzymu. W związku z synodem.

– Odbywa się jakiś synod?

– Ma być otwarty jutro. Czas najwyższy. Biskupi muszą wreszcie powziąć decyzję...

– W jakiej sprawie?

Ksiądz spojrzał na Andrzeja jakby zdziwiony, unosząc wysoko grube, czarne brwi.

– Pan się nie interesuje sprawami Kościoła? Wydało mi się, że pan jest Polakiem..

Andrzej roześmiał się.

– Jest ksiądz prawdziwym Włochem, który umie rozpoznać przez skórę cudzoziemca.

Ale przyznaję, że sprawy Kościoła od dawna przestały mnie interesować. Sądzę... jak wielu.

– Tak, to prawda. Właśnie to zubożenie dla spraw Kościoła domaga się działania.

Trzeba zrobić wszystko, by zainteresować świat przemianami w Kościele. Ale nasi biskupi

nie śpieszą się. Dla nich czas jakby nie istniał! Nie rozumieją sytuacji. A tymczasem

wydarzenia lecą, napięcie wzrasta. Kościół musi zabrać głos. Musi zostać usłyszany... My,

księża, nie możemy stać z dala od życia, ograniczeni do swych kapłańskich funkcji. Biskupi

chcą, abyśmy byli tylko posłuszną im armią. Ale gdy tkwimy tylko w Kościele, pozostajemy

poza światem. Na nas także przestaje się zwracać uwagę. Musimy działać, istnieć. Połączyć

kapłaństwo z różnymi zawodami. Stać się lekarzami, sędziami, artystami, dziennikarzami..

W tej chwili ksiądz, który odkrył w sobie talent artystyczny uważany jest przez swoich

zwierzchników za kogoś, kto dla głupstwa zaniedbuje się w swych prawdziwych

obowiązках...

Stało się nagle coś, co przerwało wywód księdza. Dom Benedetto zamilkł, nie

zdążywszy zamknąć ust. Z foteli tuż przy drzwiach prowadzących do kabiny pilotów zerwali

się szybko dwaj mężczyźni. Zanim wstali i odwrócili się do reszty pasażerów, naciągnęli na

twarze trykotowe maski z otworami wyciętymi na oczy i usta. Teraz opierali się plecami

o drzwi, mieli pistolety w rękach. Jeden trzymał także wypchaną teczkę. Równocześnie

z samego końca kabiny rozległ się ostry głos.

– Nie odwracać się! Niech nikt się nie rusza, bo będę strzelał! Siedzieć spokojnie!

Stewardesy niech usiądą także!

W samolocie zrobiła się cisza. Krzyknęło tylko dziecko, ale zaraz i ono ucichło.

Stewardesy przysiadły na pustych miejscach. Znowu rozległ się energiczny głos w tyle kabiny.

– Idź z Ahmedem, zajmij się pilotami. Powiedz, że jeżeli nie usłuchają, mamy ładunek wybuchowy.

Słowa były skierowane do kogoś w środku kabiny. Z fotela o dwa rzędy przed

Andrzejem wstała dziewczyna. Nie widział jej twarzy – zresztą i ona naciągnęła maskę.

Ubrana była w sweter i w dżinsy. Trzymała w ręku pistolet. Razem z jednym z porywaczy otworzyli szybko drzwi kabiny i zniknęli za nimi. Wśród pasażerów panowała dalej głucha cisza, w której rozlegało się warczenie motorów. Tę ciszę przerwał wysoki, brzmiący histerycznie głos śpiewaka:

– Ja protestuję! Mam dzisiaj występ! Wielki występ! Czekają na mnie tysiące słuchaczy! Poczyniono wielkie przygotowania! Ogromne koszty! Nie mogę zawieść...

– Zamknij się! – powiedział głos z tyłu.

– Chyba wiecie, kim jestem?! – wybuchnął. – Czekają na mnie dziesiątki tysięcy...

– Milczeć!

Śpiewak umilkł. Potem znowu odezwało się dziecko. O coś zapytało matkę głosem nabrzmiałym łzami i nie otrzymawszy odpowiedzi, zaniósło się cichym szlochem. Zapaliło się okienko telewizora, ukazała się w nim głowa kapitana.

– Podporządkowujemy się... – powiedział. – Nie będziemy stawiali oporu. Lecimy zgodnie z żądaniami.

Okienko zgasło. Równocześnie w kabinie ściemniało. Samolot wszedł w mgłę.

Za plecami pasażerów głos odezwał się znowu:

– Niech wszyscy siedzą spokojnie. Jeśli zachowacie się właściwie, nic się nikomu nie stanie. Nie jesteśmy bandytami. Jesteśmy przedstawicielami ruchu. Porwaliśmy samolot, ponieważ jest nam potrzebny. Traktujemy was jako zakładników. Samolot uda się na inne lotnisko i tam odzyskacie wolność. Niech nikt się nie rusza z miejsca...

Lecieli dalej. Motory pracowały równo. Samolot wyszedł z chmury i w okienkach na nowo roziskrzyło się słońce. Dziecko pytało cicho:

– Czego ten pan chce? Dlaczego nikt nic nie mówi?

Andrzej zdławił w sobie uczucie lęku. Normalnie lecąc, nie zastanawiał się nad pustką otwartą pod podłogą samolotu. Latanie stało się dla niego od dawna czymś prawie naturalnym. Ale teraz przyszła groźba człowieka stojącego z bronią za jego plecami. To było bardziej jeszcze niepokojące, że nie wiedział nawet, jak tamten wygląda. Słyszał tylko jego głos. W obliczu tego, co człowiek z tyłu mówił, kabina samolotu przestała być bezpiecznym miejscem. Jeden strzał ze strony tamtego – i mogły nastąpić rzeczy trudne do wyobrażenia. Kabina stała się pułapką. Nie można było wstać, wyjść, wyskoczyć. Świadomość zawieszenia w przestrzeni napełniała takim samym przerażeniem, jak obecność tych w maskach. Gdyby mógł, Andrzej zerwałby się z fotela i chodziłby po kabinie. Ale musiał trwać na miejscu i czekać.

Część druga

Plac napelniał się stopniowo tłumem młodych. U stóp kolumny cesarza-filozofa, oplecionej wstęgą jego zwycięstw, cisnęły się stłoczone ciasno auta. Rosnąca masa ludzka i kolorowe maszyny nie mogły się razem pomieścić na niewielkim placu. Auta wypychały ludzi, ludzie wciskali się między auta. W końcu tłum, dla którego nie było już miejsca ani w pasażu, ani między kolumnami, wylał się na jezdnię Corsa. Na próżno policjanci w czarnych hełmach i białych, sięgających po łokcie rękawiczkach usiłowali zapewnić przejazd jadącym wozom. Ich usiłowania stały się w końcu daremne. Musieli zrezygnować ze swoich wysiłków. Ruch został wstrzymany, skierowany na drogę objazdową. Teraz cały plac pokryło morze głów. Siadano na maskach aut, na zderzakach, na krawędziach chodników lub wprost na jezdni. Wciąż jeszcze nadciągali nowi ludzie. Zapełniali boczne uliczki między starymi budynkami o grubych, wybrzuszonych murach, z okratowanymi oknami, z mrocznymi niszami, w narożnikach których mieściły się święte figury. Po drugiej stronie Corsa ciżba ludzka zapełniła także plac Świętego Sylwestra.

Ściągająca młodzież ubrana była barwnie, jakby ich demonstracja miała mieć charakter karnawałowej zabawy. Dziewczęta w dżinsach lub w szortach, z opadającymi na ramiona włosami, chichotały wesoło. Niby gotując się do tańca, przytupywały bosymi stopami w sandałkach lub w sabotach na grubych korkach, zwanych „oświęcimkami” lub „kacatkami”. Chłopcy mieli na głowach wielkie kolorowe kapelusze, koszule w kratę lub w barwne kwiatki. Na ich szyjach wisały łańcuszki i wisiorki. Niektórzy ubrani byli w jakieś niby wojskowe mundury, pełne galonów, oznak, błyszczących guzików, naramienników z frędzelkami. Byli i tacy, którzy mieli na sobie stare, wypłowiałe mundury wojskowe, pełne nic już nie znaczących odznak. Na piersiach nosili tarcze z różnymi emblematami: gwiazdkami, swastykami, znakami zodiaku, głowami znanych śpiewaków lub sportowców.

Nie brak było poprzyczepianych na piersiach lub na plecach małych szyldzików z napisami: „*Hello, boys, take your bottom clean*” , „*thank you, partner*” , „*I love love*” , „*make love not war*” , „*more love – less wars*” . Byli i tacy, którzy zawiesili sobie na szyjach wielkie krzyże lub figurki Jezusa. Jeszcze inni długie zakonne różańce.

Przyniesiono ze sobą transparenty, ale trzymano je zwinięte. Jeszcze nie padło hasło rozpoczęcia demonstracji. Zebrana młodzież czekała. Nie widać było po niej zniecierpliwienia. Bawiono się doskonale. Odnajdywano w tłumie przyjaciół, hałaśliwie rozmawiano, klepano się po ramionach, całowano się. W tłumie spacerowały objęte i przytulone do siebie pary. Dalej nadciągały nowe gromady. Witano się radosnymi okrzykami. Tłum rozlewał się coraz szerzej po sąsiednich ulicach, sięgał aż po zaułki otaczające Panteon i kościół Santa Maria sopra Minerva. Obok studentów widać było uczniów i uczennice z książkami szkolnymi spiętymi paskiem oraz młodych robotników w kombinezonach. Wielu czekających wzięło się do jedzenia. Dzielono się czekoladą, jedzono banany, pomarańcze, kaki, figi. Tu i tam całe gromady śpiewały. Objęte ramionami kołysały się rytmicznie lub wybijały takt klaskaniem. Tu i tam ktoś brzdąkał na mandolinie lub fiukał na fleciku.

Policja wycofała się teraz całkowicie z placu, natomiast silne oddziały zbierały się na piazza Venezia. Przy ujściu Corsa stał kordon policjantów. Byli to młodzi chłopcy.

Niektórym spod hełmów opadały na kark długie włosy. Usiłowali okazywać swą życzliwość zbierającym się demonstrantom. Szczęrzyli zęby do dziewcząt, mrugali, rzucali żarty.

Odpowiadano im również wesoło i przyjaźnie:

– Chodźcie z nami! Młodzi z młodymi!

Uśmiechali się i rozkładali ramiona, ukazując tym gestem, że nie wolno im opuścić służby.

– Boicie się? – zapytała jakaś dziewczyna. Stała na środku jezdni, otworzyła szeroko ramiona. – Pójdę z tym, który pójdzie z nami. Zrobię, co zechce. No, no, żaden nie ma odwagi?

Tręcali się łokciami, przestępowali z nogi na nogę. Ale żaden nie wyszedł z szeregu. Za ich plecami na placu warczały auta z armatkami wodnymi i gromadziły się coraz liczniejsze oddziały.

Na via delie Muratte, w mieszkaniu na piętrze zebrał się komitet grup i organizacji, które wspólnie zwołały dzisiejszą demonstrację. Dom był dobrze pilnowany przez oddziały młodych ludzi z opaskami na rękawach. Wartownicy tkwili w sieni i na schodach. Z kieszeni strażników sterczały krótkie gumowe pałki.

W mieszkaniu panował gwar. Drzwi ze schodów były otwarte i ciągle ktoś wchodził lub wychodził. Na podłodze walały się śmiecie, papierki, niedopałki papierosów, skórki bananów, puszki i butelki. Na stołach stały tace z resztkami nie dojedzonych kanapek. Pokoje zasnuł dym papierosowy. Spoza błękitnych smug widać było wiszące na ścianach portrety bohaterów młodzieży: Che Guevary, Angeli Davis, Bernadetty Devlin, Ulriki Meinhof, Rudi Dutschkego, Feltrinello, Violi Urbano... Po pokojach snuli się rozmaici funkcyjni, którzy mieli jako zadanie kierowanie grupami demonstrantów. Wszyscy oni także czekali. Drzwi do gabinetu, w którym obradowało prezydium komitetu, były zamknięte. Stojący przy nich strażnicy nie wpuszczali do środka nikogo. Spoza drzwi dochodziły podniesione głosy. Dyskusja toczyła się od kilku godzin. Komitet spotkał się przed wyruszeniem pochodu, by załatwić drobną właściwie sprawę: wybór głównego hasła, z jakim mieli wystąpić demonstranci. Ale ta drobna sprawa okazała się niezwykle brzemienna.

Potrzeba manifestacji wzbierała wśród młodych od dłuższego już czasu. Każda grupa pragnęła wystąpić z czymś innym. Zgodzono się, że każde środowisko będzie występować

z własnymi hasłami, jednakże na czele pochodu musi się znaleźć hasło naczelne. Wydawało się, że zostanie ono ustalone od razu. Tymczasem dyskusja przeciągała się. Nie można było osiągnąć zgody.

W tej chwili na środku pokoju miotał się rudowłosy, piegowaty chłopak w kwiciastej koszuli. Potrząsał tłustymi strąkami włosów. Mówił bardzo źle po włosku, ale nadrabiał słowa krzykiem i gwałtownością. Wymachiwał dużymi czerwonymi dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Nasza sprawa jest najważniejsza! Musicie to zrozumieć! Musicie się z tym zgodzić!

Najważniejsza! Anglicy nie dotrzymali przyrzeczeń. W Belfaście i w Derry są znowu zabici!

Wojsko znowu strzelało! To jest najważniejsze, musicie to zrozumieć!...

– Przepraszam, przepraszam! Nie zgadzam się! – przed krzyczącym chłopcem

wystąpiła niska, krępa dziewczyna. Miała krótko obcięte czarne włosy, usta pomalowane

jaskrawo. W krótkich palcach trzymała papierosa. – Nie, nie! – powtarzała. – Nie zgadzam

się. Takich spraw, jak sprawa Franka, jest co najmniej kilka. Oczywiście, doceniam ją. To

rzecz poważna. Bolesna. Ale są sprawy kolegów z Indochin, sprawy kolegów z Palestyny,

prawda? Dla nich także ich sprawy są sprawami najważniejszymi. I ja się z tym zgadzam. Ale

my musimy znaleźć coś wspólnego, coś najważniejszego dla wszystkich. Prawda? – Obróciła

się ku jednemu z mężczyzn. – Prawda, Dino?

Mężczyzna, u którego szukała poparcia, siedział z boku. Był wysoki, barczysty. Miał

gęste, płowe włosy i taki sam zarost. Przechyliwszy głowę na bok, patrzył na diskutujących

błękitnymi oczami, lekko stulonymi, na poły przykrytymi powiekami.

– Prawda, Dino? – potworzyła. – No, przecież prawda. Powiedz, że zgadzasz się

z tym!

– Oczywiście. Sylwia ma rację – powiedział. – Ustaliliśmy, że każdy w swojej grupie

może podnosić swoje sprawy. Ale w tej chwili dyskutujemy o rzeczy zasadniczej...

– Coś takiego jak: „miłość, a nie wojna!” – zawołała Sylwia.

Odezwało się kilka głosów:

– Nie! To już było! Nie powtarzać się!

– Banał! To się krzyczy od lat.

– Musi być coś nowego.

– Ja tylko powiedziałam, że musi być coś takiego jak tamto – broniła się dziewczyna.

– Rzućcie coś lepszego.

Irlandczyk nie miał zamiaru ustąpić.

– Ja wam mówię, że tam giną ludzie. Mam wiadomość...

Poderwał się mężczyzna o czarnych, gęstych włosach i z czarnym wąsikiem nad grubymi ustami.

– On mówi, że u nich giną ludzie. A myślicie, że u nas nie giną?

– Trzeba zaprotestować przeciwko wojnie – któryś zawołał. – Przeciwko wojnie w ogólności, rozumiecie?

– Żadna wojna oficjalnie się nie toczy – ktoś zauważył.

– Oczywiście! – krzyknęła zrywając się na nogi ładna dziewczyna, ubrana w skórzaną sukienkę, przybraną frędzelkami. Dotychczas siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, oparta o obejmującego ją chłopaka. – Dość gadania o wojnie! Trzeba żądać wolnej i powszechnej sprzedaży pastylek antykoncepcyjnych!

– Tylko których, bo ostatnie są szkodliwe...

– Lekarze mówili, że rozmaite choroby to od tych pigułek.

– Więc właśnie! Trzeba żądać, aby robili dobre. Bez pudła! Skuteczne i nieszkodliwe!

– Lepiej domagać się zezwolenia na wolną sprzedaż heroiny! – ktoś krzyknął.

– I tak ją możesz zawsze dostać.

– Ale za jakie pieniądze! Po co przepłacać?

– I po co się z tym kryć po klozetach?

– Wszystko bzdury! Chodzi o sprawę naprawdę ważną!

– Właśnie. Mówię wam: u nas giną ludzie!

– U nas się wyrzuca ludzi z pracy. Po ostatniej redukcji były dwa samobójstwa...

Przewodniczący komitetu wstał ze swego miejsca. Podszedł do okna, wyjrzał na ulicę.

Gdy na chwilę cichła dyskusja, mimo zamkniętych okien słychać było coraz mocniejszy gwar czekającego na dole tłumu.

– Coś musimy wreszcie zdecydować – powiedział. – Tamci czekają. Zwołaliśmy tłum, jakiego jeszcze nigdy nie było...

Wrócił na swoje miejsce. Ciężko usiadł. Miał twarz smagłą, przystojną, lśniące włosy, lekko falujące, baczki schodzące nisko aż na szczęki. Dotychczas mówił mało. Na jego ładnej twarzy o ściągniętych brwiach i zaciśniętych wargach malował się wyraz bólu, nad którym starał się zapanować. Teraz jeszcze bardziej pobladł, a na skroniach ukazały się kropelki potu.

– Ludzie zabijani są codziennie – powiedziała dziewczyna w skórzanej sukience. – Do jednych strzelają, innych przejeżdżają autami.

– Ludzi zatrauwa się! – krzyknął z kąta chłopak o twarzy dziewczyny, ubrany w kolorową koszulę rozpiętą głęboko i ukazującą gładką pierś. – Znacie tę historię z odpadkami radioaktywnymi, które nocą jakiś statek wyrzucił do morza koło Ostii?

– Codziennie ktoś coś zatrauwa...

– Jedni wodę, drudzy ziemię...

– Słuchajcie, dość tych dyskusji. Musimy się na coś zdecydować! Ja myślę...

Ale przewodniczący nie wypowiedział swojej myśli. Twarz mu jeszcze bardziej zbliała, była w tej chwili trupio blada. Poderwał się, wsparł obu rękami o blat stołu. Usiłował

wstać. Ale oczy uciekły mu pod powieki. Nagle odeszły go siły. Upadł na stół, uderzając czołem o stos rozłożonych przed sobą kartek.

W pokoju zrobiła się najpierw wielka cisza, potem wszyscy z krzykiem podbiegli do leżącego. Otoczyli go, usiłowali podźwignąć. Poprzez stłoczonych przepchnęła się dziewczyna, która dotychczas siedziała z boku.

– Puśćcie mnie! Puśćcie mnie do niego! – mówiła. Sprawdziła puls.

Pochyliła się nad leżącym. Poruszyła jego powieki.

– Zanieście go na kanapę. Tam, do drugiego pokoju – powiedziała. – Musi dostać zastrzyk.

Dwóch mężczyzn dźwignęło zemdłonego. Dziewczyna szła za nimi.

– Znowu go naszło – ktoś zauważył.

– Teraz tak już będzie ciągle – rzekł inny.

– Stracił miarę...

– Każdy w końcu straci miarę...

– Nic z tego już nie będzie...

Sylwia wyszła na środek pokoju.

– Słuchajcie – powiedziała. – Proponuję, aby Dino objął tymczasem przewodnictwo.

Nie możemy czekać, aż wróci Roberto. Wszyscy czekają. Trzeba coś postanowić.

– Trzeba... Oczywiście... – odezwało się kilka głosów.

– Dobrze, niech przewodniczy Dino! – ktoś zawołał. Inni milczeli, nikt jednak nie wysunął odmiennej propozycji.

– Dino, obejmij przewodnictwo – powiedziała Sylwia. – Zobaczycie – obróciła się do zebranych – Dino powie wam, co trzeba...

W pokoju panowała ciągle wyczekująca cisza. Wezwany przez dziewczynę

mężczyzna wstał. Gęsty zarost sprawiał, że wydawał się starszy od pozostałych, ale w rzeczywistości musiał być człowiekiem równie młodym jak tamci. W jego zachowaniu i sposobie mówienia była jednak stanowczość i pewność siebie. Grupa, którą reprezentował, nie była zbyt wielka, ale w odróżnieniu od innych grup odznaczała się zwartością i zorganizowaniem. Sam Dino budził swoją osobą respekt, a także pewną obawę. Trzymając rękę w kieszeni, młody mężczyzna podszedł do stolika przewodniczącego. Powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach.

– Niewiele słyszałem głosów za moją kandydaturą – rzekł – ale nie słyszałem także sprzeciwów. Przewodnictwo przyjmuję, bo trzeba coś postanowić. Ludzie czekają. Wszystko, coście tu mówili, jest w zasadzie słuszne i wszystko da się sprowadzić do jednego...

Na chwilę umilkł. Spuścił głowę. Ale zaraz ją podniósł. Jego oczy patrzyły przenikliwie. To był wzrok tak mocny, że wielu nie potrafiło go wytrzymać.

– Tym jednym – podjął – jest: wojna starym! No, tak czy nie? – Nikt mu nie zaprzeczył. – Zastanówcie się, czy może być inaczej. Wszystko, co się wokoło nas dzieje, wszystko, czemu sprzeciwiamy się, to dzieło starych. Oni zbudowali ten świat i chcą nim rządzić. Namawiać ich, aby postępowali inaczej, to próżny wysiłek. Po prostu muszą iść precz! Musi nastąpić koniec ich rządów. Władzę musimy przejąć my, młodzi. Zgadzaście się z tym?

– Wspaniale! – wybuchnęła Sylwia. – Mówiłam wam, że Dino postawi sprawę jak trzeba.

– Zgadza się – powiedziało kilka głosów. Ale reszta uporczywie milczała.

– Powiedziałaś: wojna starym – rzekł ten, który poprzednio mówił o zatruciu morza. – Może masz rację. Ale przecież mamy w domach naszych starych. Nie zawsze się z nimi zgadzamy. Jednak tak od razu zabrać im wszystko?...

– A ich co? – odezwał się któryś. – Na cmentarz?

– Do chryzantem?

Dino zaśmiał się zjadliwie.

– Widzę, że wielu z was buntuje się, ale kłopot rządu woli przekazać tatusiom.

A tatusie myślą tylko o jednym: jak kochanych synków wysłać na jakąś wojnę. Po co pracują wszystkie fabryki...

– Chcecie ginąć za starych! – krzyknęła Sylwia.

– Dostyc wojen! – tym razem odezwało się więcej głosów.

– Koniec wojnom, niech żyje miłość! – zawołała dziewczyna w skórzanej sukience.

Dino skrzywił się z niesmakiem.

– Takimi pokrzykiwaniami tylko umacniacie rządy starych. To oni nauczyli was tych głupich słów. Starzy wam podszeptują: „Kochajcie się, zamiast wojować. Przede wszystkim kochajcie się, a my już za was będziemy myśleli”. I myślą. Luciana sama wykrzykiwała:

„Niech robią dobre pigułki”. Starzy chcą, aby się wam nie udawało i abyście rodziły...

A kiedy zjawi się dziecko, będzie się wam tłumaczyło, że dla jego dobra trzeba zawiązać się w rodzinę, a gdy będzie rodzina, przekonają was, że trzeba myśleć o jej bezpieczeństwie. I tak w końcu doprowadzą was do tego, że będziecie krzyczeli: „Eviva patria!” A jak się dacie w to wrobić, posłać was na wojnę. Jeden wróci kaleką, drugi nie wróci wcale...

Przerwał, ale nie przestał patrzeć twardo na swych słuchaczy.

– Mówisz, że to starzy tak nas napuszczają? – zapytał któryś.

Zamiast odpowiedzieć, zaśmiał się tylko ironicznie.

– A jak się dacie zabić dla ojczyzny – podjął na nowo – to znaczy dla starych, zbudują wam honorowy grób z wartą i ze zniczem. Jak tamten – zrobił ruch dłonią w stronę okna. –

Aby wasze dzieci wiedziały, jak jest słodko umierać, aby myślały, że śmierć na wojnie jest

inna niż w wypadku samochodowym. To znaczy dać się nabrać na gadaninę starych.

Tym razem odezwały się głosy.

– A ty czego chcesz?

– Ja? Ja mówię: Trzeba się kochać i nie trzeba się bać walki. Trzeba myśleć i nie ulegać starym. Żadnej wojny dla nich! Nie dać się nabrać na gadaninę o bohaterstwie.

Bohaterów wymyślili starzy. Wyrzucić precz starych, a razem z nimi ich mity!

– Dino ma rację. Dino ma rację – potwierdzali jeden za drugim. – Masz rację.

Zgadza się z tobą.

– Jeżeli zgadzacie się – głos Dina zabrzmiał ostro i zdecydowanie, jak przy wydawaniu komendy – uchwalcie, że hasłem na czelnym dzisiejszej manifestacji ma być: Koniec z kultem bohaterów. Koniec z czczeniem tych, co się dali zabić dla interesu starych. A symbolem naszej walki niech będzie zniszczenie tej ohydy która stoi na placu!...

– Grobu Nieznanego Żołnierza? – zapytał ktoś drżącym głosem.

– Właśnie! Grobu Nieznanego Żołnierza! – potwierdził Dino. – Co, ciągle się boicie?

– zapytał drwiąco. – Uważacie, że bezpieczniej jest przewrócić, podpalić auto albo rozbić witrynę?

W pokoju panowało milczenie. Potem odezwały się głosy:

– Słusznie! Naturalnie! Rozwalić ten nagrobek! Dość mydlenia oczu!

Nad innymi głosami górował histeryczny krzyk Sylwii:

– Dino dobrze mówi! Taki czyn wszyscy rozumieją! Cały świat!

– Cisza! – Dino uniósł rękę. Odczekał, aż wszyscy ucichli. – Sylwia powiedziała rzecz ważną. Nasza manifestacja musi obudzić wszystkich młodych na świecie. O tym, co zrobimy, muszą usłyszeć wszyscy! To będzie rzecz naprawdę wielka. To będzie początek.

– Doskonale! Masz rację! – powtarzali coraz bardziej rozentuzjasmowani.

Znowu uciszył ich uniesieniem ręki.

– Jeżeli przyznajecie mi rację – powiedział – musimy zaczynać. Ludzie czekają i niecierpliwią się. Niech Alfredo, Carlo i Bruno zajmą się poinstruowaniem funkcyjnych. Nie będziemy opowiadać wszystkim, co zamierzamy zrobić. Tym zajmie się ekipa specjalna, którą pokieruje Gianni. Sylwia przygotuje transparent. Reszta niech idzie do swoich grup. Za dziesięć minut najdalej – spojrzał na zegarek – musimy wyruszyć. Najwyższy czas.

Zerwali się wszyscy z miejsc. Mieszkanie nappełniło się gwarem i tupotem wychodzących.

Spoza drzwi dochodziły ją głosy obradujących. Czasami urastały w burzę, czasami cichły. Słyszała wybuchający raz po raz jazgot Sylwii, energiczny, opanowany głos Dina. Ale nie przysłuchiwała się temu, co tamci mówią. Patrzyła na leżącego przed nią mężczyznę. Rozpięta koszula odkrywała pierś porośniętą czarnymi włosami. Ręce miał wyciągnięte wzdłuż ciała, dłonie otwarte. Twarz leżącego była papierowo blada. Oddychał, ale niesłuchanie wolno. Oczy miał półprzymknięte.

Znała ten stan, widziała go nie po raz pierwszy. Wtedy, na Sycylii ogarnęło ją przerażenie. Była pewna, że chłopak umiera, że spadła na niego jakaś straszna, nieznana choroba. Pamiętała, jak biegła półprzytomna, boso, późnym wieczorem do telefonu, aby zawiadomić pogotowie. Dziś patrzyła na leżącego chłodno. Rozpięła mankiet, podwinęła rękaw. Na wewnętrznej stronie nadgarstka pełno było błękitnych śladów po nakłuciach. Przyglądała się tej ręce, jakby ją zobaczyła po raz pierwszy. A przecież znała ją tak dobrze. Przesunęła po niej dłonią, jakby chcąc się upewnić dotknięciem o tym, o czym już nic nie mówił wzrok. Czy ja go naprawdę tak szaleńczo kochałam? – pomyślała. – Jeszcze tak niedawno?

Sięgnęła do strzykawki, którą przyniosła z łazienki. Przemyła rękę watą umoczoną w spirytusie. Gdy wbijała igłę, przytrzymała leżącego kolanem, aby nagły wstrząs, który poderwał bezwładne ciało, nie złamał igły. Mężczyzna miotał się przez chwilę w gwałtownych drgawkach. Wtedy była pewna, że doktor z pogotowia zabił go swoim zastrzykiem. Rzuciła się na niego z krzykiem. Ale drgawki stawały się coraz wolniejsze. Wreszcie ustały. Roberto otworzył oczy i prawie natychmiast usiadł.

– Co się stało? – zapytał zupełnie przytomnie. – Naszło mnie?

Przecież wiesz, jak jest z tobą – powiedziała sucho. Składała strzykawkę. – Mimo to

nie zaczęłaś kuracji.

Kuracji! Oszalałaś! Wiesz, że nie mam czasu na zabawy! – rzucił. Postawił nogi na ziemi. – Co z manifestacją?

Zajął się tym Dino. Już ruszają.

– Beze mnie? I ty na to pozwoliłaś? Wzruszyła ramionami.

– Przecież wszyscy czekają... Nie mogą czekać bez końca... Za drzwiami słychać było okrzyki Sylwii. Potem rozległy się kroki i drzwi otworzyły się. Stał w nich Dino. Zatrzymał się. Przez chwilę patrzył w milczeniu na siedzącego na kanapie Roberta i na dziewczynę układającą strzykawkę w pudełku.

– Już po wszystkim? – zapytał.

- Pewno, że po wszystkim! – Roberto zaczął mówić gwałtownie. – Dlaczego nie poczekałeś? Wiesz, że to głupstwo...

– Ludzie, których zebraliśmy, nie będą czekali na głupstwa. Te twoje głupstwa stają się niemożliwe. – Podszedł bliżej do kanapy. Stał przed Robertem z rękami w kieszeniach, mierząc go swymi niebieskimi oczami. – Skoro sam przyznajesz, że to głupstwo, to powinieneś wiedzieć, że dla głupstw nie zatrzymuje się rzeczy wielkich. Zebrało się ludzi jak nigdy. Poruszyliśmy wszystkie ośrodki, uruchomiliśmy wszystkie grupy. Zdecydowaliśmy się zrobić coś wielkiego, coś, o czym dowie się cały świat. A ty przewracasz się, bo dawka przestała działać...

– Wiesz, że tak bywa.

– Tak bywa, gdy ktoś popadł w nałóg. Ci, którzy chcą kierować ruchem, nie mogą być nałogowcami.

– A jednak to mnie wybrano, nie ciebie!

– Nie masz się czym chwalić. To ja ciebie wysunąłem. Myślałem, że zrozumiesz

i weźmiesz się w garść. Przestaniesz padać na nos, gdy trzeba powziąć decyzję. Ale ty jesteś mięczak. Glista. Jeśli mi nie wierzysz, niech ci to ona powie. Chyba jej wierzysz. No co? – zwrócił się do dziewczyny. – Powiesz mu?

– Daj spokój – rzuciła. – Nie muszę mówić. On sam wie. Nie chce się tylko przyznać.

Dino zrobił ruch ręką.

– Słyszałeś?

Roberto zwrócił ku dziewczynie gniewną twarz.

– Dałaś się przerobić? Jesteś przeciwko mnie?

– Uspokój się! – przerwała mu.

– Nie uspokoję się. Hej, wydaje mi się, że coś poczułem! Czyżby zapachniała ci chęć odmiany?

– Co ty pleciesz?!

– Plotę? Mówię o tobie i o nim – ruchem brody wskazał Dina. – Domyślam się wszystkiego... Wiem... Już wiem wszystko...

– Przestań!

– Denerwujesz się? Nie przestanę. Nie zamydlisz mi oczu.

– Przestań! Do siebie miej pretensję.

– O tym musimy porozmawiać.

– Nie ma o czym mówić. Zresztą nie mam czasu.

– Musi być czas!

Z ulicy doszły okrzyki tak mocne, że aż zabrzęczały szyby. Dino rzekł do dziewczyny:

– Chodź. Idziemy.

– Ona nie pójdzie! – krzyknął Roberto, chwytając dziewczynę za rękę.

– Pójdzie. Wszyscy muszą iść. I ty chodź.

– Mam iść pod twoją komendą? Coście uchwalili?

– Zobaczysz.

Patrząc gniewnie to na Dina, to na dziewczynę, Roberto wstał. Zapiął koszulę, wepchnął ją w spodnie.

– Widzę, że masz zamiar zrobić jakąś straszną drakę. Dino zaśmiał się.

– Trzeba mieć odwagę na straszne draki.

– Dorwałeś się... – warczał Roberto. – Pachnie ci przewodzenie ruchem.

– Przewodzić musi ten, kto potrafi. Ty się nie nadajesz.

– Zobaczymy! A ty – wrzasnął na dziewczynę – nie czepiaj się go! Jeszcześmy ze sobą nie skończyli! Zachciało ci się konkurować z Sylwią?

– Dość plecenia! – wybuchnęła. Poczula się wyprowadzona z równowagi. – To ty wykończyłeś naszą miłość. Wykończyłeś wszystko!

– Idziemy – powiedział Dino, otwierając przed nią drzwi.

– Mówisz, że to ja wykończyłem. A ty?! Zostawiłaś mnie!... Zostawiasz mnie samego!... Odchodzisz!...

Z ulicy doszedł znowu krzyk, długi, przeciągły, niby wycie stada wilków. Potem setki głosów zaczęły skandować jakieś hasło. Lokal opustoszał. Zaśmiecony, pełen dymu i zaduchu, niby dom po brutalnej rewizji.

Zwarta kolumna demonstrantów ruszyła wąskim kanionem Corsa. Na czele niesiono rozwinięty szeroko transparent z napisem: „Wojna starym”. Potem szli ławą, trzymając się pod rękę, członkowie komitetu. Za nimi tłum młodych rozkrzyczaną masą. Dziewczeta, chłopcy, młode aktorki, brodaci, ubrani w kolorowe łachmany hippisi, robotnicy w kombinezonach, studenci w kapeluszach o kształcie długich dziobów, muskularni młodzieńcy w skórzanych kurtkach i kaskach motocyklowych. Wiele dziewcząt, niesionych przez chłopców na ramionach, powiewało chorągiewkami i barwnymi chustkami. Co chwila podrywał się nowy okrzyk, na który odpowiadało setki głosów. Czasami skandowano jakieś hasło. Tłum kilka razy usiłował zaintonować jakąś pieśń, ale po chwili gubiła się ona w krzyku.

Członkowie komitetu i otaczające ich oddziały specjalne szli skupieni i poważni. Ale za ich plecami, wraz z krzykami i skandowanymi hasłami, słyszeć było śmiechy i żarty. Roześmiane twarze zdawały się przeczyć treści groźnych transparentów. Wzywano młodych, których zauważono w oknach, by zeszli i przyłączyli się do pochodu. Zwłaszcza nawoływano dziewczeta: „Hej, piękna! Zejdź na dół! Młoda do młodych! Chodź, kociaczk, z nami! Nie bój się! Nie damy ci się nudzić! Chodź do nas, nauczymy cię miłości! *Vieni! Vieni!*”

Z pograżonej w cieniu ulicy mieli za chwilę wyjść na rozplomieniony słońcem plac.

Białe schody mauzoleum – niby mglista zjawka – zamykały perspektywę. W górze, na tle roziskrzonego nieba, ulatywały kwadrygi. Niżej, na tle fryzu kamiennych postaci, widać było całkiem malutkie, ciemne figurki wartowników. Ale między wylotem Corsa a schodami mauzoleum leżał plac zastawiony w tej chwili oddziałami policji.

Kordon policjantów, zamykający ulicę, cofnął się nieco i oparł o następny kordon, rozwinięty trochę dalej na wysokości Pałacu Weneckiego. Za tym podwójnym łańcuchem

ubranej w czarne mundury policji porządkowej widać było inny, szarzielony dwuszerog
ludzi w hełmach, z zapuszczonymi na twarz plastikowymi przyłbicami. Gruby oficer,
z piersią obsypaną medalami, w spodniach z czerwonymi lampasami, wyszedł przed pierwszy
kordon. Podniósł rękę w górę.

Pochód wywalał się z gardła Corsa i rozlewał szerokim frontem. Pierwsze szeregi
zwolniły, ale z tyłu napierała masa, która chciała jak najszybciej wydobyć się na plac. Tłum
falował jak poruszana ukrytym wirem woda.

– Rozejść się! – zawołał oficer. – Polecam natychmiast się rozejść!

– Rozejść się! – odezwało się kilka megafonów, umieszczonych na autach
policyjnych.

Rozkrzyczana ciżba na chwilę przycichła, jakby wyjście na pełen słońca plac
oszołomiło nieco demonstrantów. Ale pierwsze szeregi wciąż drżały, czując na plecach napór
masy ludzkiej, która wydobywała się ciągle z Corsa. Megafony powtarzały: „Rozejść się!
Rozejść się natychmiast!”

Nagle jakiś głos z tłumu krzyknął:

– Precz z drogi!

Demonstranci mieli także megafony. Trzymali je ludzie siedzący na ramionach
innych. Plac napełnił się rykiem:

– Precz! Uciekajcie z drogi! *Mascalzone! Monello! Vecchieto! Antiquita!* Precz! Precz
z drogi! Uciekajcie, starzy! Precz ze staruszkami! Starzy na cmentarz! Z drogi!

Krzyki zlewały się w jedno długie wycie. Tłum zafalował gwałtownie. Na twarzy
oficera odmalował się gniew. Czarny wąsik nad grubymi wargami drgał nerwowo.

– Wzywam do natychmiastowego rozejścia się! – zawołał. – Ostrzegam... Daję dwie
minuty czasu!...

Głos oficera utonął we wrzasku tłumu. Megafony policyjne usiłowały przekrzyczeć wrzawę, ale to było niemożliwe. Setki ludzi krzycało, megafony huczały, w tłumie demonstrantów zaczął się koncert piszczałek, trąbek, klaksonów niby na rozstrzygającym meczu futbolowym. Rozfalowany tłum posunął się naprzód kilka kroków, przypierając oficera do policyjnego kordonu.

– Daję dwie minuty... Daję wam dwie minuty czasu! – krzyczał.

Twarze napierających były coraz bliżej. Jego krzyk gubił się w złośliwych uwagach, co powinien zrobić w ciągu tych dwóch minut.

– Ostrzegam! – znowu podniósł rękę.

– Tylko się nie rozsyp, *terraccio!* – ktoś parsknął mu śmiechem w samą twarz.

– Pęknieś od krzyku, staruszk.

– Idź lepiej od razu na cmentarz.

– *Avanti!* – rozległo się w tłumie..

Masa ludzka ruszyła niby wielki spychacz gruzu. Wepchnęła oficera między jego ludzi. Kordon policjantów zachwiał się pod naporem ciżby. Przekrzykujące się wzajemnie megafony zostały zagłuszone przez wycie atakujących. Policjanci wyciągnęli zza pleców pałki. Ale było za późno – już nie mogli ich użyć. Musieli się cofać.

– Chodźcie z nami! – wołano wśród tłumu. – Chcecie bronić staruchów?! Z nami!

A nie... to z drogi! *Avanti! Avanti!*

Policjanci odskoczyli. Stanęli w szerokim rozkroku, unieśli pałki. Tu i tam uderzeni cofnęli się. Jednak napór z tyłu nie pozwalał się cofnąć pierwszym szeregom. Tłum wył:

– Naprzód! Naprzód! Sługusi! Głupcy! Precz z drogi!

Jakieś ręce podawały do przodu kije, pałki, łomy. Na uderzenia pałek policjantów odpowiedziano uderzeniami. Kordon pękł. Fala rozkrzyczanych manifestantów wlała się na

plac. Stratowano trawniki. Parto coraz dalej ku schodom królewskiego pomnika, zostawiając w tyle grupki szepionych ze sobą w zawziętej walce policjantów i demonstrantów.

Naprzeciwko pędzącej masie ruszyły oddziały specjalne w hełmach i w maskach.

Armatka wodna, ukryta dotąd za murem Pałacu Weneckiego, wysunęła się i próbowała strumieniem wody zatrzymać biegnących. Tłum jednak nie ustąpił. Policjantów zaatakowano kamieniami. Jedni ciskali kamienie, inni łomami rozrywali bruk.

Plac zamienił się w pole walki. Gdy tłum walczył z całą zaciętością z policjantami, nie zauważona przez nikogo mała grupka demonstrantów przedzierała się ku pomników;. Za chwilę była już na schodach. Wartownicy nie wiedzieli, jak się mają zachować wobec tych kilkunastu nadbiegających ludzi. Nie stawiali oporu, kiedy tamci rzucili się na nich i wyrwali broń. Kierujący atakującą grupą wydawał szybko rozkazy. Wciśnięto minę w podstawę figury Italii, po czym równie szybko wycofano się.

Prawie, nikt nie zauważył tej błyskawicznej akcji. Uwagę wszystkich zajęły wjeżdżające na plac auta pancerne. Tłum i teraz nie chciał ustąpić. Walka nie ustawała. Jeden z wozów został obrzucony butelkami z benzyną. Auto stanęło w ogniu, załoga wyskakiwała z niego w popłochu. Ogarnięta płomieniami amunicja zaczęła eksplodować. Armatka wodna, zamiast polewać demonstrantów, skierowała strumień wody na płonące auto.

To wtedy nastąpił wybuch na Grobie Nieznanego Żołnierza. Cały plac zadrżał od huku. Posypały się z brzękiem szyby z okien. Kłęby burego, dymu spowiły schody i kolumnadę.

Wstrząs sprawił, że walka zatrzymała się na chwilę. Ludzie znieruchomieli. Nikt nie wiedział, co się stało. Dym wolno opadał. Wreszcie zobaczono figurę Italii, wyrwaną wybuchem ze swej niszy, leżącą na płycie grobowej. Jeszcze przez moment ludzie patrzyli oszołomieni, a potem z dzikim krzykiem rzucili się znowu na siebie. Wydawać się mogło, że

ten widok pobudził bojowość obu stron, uczynił walkę jeszcze bardziej zaciekle. W tej bezwzględnej bijatyce lepiej uzbrojeni policjanci zaczęli w końcu uzyskiwać przewagę. Coraz więcej pokrwawionych demonstrantów leżało na ziemi. Wreszcie tłum począł się cofać. Policjanci nie przestawali bić i kopać. Pałkami i butami rozprawiano się ze schwytanymi. Zbitych ciągnięto za nogi i za włosy do aut policyjnych. Nie oszczędzano dziewcząt. Walczyły zawzięcie, ale też dostawały za swoje.

Wreszcie opór manifestantów został złamany. Tłum ogarnęła panika. Rzucono się do ucieczki. Większość popędziła z powrotem przez Corso. Ale duża gromada, odcięta od wylotu Corsa, usiłowała się wycofać na via Nazionale. Odepchnięto ją, otoczono i przyparto do gmachu prefektury. W tej gromadzie znalazł się cały prawie komitet manifestacji. Otoczeni nie mieli jednak zamiaru się poddać. Ciskali kamienie i na uderzenia odpowiadali uderzeniami. Policja cofnęła się, by uformować się do nowego natarcia. Obie strony były w prawdziwym szale zawziętości.

Przed front szykujących się do natarcia policjantów wyjechało auto pancerne.

Wychylony z niego oficer policji z tubą megafonu w rękę zawołał:

– Poddać się! Natychmiast podnieść ręce w górę i przechodzić pojedynczo do wozów policyjnych!

Zamiast odpowiedzieć na wezwanie, z przyczajonej pod murem gromady ciśnięto butelkę z benzyną. Spadła na auto, ale nie zapaliła go. Mimo to umieszczony w aucie karabin maszynowy zaszczekał krótką serią. W środku gromady demonstrantów kilku ludzi padło na ziemię.

Posuwający się za autem policjanci, jakby oszołomieni tym co się stało, zatrzymali się. Z tej krótkiej chwili wahania skorzystali zbici pod ścianą ludzie. Błyskawicznie rozsypali się. Przez trawniki, mury, zaułki, szukali drogi ucieczki. Pozostało tylko kilka ciał leżących

pod murem.

– Rwij! Prędko! Prędko! – usłyszała nad uchem głos Dina.

Popchnięto ją, zmuszono do szaleńczego biegu. Jakieś ręce popędzały ją, chwilami wlokły.

– Prędezej! Tędy! Prędezej! – usłyszała nad sobą. Biegący obok ludzie dyszeli, ona dyszała także. Wpadli w wąską uliczkę św. Eufemii, wyskoczyli z drugiej strony prosto na ruiny forum Trajana. Zeskoczyli w dół, pędzili między połamanymi kolumnami, płosząc stada kotów. Grupka była niewielka, licząca może piętnaście osób. Znowu wydostali się na ulicę. Szaleńczą gonitwą wymknęli się policjantom, którzy usiłowali przeciąć im drogę. Wpadli w ulicę pełną przechodniów. Biegli roztrącając ludzi, waląc kijami po szybach mijanych aut i po witrynach. Skręcali w boczne ulice – raz, drugi, trzeci. W końcu zwolnili kroku – zgubili pościg. Już nie biegli, szli ciągle czujnie. Niespodziewanie za rogiem natknęli się na dwóch policjantów. Nie należeli do tych, którzy ich ścigali – dwaj młodzi chłopcy – wydawali się przerażeni, zobaczywszy przed sobą gromadę czerwonych na twarzy, uzbrojonych w kije mężczyzn. To oni rzucili się do ucieczki. Ale jeden z nich uciekając potknął się o rozłożone przed sklepem skrzynki z owocami i upadł jak długi. Dopadli go, otoczyli, gdy podnosił się z ziemi. Chłopak zgubił hełm. Minę miał przerażoną, pot perlił się na jego smagłej twarzy. Podniósł ręce gestem poddającego się żołnierza i próbował się uśmiechnąć. Ale wtedy jeden z demonstrantów uderzył go kijem przez głowę. Potem biło go kilku. Zasłaniał się rękami.

Zaczął wołać:

– Ludzie! Co robicie?! Zabijecie! – Nie przestawali go bić.

Kiedy upadł znowu, skoczyli na niego. Masakrowali go butami. Gdy odchodzili, spod znieruchomiłego ciała płynęła struga krwi.

Na via Cavour gromadka uciekających rozsypała się. Przy dziewczynie został tylko

Dino.

Miasto dookoła nich zanosiło się wyciem syren. Przechodnie kryli się po domach, kupcy zamykali okiennice. Inni stali pod sklepami, rozglądając się niepewnie.

Para idących zatrzymała się przy biegnącej w górę schodami uliczce Monte Polacco.

Dziewczyna oparła się o mur. Była ciągle zadyszana i bardzo zmęczona. Dopiero po chwili podniosła głowę. Zapytała:

– Ale co z Robertem? Wzruszył ramionami.

– Co cię on obchodzi!?

– Stał między nami, na przedzie, kiedy zaczęli strzelać...

– Nic mu się na pewno nie stało.

– Słuchaj, gdyby go zabili...

– Na pewno go nie zabili.

Zagryzła wargi, opuściła głowę. Między nimi, wiedziała, było wszystko skończone.

A jednak nie mogła zapomnieć jego ostatnich, rzuconych za nią słów.

– Idźmy stąd – powiedział Dino. – Ludzie na nas patrzą.

Widać po nas, żeśmy stamtąd zwiali. Trzeba się gdzieś doprowadzić do porządku.

Najlepiej chodźmy na górę, do kościoła. Tam na pewno cicho. Będziemy udawali turystów...

Weszli schodami w górę, przeszli pod murami politechniki. Rzeczywiście – nie było

tutaj nikogo. Znaleźli się przed frontonem kościoła. W dole huczało miasto, wyły syreny, ale

tutaj panował senny spokój i cisza. Niemłoda para o wyglądzie Anglików przyglądała się

kościółowi. Kobieta, szykując się zapewne do wejścia do środka, okręcała rude włosy

chusteczką. Mężczyzna pochylony studiował przewodnik. Nawet nie spojrzeli na

nadchodzącą Parę. Starsza, czarno ubrana kobieta prowadziła za rękę dwie dziewczynki.

I ona, zanim weszła do kościoła, położyła sobie na włosach złożoną, niezbyt czystą

chusteczkę. W przedsionku sprzedawca dewocjonalistów bełkotał zachęcająco, wskazując na swój kramik pełen różnej wielkości figurek Mojżesza, lalek poubieranych w pasiaste mundury gwardzystów papieskich i breloczków do kluczyków samochodowych, ozdobionych głowami papieży.

Minęli przedsionek i weszli do środka. Panowały tu półcień i muzealna, dostojna cisza. W tym przerażająco hałaśliwym mieście kościoły wydawały się jedynymi oazami spokoju. Z prawej strony ołtarza, nie dające się ogarnąć wzrokiem dla bogactwa swoich szczegółów, wznosiło się mauzoleum Juliusza II z groźnym jak sam papież, wspartym na tablicach Dziesięciu Przykazań Mojżeszem. Mały chłopczyk stał przed balustradą i z uporczywością przypatrywał się rzeźbom. Obejrzał się, rzucił na nich szybkie spojrzenie i znowu wrócił do swej kontemplacji.

– Trzeba się było jednak przekonać, czy mu się coś nie stało – powiedziała cicho. –

Mogli go zabić, mogli go schwytać...

– Przestań się wreszcie nim przejmować! – przerwał jej. – Ciesz się, że udało się zwać. Nie będzie słodko tym, którzy się dziś dostali w ich łapy. A nam, jakby wywączali, że jesteśmy z komitetu, byłoby jeszcze gorzej. Zrobiliśmy niezłą drakę, co? A to dopiero początek...

– O czym mówisz?

- O tym, o czym zawsze mówiliśmy. Przecież na tym nie skończymy. Jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”.

– Co chcesz zrobić?

– Pogadamy później. Teraz musimy odsapnąć. Wróć do domu, pewno ciotka szaleje z niepokoju. Wieczorem wpadnę. Będziesz mi bardzo potrzebna.

– Ja? A Sylwia?

– Nie bądź śmieszna. Sylwia to dzielna dziewczyna. Ale teraz będziesz mi ty potrzebna. Czas najwyższy, abyśmy zaczęli ze sobą współpracować.

W półmroku poczuła na sobie jego rozkazujący wzrok. Przebiegł ją dreszcz – sama nie wiedziała dlaczego. Obróciła wzrok na figurę Mojżesza. Gdzie Michał Anioł znalazł model dla swego dzieła? Ciężka stopa Mojżesza, można było sądzić, jeszcze przed chwilą uderzała gniewnie w ziemię i spoczęła dopiero, gdy prorok przeparł swoją wolę. Dino nie miał tak potężnej postaci, a jednak czuła, że wszystko w nim także emanuje wolą. Wydało jej się, jakby przy ostatnich słowach niedostrzegalnie położył na niej rękę. Obudziło to w niej odruchowy sprzeciw, choć równocześnie czuła, że nie ma w niej wiary w możliwość oporu. Nie wyrwę się z jego kręgu – myślała.

– Jeżeli jestem ci rzeczywiście potrzebna...

– Jesteś potrzebna – zapewnił.

Wolnym ruchem, który pozwalał zapomnieć o zniewalającym spojrzeniu mężczyzny, przygładziła włosy.

– Dlaczego pozwoliłeś, aby twoi bili tego policjanta? Mogli go zabić. Może mu coś zrobili?

Wzruszył ramionami.

– Zaczęliśmy walkę. W tej walce trzeba palić za sobą mosty.

– Nie bądź dzieckiem...

Potrząsnęła przecząco głową. Doszedł ją w półmroku jego cichy śmiech.

– Podoba mi się – rzekł – gdy się próbujesz buntować...

Powoli wyszła z kościoła. Dino wyszedł wcześniej. Słońce świeciło tak jaskrawo, że aż musiała zmrużyć oczy. W czasie szaleńczego biegu zgubiła ciemne okulary. Leżące w dole miasto zanosilo się dalej dźwiękiem syren. Ponad domy wznosiły się mury pomnika Wiktora Emanuela. Wybuch nie zagroził jego sylwetce widocznej z każdego rzymskiego wzgórza.

Tam może coś się jeszcze działo. Tutaj Eskwilin drzemał w rozleniwiającym cieple.

W szparach murów strzykały cykady, na rozgrzanych kamieniach wygrzewały się jaszczurki.

Sznur dziewcząt, turystek o wyglądzie Holenderek, grubych i piegowatych, wchodził właśnie do przedsionka kościoła. Musiały być zmęczone wędrówką po mieście. Miały włosy roztargane, przysypane pyłem, a na ich bluzkach i sweterkach widać było ciemne zacieki od potu. Zatrzymały się przy kramiku małego sprzedawcy. Brały do rąk figurki Mojżesza, przyciski w kształcie bazyliki, krzykliwe apaszki z wymalowanymi na nich widokami miasta.

Znowu – obeszła kościół i zesła ulicą Polaków na via Cavour. Czula się bardzo zmęczona. Ciągle tkwił w niej niepokój o Roberta. Byłoby czymś wstrząsającym – myślała – gdyby mu stało się coś złego właśnie po tym, co powiedział...

Dała się porwać obłąkańczej miłości, miłości, która kazała je; zapomnieć o wszystkim. Gdy powiedział „chodź” – poszła za nim ślepo. Porzucili Rzym i studia, uciekli na Sycylię. Koło Taorminy zaparkowali w motelu auto. Nie zostawili wiadomości, dokąd idą. Chcieli zniknąć. Wędrowali pieszo wzdłuż wybrzeża. Kapali się w niebieskim, jakby zabarwionym farbka morzu; opalali się leżąc nago na skałach; zatrzymywali się w wiejskich tawernach, pili wino na cienistych werandach objęci ramionami: całowali się i pieścili nie dbając o to, że dojrzą ich czyjeś oczy. Bawiło ich nawet, gdy dostrzegali zgorzenie na twarzach czarno ubranych, chudych kobiet o tragicznych oczach. Chcieli zapomnieć, że na świecie coś może istnieć poza ich miłością.

To była nie tylko ciągła radość, ale to była także świadomość oszałamiającej wolności. Czuli się uwolnieni od wszystkiego, co w ich życiu budziło sprzeciw. Ich miłość była buntem i triumfem w buncie.

Jeśli poszła za Robertem, to nie dlatego, że był przywódcą ich ruchu. Poznawszy go, uświadomiła sobie, że czuje się swoją rolą przytłoczony. Sytuacja wyniosła go niespodziewanie na szczyt. Ale mimo wygórowanych ambicji nie nadawał się na „wodza”. Był zwyczajnym chłopcem, skrywającym przed drugimi swoją słabość. Nie miała o to do niego żalu. Przeciwnie – może właśnie dlatego kochała go tym mocniej. Jej miłość do niego zrodziła się z potrzeby podtrzymywania go i umacniania.

Ale pewnego wieczoru, po pełnym pieśzcot dniu, Roberto nagle stracił przytomność. Zamieszkiwali wtedy obskurny, na poły rozwalony domek, odstąpiony im przez miejscowego pasterza kóz. Byli sami. Nagle zobaczyła, jak chłopak miota się wśród drgawek, a potem pręży niby w agonii. Ogarnęło ją przerażenie. Była pewna, że Roberto umiera. Zostawiła go, pobiegła jak szalona, mimo ciemności, do pobliskiego miasteczka do telefonu. Zadzwoiła także do Rzymu, zdradziła, gdzie są. Pogotowie, które do nich dotarło, postawiło chłopca na nogi jednym zastrzykiem. Lekarz o twarzy młodego człowieka, lecz o siwych włosach, zaproponował, aby się z nim przeszła po skalistej ścieżce. „Niech pani wpłynie na swego towarzysza, żeby się leczył – powiedział. – To ostatni moment. Jeszcze jeden, dwa takie ataki, a pozostanie tylko szpital dla umysłowo chorych...” „Co takiego? Z czego on ma się leczyć?” Podniósł na nią zdziwiony wzrok zmęczonych oczu pod grubymi szczotkami czarnych brwi. „Pani nie wie? Pani towarzysz jest narkomanem, i to w bardzo posuniętym stadium. Czytała pani opowiadanie o doktorze Jekyllu i panu Hyde? Nie? Szkoda. Niech pani przeczyta. To już jest moment, w którym Jekyll staje się Hydem czy chce tego, czy nie chce...”

Słowa doktora były dla niej wstrząsem nie mniejszym niż przerażenie wywołane

stanem Roberta. Oczywiście – jak całe jej pokolenie – wiedziała, czym są narkotyki.

Próbowała ich sama – jak próbowali prawie wszyscy. Nie znalazła w nich smaku. Ale z kimś, kto był tak bardzo w ich władzy, spotkała się po raz pierwszy. I nagle w innym całkiem świetle zobaczyła swoją miłość. Roberto nie u niej szukał ratunku. Szukał go w heroinie. Nie oddał się w jej ręce z takim zaufaniem, z jakim ona gotowa się była oddać. Odczuła to jako dotkliwy, wstrząsający zawód. Jakieś zasłony, wydało się, opadły z oczu.

Gdy Roberto odzyskał siły, przenieśli go do małego hoteliku w miasteczku. Ale ich stosunki nie były już tym, czym były przedtem. Dostrzegała teraz rzeczy, których nie widziała dawniej: kaprysy Roberta, egoizm i brutalność. W dwa dni później odkryła, że w tajemnicy przed nią sprowadza sobie narkotyki przez jednego z miejscowych rybaków. Gdy robiła mu o to wyrzuty, uderzył ją. To było coś, czego znieść nie potrafiła. Jej miłość przemieniła się we wstręt. W porywie gniewu zdecydowana była porzucić natychmiast Roberta, wrócić do Rzymu. Lecz właśnie tego dnia odnalazł ich przybyły na Sycylię Dino.

Zetknęli się z nim wtedy po raz pierwszy bliżej. Był zaprzeczeniem historycznej postawy Roberta. Łagodnie, ale stanowczo przekonywał ją, że nie powinna opuszczać chłopaka. „Jeżeli go teraz zostawisz – mówił – wykończy się całkiem. A on jest nam w tej chwili bardzo potrzebny. Jesteśmy w pełni przygotowani do akcji. Nie jest na pewno wiele wart, ale bez niego nie dojdzie do porozumienia wszystkich grup. Ma dobrą opinię. Na jego zwierzchnictwo wszyscy się godzą. Musi koniecznie wrócić i doprowadzić do zapięcia wszystkiego na ostatni guzik. Gdyby teraz odszedł, trzeba by zaczynać od początku... Wiem, że jesteś z nami, dzielisz nasze idee... Masz więc zadanie: doprowadzić go cało i zdrowo na posiedzenie komitetu...”

To wiedziała – Roberto miał szczęście do ludzi. Dzięki jego osobie udało się w komitecie zgromadzić przedstawicieli wielu grup. Dino – przewyższający Roberta energią,

wolą i umiejętnościami – nie potrafiłby tego zrobić. Jego osoba budziła obawy.

Argumentacja Dina przekonała Teresę. Z niezwykłą zręcznością umiała dotrzeć do tkwiącego w głębi jej serca poczucia odpowiedzialności. W ich pokoleniu była to cecha prawie nie znana. Ludzie żyli bezwzględnością odruchu. To, co chcieli, było dla nich prawem. On jednak odnalazł w niej – jej samej nie znany – sprzeciw wobec takiej postawy. Powtarzał: „Nie możesz od niego odejść. Nie wolno ci od niego teraz odejść. To byłoby niełojalne”.

Została przy Robercie. Prowadziła go do lekarzy, pilnowała kuracji. Ale Roberto nie wytrwał. Znowu po kryjomu przed nią zaopatrywał się w narkotyki. Oszukiwał ją. Aby móc imponować na zebraniach komitetu, robił sobie przed spotkaniem „fixa” z heroiny z kokainą. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby przestać być „wodzem”. Później popadł w stan zniechęcenia i rozpacz. Od Teresy domagał się czułości i uległości. Tamci w komitecie zachwycali się nim, ona jednak, znając ukryty mechanizm, czuła, jak ją ogarnia coraz większa niechęć. Doszło do tego, że nie mogła znieść Roberta. Brzydził ją widok człowieka, który przestał panować nad swą osobowością.

Ale Dino nie pozwalał jej, aby całkowicie od Roberta odeszła. Potrafił być wobec niej nawet serdeczny. „Chyba to rozumiesz – mówił – potrzebujemy go dla naszej sprawy”.

Wciągał ją do ruchu, dawał jej inne jeszcze zadania. Z determinacją rzuciła się w wir tej pracy, która pozwalała zapomnieć o doznanym zawodzie. Ludzie Dina uważali ją za swego człowieka. Tylko Sylwia, choć obdarzała ją uśmiechami, kryła w sobie niechęć. Ale Teresa wiedziała, że Sylwia nigdy nie sprzeciwi się Dinowi wprost.

Wąskimi, starymi uliczkami doszła do via Milano, a potem do via Nazionale. Ruch na ulicy był już tutaj całkowicie przywrócony, fala aut toczyła się pośpiesznie, niby w ciągłej pogoni za czymś uciekającym. Jedyнным śladem wydarzeń była grupa uzbrojonych

karabinierów na schodach Pałacu Wystaw oraz stojący na chodniku, obok schodów prowadzących do zapadłego w ziemię kościoła św. Witalisa, wóz policyjny. Gdy mijają policjantów, czuła, że na nią uważnie patrzą. Ale nie przyspieszyła kroku; szła noga za nogą, naśladowując tym ruchem włóczące się po ulicach dziewczęta. Skręciła za rogiem ulicy Czterech Fontann. Wąskie chodniki, na których ledwo się można było wyminąć, prowadziły w górę, ku skrzyżowaniu, gdzie szumiały fontanny. Tutaj także stało na chodniku auto policyjne. Minęła skrzyżowanie, poszła w dół. Za nią, w perspektywie długiego, wąskiego korytarza ulic, został słoneczny kształt kościoła Matki Bożej Większej. Przecięła plac Barberinich, weszła w via Veneto.

Tu można było od razu zapomnieć o wydarzeniach, które dopiero co miały miejsce w nieodległej przeciw dzielnicy miasta. Chodniki zastawione były stolikami, przy których siedziały postrojone, jakby wyczekujące, kobiety i czymś bardzo zaaferowani mężczyźni. Nad małymi marmurowymi blatami stolików załatwiane były wielkie interesy. Między szklaneczkami campari, szklankami whisky i kieliszkami martini poruszały się w gwałtownej gestykulacji palce, na których połyskiwały nieraz cenne pierścionki. Coś notowano spieszenie na kartkach. Kobiety cierpliwie czekały, aż mężczyźni skończą swoje sprawy. Milczały i tylko od czasu do czasu pochylały ku sobie głowy, by szepnąć parę słów. Między stolikami uwijali się kelnerzy w białych kurtkach, ugarniowanych kolorowymi wyłogami i złotymi guzikami. Podawali prędko, układnymi gestami. Uśmiechali się do kobiet o oczach tak wysztuczonych, że wydawały się oczami lalek, nalepionymi na żywe twarze. Kobiety czasami odpowiadały dyskretnym uśmiechem. Ale częściej siedziały sztywno, obojętne, jakby ten uśmiech nie był do nich skierowany.

Przy tych stolikach wszystko było do kupienia i wszystko do sprzedania. Dino nieraz mówił: „To drugi *marche des puces*, jak tamten za Porta Portese. Tylko bardziej obrzydliwy.

Chciałoby się podpalić ten kram lub wysadzić w powietrze!”

Ciężkie, obciążone sztucznymi rzęsami oczy kobiet szły za nią, gdy mijala stoliki.

Miała wrażenie, że w czarnych oczach czyta nienawiść... Można było pomyśleć, że kobiety czuły do niej pretensję o pozbawioną makijażu twarz, o wyskubany golf i o wytarte dzinsy.

Przechodziła od jednego skupiska stolików do drugiego, a potem szła dalej krętą, pnącą się w górę ulicą. Minęła placyk, bramę i znalazła się w parku. Zieleń na trawnikach zszarzała, pokryta pyłem. W alejkach pełno było krzyczących dzieci i kobiet z wózkami. Na ławkach przysiedli mężczyźni i stare kobiety, wodzący za dziećmi szklanym wzrokiem.

Oddychali ciężko jak ptaki, które podczas krótkiego odpoczynku zbierają siły, nim odlecą za stadem.

Ledwo już wlokła nogi, tak była zmęczona. Stopy mimo lekkich sandałów miała obolałe. Tam, na Sycylii, była nieraz tak bardzo zmęczona, że szła boso, porzuciwszy w rowie podarte pantofle. Ale tamto zmęczenie było szczęściem. Teraz z bólem nóg łączyła się wciąż powracająca, niespokojna myśl o Robercie.

Zobaczyła koło świątyni Eskulapa wolną ławkę i usiadła, aby przez chwilę odpocząć.

Słońce przypiekało, było duszno. Niecierpliwym ruchem zrzuciła z nóg sandały. Siadła bokiem i wyciągnęła nogi na ławce. Spoza szarej zieleni przebijał zapach zgnilizny. Stawek prawie całkiem wysechł, był już tylko zaropiałą kałużą. W książkach czytywała jeszcze nieraz o pachnącej wodzie, o zapachu trawy i liści. Ale naprawdę знаła już tylko sztuczne, chemiczne wonie. Daleko, na tle nieba, z szarego oparu, który leżał nad miastem, wynurzała się niby rufa tonącego okrętu kopuła bazyliki. Pomyślała, że żyje w najpiękniejszym mieście świata, ale to miasto także pokrywa fala przyływu.

Obok ławki przechodziło dwóch chłopaków w kraciastych koszulach. Zwolnili kroku.

– Nogi całkiem, całkiem – zauważył jeden.

– Posuń się, mała, coś ci pokazemy – powiedział drugi.

Usiłował usiąść obok niej. Energicznym kopnięciem odepchnęła dłonie, które chciał położyć na jej łydkach.

– Spływajcie!

Tamten podniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć. Nie zdążyła zrobić gestu, aby się zasłonić, gdy nagle pierwszy z chłopaków pociągnął towarzysza i obaj szybko zniknęli za zakrętem alejki. Nadchodził patrol uzbrojonych karabinierów. Chłopcy byli czarni, mieli błyszczące zęby. Oni także nie odrywali wzroku od jej nóg. Jeden coś powiedział. Przymknęła oczy, udała, że drzemie. Słyszała ich stapania, cichy śmiech. Przeszli. Ledwo zniknęli, postanowiła, że musi iść. Dino mógł telefonować mogła być jakaś wiadomość o Robercie. Sięgnęła po sandały.

Jeszcze nie odeszła, gdy do ławki zbliżyły się dwie starsze kobiety i usiadły na jej końcu. Jedna miała na nosie okulary bardzo grubymi szklami. Mówiła do towarzyszki cichym, szemrzącym głosem:

– ...jak mu powiedziałam, że jestem słaba, to on zaraz: niech mama idzie do zakładu.

Po co czekać? Tam lepiej, można odpoczywać cały dzień. Odpoczywać? Co by to było, gdybym musiała cały dzień odpoczywać! Ja nie mówiłam, że nie chcę im pomagać. Mogę i gotować, i sprzątać, i zająć się dziećmi... Ale teraz jestem słaba. Muszę odsapnąć. Jak nie odpocznę, to zachoruję. A wtedy zrobią ze mną, co zechcą...

Kończyła się pora sjesty. Przycichłe nieco miasto znowu nabrzmiewało hałasem.

Wolno, na obolałych nogach, ruszyła w głąb parku Borghese.

Im udało się zbiec na wybrzeże i przez Ponte Fabricio, wyspę i Ponte Cestio przejść na drugą stronę rzeki. Na Zatybrzu panował spokój: ten sam co zawsze żywy ruch handlowy. Na straganach wznosiły się stosy owoców, na targowiskach sprzedawano ryby, mątwy i frutti di mare. Otwierały się małe tawerny pachnące winem i kawą. Chłodne, mroczne kościoły zapraszały do wnętrza. Nad pełną życia dzielnicą wznosiło się szarozielone zbocze zakończone murem, nad który strzelały parasole pinii i groty cyprysów. Przed kościołem Santa Maria in Trastevere jak zawsze biła fontanna i złoty zegar na kampanili znaczył godziny; wypłowiałe postacie na fresku zdawały się wolno przesuwać za plecami sztywnych figur na frontonie.

Gromadka chłopców i dziewcząt zmieszała się z tłumem ulicznym. Przed muzeum Torlonia złapali autobus i dojechali nim do Placu przed bazyliką.

Ogromny plac, zakłęśnięty lekko pośrodku, był pusty. Drobne grupki turystów – niby maleńcy wycieczkowicze wśród potężnych ścian górskich – wędrowały leniwie po schodach lub usiadłszy cieniu kolumnady, patrzyły na fontanny, które roztrzepywał wiatr i pryskał kroplami na bawiące się w pobliżu dzieci. Gorączkowy gwar miasta został na końcu via delia Conciliazione. Plac był niby polana leśna w pobliżu hałaśliwej autostrady.

Młodzi, którzy tu przyszli, zmęczeni usiedli pod kolumnadą Z pobliskiego straganu przynieśli sobie pomarańcze i banany. Mieli na piersiach krzyże, różańce lub wielkie brosze z głową Chrystusa. Ich przywódcą był Ugo – chudy chłopak z długimi włosami i z zarostem naśladowującym zarost Jezusa z popularnych rycin. Grał postać Mistrza z Nazaretu w muzycznym widowisku, które ich zespół od kilku miesięcy wystawiał w jednym z teatrów na peryferiach miasta. Do teatru wędrowały tłumy. Jedni przyjmowali sztukę entuzjastycznie, z zachwytem, inni z oburzeniem. Pierwsi klaskali, drudzy gwizdali. Nieraz dochodziło do

bijatyki między entuzjastami a tymi, którzy żądali zdjęcia widowiska ze sceny. Stan napięcia powtarzał się co wieczór. Jezus w sztuce przywoływał do siebie młodych; był dla nich przyjacielem, pochwalał ich, gdy się kochali, kazał gardzić pieniądzem, władzą, bogactwem, uczył nienawidzić wojny. Był za to aresztowany przez ludzi w mundurach policjantów, torturowany, wreszcie powieszony. Sztukę kończył dziki, najpierw żalony, potem zamieniający się w rodzaj orgii taniec dziewcząt wokoło szubienicy. Tańcząc dziewczęta rwały na sobie odzież i śpiewały: „Nie bójmy się niczego! W miłości znajdziemy Go znowu!” Sztuka była składanką rozmaitych tekstów. Niektóre wędrowały wśród młodych z kraju do kraju, przerabiane i uzupełniane, inne rodziły się na gorąco podczas przygotowywania przedstawienia. Aldo, nieładny chłopak siedzący obok Uga z wyciągniętymi przed siebie nogami, był tym, który te teksty sklejał, a częściowo sam pisał. Był poetą, autorem piosenek. Jego twórczość kryła chorobliwą nieśmiałość i niezliczone kompleksy. Syn rozwiedzionej pary adwokatów, wychowany przez dziadków, wydawał się zagubionym przedstawicielem z innego stulecia. Koledzy dokuczali mu, dziewczęta kpiły z niego. Gdyby nie uzdolnienia poetyckie, byłby się znalazł niewątpliwie poza życiem studenckim. Ale Ugo, szef ich grupy, docenił jego umiejętności. „Dajcie mu spokój – mówił. – On jest nieudany, ale pisać umie. Przyda się nam. Jak będziecie sobie na nim używali, odstraszyście go”. Dzięki Ugowi Aldo znalazł się w zespole.

Aldo, przygotowawszy widowisko, pragnął także w nim grać. Trupa była zaskoczona.

Ale Ugo i tym razem obronił Alda. „Słuchajcie – powiedział – niech on gra. W sztuce jest rola Jana. Można mu ją dać. To ma być taki facet, który chce kochać, a nie wie jak to się robi, rozumiecie? Taki, co to się czerwieni, jak gada z dziewczynami, i nie bardzo wie, o czym z nimi mówić. Wiecie, taki właśnie jak on... – mrugał porozumiewawczo. – Będzie w sztuce

sobą. Niech gra”.

Nie potrafił mówić z dziewczynami, a przecież właśnie dla dziewczyny chciał zagrać w swej sztuce. Nie wystarczyło mu, że jest jej autorem. Rolę Magdaleny miała grać Teresa. Była to jedyna możliwość zbliżenia się do niej. Marzył o tym od dawna. Od roku może wodził za nią wzrokiem. Nie umiał podejść, zawrzeć znajomości. Ona była zawsze otoczona. A ostatnio spotykała się wyłącznie z najważniejszymi w ruchu: z Robertem, Dinem, Ugiem. Ale ledwo się zaczęły próby, ledwo dwa czy trzy razy zegrali razem, Teresa wyjechała. Trzeba było znaleźć kogoś innego na jej miejsce. Magdalenę zagrała Mariapia. Teresę zobaczył dopiero dziś, podczas pochodu, w grupie członków komitetu. Gdy doszło do walki na placu, zgubił ją z oczu. Był niespokojny: rozeszła się wiadomość, że policja otworzyła ogień i wszyscy członkowie komitetu zostali zabici lub ranni.

Aldo grał Jana, któremu Jezus ze sztuki mówił: „Bądź więcej chłopem, nie daj się... Masz, napij się”. Podawał mu kubek wina. Widzowie w tym miejscu śmieli się, często klaskali. Aldo wypijał wino, a potem śpiewał: „Bo życie trzeba zdobywać jak fortecę z piasku”. To była jedna z najpopularniejszych melodii ich widowiska.

Judasza grywał Carlo. Judasz w ich sztuce był tym, który wiedział, jak Jezus powinien postępować. Był trzeźwy, rozsądny – ale Jezus nie chciał go słuchać. Więc Judasz zapowiadał, że wszystko musi się skończyć źle. „Kto kocha, ten powinien także umieć nienawidzić” – śpiewał. W sztuce nie było zdrady Judasza. Po Prostu Judasz upił się i w decydującej chwili nie przyszedł na Pomoc. Jezus wzruszał słuchaczy, ale Judasz budził uznanie.

Carlo był ich przedstawicielem w komitecie. Podczas pochodu znajdował się na czele. Aldo słyszał, że to właśnie Carlo cisnął butelkę pod koła policyjnego wozu. Nie zjawił się po pochodzie w miejscu, gdzie było umówione spotkanie. Nie było go teraz między nimi. Pełni

niepokoją zastanawiali się, co mu się mogło stać. W sztuce, jako Judasz, popełniał samobójstwo, dowiedziawszy się o śmierci Jezusa. Połykał truciznę. Ale zaraz potem zrywał się na nogi, by wziąć udział w finałowym tańcu. On także śpiewał – ”Musimy się kochać, kochać, kochać – a wtedy On powróci znowu...”

Złote wskazówki zegarów na frontonie bazyliki dochodziły dwunastej. Spomiędzy starych zaułków wypełził na plac mały pochód. Szła gromadka księży w wytartych sutannach. Wyglądali w nich dziwnie – nikt już teraz sutann nie nosił; można było sądzić, że to gromadka kobiet niezgrabnie stąpających w egzotycznych, ludowych strojach. Zatrzymali się w miejscu, gdzie budynek mieszkalny pałacu watykańskiego dotykał rogiem placu. Stanęli w milczeniu. Także jacyś inni ludzie wysuwali się spod kolumnady. Była to gromadka kolorowo ubranych turystów, kilka kobiet, trzy zakonnice o żółtych twarzach Azjatek, jakiś stary mężczyzna ubrany w łachmany. Grupa młodych powstała także. Podeszli do tamtych, ustawili się obok księży. Obie grupy rozwinęły małe transparenty. Na transparentie młodych widniał napis: „Niepotrzebny nam Jezus na ołtarzu – chcemy, aby był naszym kolegą i kompanem”. Na transparentie księży były napisane słowa: „Żonaci księża chcą być dalej kapłanami”.

W budynku na piętrze otworzyło się okno. Służba wyrzuciła na zewnątrz dywan ze znakami papieskimi, ustawiła mikrofon. Gdy wybiła dwunasta, w oknie ukazała się biała postać.

W dole zaklaskano. Człowiek w oknie otworzył szeroko ramiona i potrząsnął nimi. Czas jakiś stał nieruchomo, bez słowa. Można było sądzić, że liczy ludzi, którzy się zebrali pod jego oknem. Na placu zdolnym pomieścić dziesiątki tysięcy stało może sto osób. Paweł VII wydawał się zmęczony. Był jednym z najmłodszych kardynałów, gdy – po abdykacji poprzednika – powołano go na tron papieski. Wetknięto mu władzę, której nikt

inny nie śmiał wziąć. Przeżegnał się i oparłszy się obu dłońmi o mały pulpit, zaczął powoli i wyraźnie odmawiać Anioł Pański. Akcentował każde słowo. Jego wymowa zdradzała, że nie był Włochem. Miał twarz krągłą, szerokie ramiona, jasne włosy.

Papież odmawiał modlitwę, a ludzie w dole odpowiadali mu. Kiedy skończył, wsparł się dłońmi o parapet okna, wysunął do przodu i zwrócił się do zebranych. Głos miał silny – o wiele za mocny, niż było potrzeba dla tak małej grupy słuchaczy.

– Najdrożsi – zaczął. – Jest nas tu bardzo niewiele. A przecież nasz świat nigdy bardziej nie potrzebował modlitwy, niż jej potrzebuje dzisiaj. Jakże mało jest tych, którzy mogą go ocalić...

Na chwilę zatrzymał się, ale zaraz podjął na nowo jeszcze mocniej:

– Świat zatracił równowagę. Wznosi z dumą wieżę swej mądrości. Lecz ci, którzy ją budują, przestają się rozumieć. Nie ufają sobie. Nie kochają się. Stojąc coraz bliżej siebie, są coraz bardziej od siebie oddaleni. Coraz bardziej samotni. To poczucie samotności budzi w nich rozpacz. Pragną od niego uciec... Na próżno jednak! Bez skutku z zapalem afirmują siebie. Zagłuszają lęk i niepewność, coraz więcej mówią i coraz głośniej. Otaczają się krzykiem i hałasem. Wszystko na próżno...

Urwał i opuścił głowę, jakby zbierał siły, których mu zabrakło. Mikrofon przekazywał jego ciężki oddech. Znowu podniósł głowę. Ciągnął:

– Nic nie pomoże światu, najdrożsi, choćby sam siebie, nie wiem jak głośno, zapewniał o swojej mocy. Nic mu nie pomoże, jeśli nie zobaczy swej nędzy. Jeżeli nie znajdzie na to dość odwagi, czeka go starość i śmierć. A przecież nie powinien ginąć. Jest w nim tyle rzeczy pięknych i wspaniałych. Myśl ludzka, dzieła sztuki...

Tyle osiągnął i tyle mógłby jeszcze osiągnąć. Przypomnijcie sobie, co napisał

w swoim czasie pewien pisarz, że także wieża Babel mogła być wspaniałą budowlą, gdyby

wznosiła się nie tylko wwyż, ale także miała schody idące w głąb... Tak, trzeba odwagi, aby spojrzeć w siebie. I wy, młodzi – wychylił się z okna, jakby mówił wyłącznie do nich – wy musicie się na tę odwagę zdobyć. Nie ma zła, które by pozostało złem, jeśli się je zmierzy z ufnością. Musicie mieć wiele odwagi, by przez niepokój własnego serca dotrzeć do niepokoju świata... O tę odwagę dla was pomódlmy się dzisiaj...

Przez chwilę odmawiał modlitwę. A potem podniósł rękę i zrobił nad głowami zebranych ludzi szeroki znak krzyża. Potrząsnął dłońmi gestem pożegnania i cofnął się. Po chwili służba wciągnęła dywan i zdjęła mikrofon. Okno zamknęło się.

Księża powoli zwinęli swój transparent. Ciężko, jak ludzie niosący przygniatający ciężar, ruszyli z powrotem w stronę, z której przyszli. Rozchodzili się i inni. Młodzi demonstranci spoglądali po sobie.

– Mówił, że zwraca się do młodych – rzekł któryś. – Ale co on właściwie chciał powiedzieć?

– Żebyśmy patrzyli w nasze niespokojne serca...

– Dlaczego on myśli, że jesteśmy niespokojni?

– Od niepokoju trzeba uciekać...

– Nie powiedział nic na to, że uważamy Jezusa za naszego kompana...

– Jezus chciał na pewno szczęścia ludzi – odezwała się jedna z dziewcząt. – Chciał, aby kochali i byli kochani. Aby nie było wojen ani zmartwień...

– Aby wszyscy się cieszyli...

– Co on mówił o odwadze?

– Że musimy być odważni.

– To starym brak odwagi...

– Słuchajcie, o jakiej on książce mówił? Ty może wiesz, Aldo. Tyle czytasz...

Wszyscy spojrzeli pytająco na Alda.

– Owszem, przypominam sobie – bąknął. – Tylko zapomniałem nazwiska autora i tytułu...

– Ale to na pewno jakiś stary napisał?

– Och tak, na pewno...

– W takim razie szkoda czasu na czytanie.

Zwinęli transparent i ruszyli w stronę via della Conciliazione. Przed nimi Zamek św.

Anioła roztopiał się w słońcu i przemieniał w błękitny cień. W dole dogorywał Tyber brudny i śmierdzący. Węda ledwo się sączyła między łachami śmieci. Oba wybrzeża dygotały warkotem aut.

Aldo powlókł się na końcu. Był zmęczony. Odpowiedział wymijająco na pytania o książkę. Naprawdę pamiętał ją dobrze. Wpadła mu w ręce nie tak dawno, zupełnie przypadkowo. Przeczytał ją nastawiony raczej na sprzeciw. Ale czytając doznał wstrząsu.

Miał uczucie, że autor wypowiadał jego własne niepokoje i oczekiwania. Ta książka kazała mu szukać. Wskazała cel... A przecież wydana była przed piętnastu laty. Zebrane na obwołucie fragmenty recenzji dowodziły, że wtedy, gdy się ukazała, obudziła szerokie echa. Teraz była nieznana, zapomniana. Pokolenie Alda nic o niej nie wiedziało. Niektórzy te same problemy usiłowali odkryć na nowo. Może by się nimi nie interesowali, gdyby wiedzieli, że dla pokolenia ich ojców także były czymś ważnym?... Podświadoma obawa kazała mu nie przyznawać się do znajomości książki ani do wrażenia, jakie na nim zrobiła.

A jednak to dzięki niej związał się z grupą „Jezusa, dobrego kompana”. Przedtem nigdy ta Postać nie stanęła przed nim. Książka kazała mu szukać Twarzy Tamtego. Pod jej wpływem napisał swoje widowisko. Czuł, że w jego sztuce płaczą się własne myśli z nastrojami grupy. Ale Bohater widowiska przyciągał go, nasuwał nowe idee i pomysły.

Aldo raz po raz dokonywał zmian w tekście.

W tej chwili jednak niepokój o Teresę i o Carla nie pozwolił mu długo o tym myśleć.

Minęli most i zanurzyli się w miasto pełne żaru i swędu niby w rozhuczaną motorami halę fabryczną.

– To ty, Tereso?

W głębi mieszkania rozległy się szybkie kroczki. W drzwiach jadalni pojawiła się drobna figurka ciotki w kwiecistym fartuszkusie gospodarskim. Kobieta porywczo rozłożyła ramiona, jakby chciała dziewczynę objąć. Ale nie zrobiła tego.

– Boże, taka byłam niespokojna. Telewizja podawała jakieś okropne wiadomości. Że były demonstracje studenckie, że bito się, strzelano... Że są zabici i ranni. Trzęsłam się na myśl, że mogłaś być z tamtymi.

– Owszem, byłam z nimi – powiedziała lakonicznie. Nie znosiła patetycznego tonu ciotki, jej sentymentalnego roztkliwiania się. – Był pochód, a potem zrobiła się awantura. Mówili w telewizji, że są zabici?

– Mówili. Chwała Bogu, że wróciłaś szczęśliwie. O co wam poszło? Z czego ta cała awantura?

Szła za Teresą, gdy ta skierowała się do swego pokoju. Dlaczego ona mnie nie zostawi w spokoju? – myślała gniewnie. Była zmęczona, pragnęła zostać sama ze swymi myślami. A ciotka będzie stała nad nią, wypytywała. Nie chciała być niegrzeczna... W rzeczywistości miała dla ciotki wiele uczuć. Wiedziała, że ciotka ją kocha. Pozbawiona od wczesnego dzieciństwa matki właściwie tęskniła za uczuciami. Ale wylewność ciotki drażniła ją i budziła sprzeciw. Gdyby ciotka chciała nie mówić, gdyby chciała poczekać w drugim pokoju, aż ona sama do niej przyjdzie... Tak się zresztą zdarzało. Czasami na Teresę nachodziło pragnienie rozmowy. Wtedy szła do ciotki, usiłowała jej pomóc, przynosiła jakiś drobiazg, parę kwiatków. Ale robiła to tylko wtedy, gdy nikt tego od niej nie żądał. Natomiast każde żądanie wywoływało gwałtowny sprzeciw, każda, najłagodniejsza nawet uwaga, gniewną odpowiedź, która Teresie wydawała się czymś zrozumiałym, a która była dla ciotki po prostu wstrząsem.

Teresa matki nawet nie pamiętała. Dzieciństwo upłynęło jej w internatach szkolnych, luksusowych i kosztownych – szwajcarskich lub angielskich. Zostało w niej z tamtych czasów wspomnienie ciągłych zatargów z wychowawczyniami. Nigdy nie przywiązywała się do żadnej. Nie znosiła ich: ani białych, piegowatych Holenderek, ani wysokich Szkotek o męskich gestach, ani Szwajcarek ze sterczącymi zębami. Robiła im zawsze na złość, była pierwsza do każdego buntu. W czasie lat nauki wiele razy musiała zmieniać szkołę.

Ojca nie widywała miesiącami. Był zawsze zajęty, nigdy nie miał czasu. Właściwie go nie znała. Gdy po jakiejś awanturze, której jak zwykle przewodziła, trzeba było sprawę załatwić z kierownictwem zakładu, w zastępstwie ojca przyjeżdżały upoważnione do” pertraktacji jego sekretarki. Czasami były to osoby, których nigdy przedtem nie widziała na oczy. Gdy próbowały ją upomnieć i ganić za jej postępowanie, była dla nich niegrzeczna. Mówiła ostro: „To nie pani sprawa! To panią nic nie obchodzi! Wiem sama, jaka mam być!” Sekretarka przywoziła zwykle list ojca do niej. Upomnienia były zawsze łagodne. Niczym jej nigdy nie groziły. A jednak reagowała na te listy gniewem. Darła je w kawałeczki, czasami nawet nie doczytawszy do końca. Rosły w niej żale i pretensje.

Ojciec nie żałował jej nigdy pieniędzy. Mogła ubierać się, jak chciała. Na wakacje wysyłano ją do najpiękniejszych miejscowości. Posiadała auto, motocykl, motorówkę, żaglówkę, narty wodne, konie wierzchowe... Mogła zabierać ze sobą koleżanki. Na złość nosiła dziurawe pantofle, wyskubane sweterki i brudne dżinsy. Wymykała się swoim opiekunom, jeździła autostopem albo włóczyła się piechotą. Podczas ostatnich licealnych wakacji spędzanych przez Teresę na wybrzeżu hiszpańskim przyjechał do niej na tydzień ojciec.

Karwatt był wyjątkowo wypoczęty, chciał brać udział we wszystkich rozrywkach córki. To był od wielu lat pierwszy dłuższy ich pobyt ze sobą. Ale przyjazd wielkiego

przemysłowca, otoczonego sekretarzami i sekretarkami, do eleganckiego pensjonatu sprawił, że wszyscy zaczęli się jego osobą interesować. Do Teresy zaczęły docierać jakieś dziwne szepty...

Nigdy nie zastanawiała się nad tym, że jej ojciec jest aż tak bogaty. Obracała się zresztą dotąd wyłącznie w środowisku ludzi równie bogatych. Tu po raz pierwszy dotarły do niej złośliwe aluzje.

Szkoła była skończona, a wraz z nią pobyt w internacie. Ojciec zaproponował Teresie, aby od jesieni zamieszkała w Rzymie u ciotki Eli. Była to propozycja, którą przyjęła chętnie. Ciotkę lubiła, znała ją i wiedziała, że pobyt u niej nie będzie krępował jej wolności. Poczucie otwierającej się przed nią oszłamiającej swobody sprawiło, że była mniej najeżona i mniej skłonna do drażnienia otaczających ją ludzi. Nieomal była gotowa zrewidować swój stosunek do ojca.

Karwatt nie mógł oczywiście towarzyszyć jej szaleńczym wyprawom motorówką ani wściekłym galopadom. Do tego został oddelegowany nowy sekretarz ojca, Benuzzi. Ugo wydał się Teresie towarzyszem trochę przerośniętym i zanadto serio, lecz na ogół sympatycznym. Zresztą potrafił się zmieniać zależnie od środowiska, w jakim przebywał: ugrzeczniony w otoczeniu kierowników koncernu, stawał się bezpośredni wobec młodych. Mówił z Teresą tym samym obcesowym językiem, jakim ona rozmawiała ze swymi rówieśnikami. Gładko wymijający trudne sprawy w rozmowach ze swymi zwierzchnikami, wobec Teresy potrafił być brutalnie szczery.

Kiedyś, wczesnym rankiem, jechali we dwójkę konno wzdłuż pustej o tej porze plaży.

Morze wślizgiwało się na piasek, a potem spływając zostawiało na nim śliski, czarny osad.

Czasami leżały w tym osadzie nieżywe ryby, czasami rzucały się umazane czarno jeszcze żyjące ptaki. Od lądu szła gromada ludzi, niosących duże pudła. Posypywali osad jakimś

proszkiem, zbierali ptaki i ryby. Przygotowywali plażę na przybycie gości.

„Słuchaj, Ugo – powiedziała przytrzymując konia, by z klusa przeszedł w stępa –

dlaczego ludzie gadają, że koncern ojca zbiera zyski z rozmaitych świńskich spraw? Co wy

takiego robicie?” „Ci, co tak gadają, lepiej by pilnowali własnego nosa! – zaśmiał się. –

Każdy interes dzisiaj można by nazwać świńskim. A jak nazwać tych, co myją cysterny po

ropie na morzu i później mamy zasmarowaną plażę i wodę, w której się kąpać nie można?

Każdy dziś coś takiego robi...” „Każdy?” „A pewno. Świat się zrobił za ciasny. Cokolwiek by

się robiło, zawsze to się komuś nie będzie podobało...” „Ale co wy takiego robicie?” „Nigdy

ci ojciec nie mówił?” „Nigdy go nie pytałam”. „Rozmaite interesy. Ostatnio handlujemy

heroiną...”

Tego dnia nie pytała więcej. Przysiadła mocniej konia i popędziła go w szaleńczy

galop. Benuzzi nie potrafił się z nią zrównać. Przyjechała do domu zgrzana, na zmydlonym

wierzchowcu. Ale następnego dnia, przy jakiejś okazji, rzuciła znowu pytanie: „Powiedz, jak

to jest z tą heroiną?...”

Zamieszkawszy u ciotki, Teresa prowadziła życie takie, jakie chciała. Zapisła się do

Szkoły Sztuk Pięknych, rzadko jednak bywała na wykładach, nigdy prawie w pracowniach.

Wstawiała późno. Wychodząc z domu, zostawiała swój pokój w stanie krańcowego nieładu:

na podłodze walały się części odzieży; stał nigdy nie zamknięty patefon; leżały rozrzucone

płyty, a przy nich talerzyki z resztkami jedzenia. Gdy wracała, znajdowała pokój sprzątnięty.

Wiedziała, że ciotka sama dogląda porządków w jej pokoju. Ale już po paru minutach pobytu

jej pokój miał znowu ten sam co przedtem wygląd. Nie uważała za potrzebne sprzątnięcie go

nawet wtedy, gdy schodzili się do niej koledzy i koleżanki. Po ich wyjściu zostawał jeszcze

większy zamęt, zapach alkoholu, chmura papierosowego dymu, czasami także inne, dławiące

wonie.

Nie zdawała ciotce sprawy ze swego życia. Gdy pojechała z Robertem na Sycylię, zostawiła tylko kartkę: „Wyjeżdżam, wrócę pewno za dwa tygodnie!” Nie wyjaśniła, dokąd pojechała. Nie tłumaczyła się, dlaczego spędza noce poza domem. Kiedyś, gdy wchodziła do mieszkania prowadząc ze sobą Roberta, natknęła się na ciotkę. „To, ciociu, mój partner” – powiedziała. Po wyjściu Roberta ciotka zajrzała do jej pokoju. „Przepraszam cię, kochana, ale powiedziałaś coś, czego nie zrozumiałam. Nazwałaś tego młodego człowieka partnerem. Domyślam się, chciałaś powiedzieć, że to jest twój narzeczony...” Nie podniosła głowy nad oglądanego pisma, nie zatrzymała patefonu, na którym kręciła się hałaśliwa płyta z męskim śpiewem. „Jeżeli ciocia tak chce, można go tak nazwać...” „Rozumiem. Ale czy nie należałoby w takim razie zawiadomić ojca?...” Wzruszyła ramionami. „Przecież to moja sprawa. Nikogo innego nie powinna obchodzić...”

Innym razem ciotka zapukała do jej drzwi, aby jej powiedzieć o obejrzanym przed chwilą widowisku telewizyjnym. „Wybacz, moja kochana, że ci przeszkadzam, ale nie mogę się powstrzymać. To coś okropnego! Nazwali to »Jezus – nasz kompan«. Że też władze pozwalają na coś takiego. Ten Jezus w przedstawieniu mówi jak chuligan. I ci apostołowie także jak chuligani. A te dziewczyny... Tańczą plugawe tańce, zupełnie prawie rozebrane... Ja rozumiem, to jest teraz taka moda. Ale dlaczego do tego mieszać Pana Boga?”

Teresa zajęta była grzebaniem w wyciągniętej szufladzie. Nagle wybuchnęła śmiechem. Gwałtownym ruchem wyrzuciła całą zawartość szuflady na podłogę. „Więc przedstawienie nie podobało się cioci? – zapytała śmiejąc się. – A wie ciocia, że ja miałam grać w nim także? Dali mi rolę Magdaleny, no tej, wie ciocia, upadłej dziewczyny, w której kochają się apostołowie... Nawet żałuję, że nie gram...” Ciotka stała nad nią bez słowa, jakby zamieniona w słup soli. „To straszne...” – powiedziała. Ciężko przełknęła ślinę. Poruszyła uniesionymi w górę dłońmi, jakby się chciała nimi powachlować. „Czy to nie są dla ciebie

sprawy ważne?” – zapytała ostatkiem tchu. „A dla cioci były ważne?” – Teresa

odpowiedziała pytaniem, nie podnosząc głowy znad stosu wywalonych na podłogę rzeczy.

Kiedyś doszło do niej, że w młodości ciotka nie była wcale taka, jaka była obecnie.

Wypuszczona z obozu jeńców stworzyła razem z grupą koleżanek z powstania zespół taneczny, z którym jeździła po całej Europie. Ci, którzy o tym mówili, śmieli się, że nie było to grono zbyt cnotliwe. Ciotka milczała. Teresa słyszała nad sobą jej ciężkie sapanie.

W końcu powiedziała: „Wiem, że ty nie jesteś naprawdę taka... Nie nie. Ty tylko chcesz pokazać...” Nic więcej nie dodała. Wyszła prędkimi, drobnymi kroczkami.

Ciotka zatrzymała się w progu. Teresa wchodząc do pokoju przede wszystkim kopnięciem zrzuciła z nóg sandały. Doskonale wiedziała, że ciotkę gniewa taki gest. Dawniej mówiła: „Włóż, proszę, pantofelki”. Sama schylała się, podawała je. Teraz jednak nie ruszyła się od drzwi. Teresa siadła na kanapie. Zaczęła ściągać dzinsy. Potem rzuciła je na podłogę. I ten gest, wiedziała, budził sprzeciw ciotki. Udając, że na nią nie patrzy, spod oka śledziła stojącą w progu kobietę. Policzki ciotki pokryły się czerwonymi plamami. To był znak wewnętrznego wzburzenia. Jednak zapanowała nad sobą.

– Zmęczyłaś się, kochanie? – zapytała.

– Cholernie.

– Ale nic ci się nie stało?

– Widzi ciocia...

Rozpięła stanik i rzuciła go w kąt. Za stanikiem poszły majtki. Twarz cioci stała się jeszcze bardziej czerwona. Chodzenie nago po mieszkaniu, nawet wtedy, gdy żyły w nim same kobiety, było czymś, z czym się pogodzić nie mogła.

Ale jeszcze zapytała:

– Może coś zjesz?

– Nie teraz. Muszę wpierv wziąć prysznic.

Ciotka cofnęła się. Teresa poszła do łazienki. Długo pozwałała, aby strumienie ciepłej wody zmywały pot i pył z jej ciała. Owinąwszy się ręcznikiem, wróciła do pokoju. Siadła na fotelu, położyła nogi na drugim. Na jej łydkach i udach wciąż jeszcze widać było sycylijską opaleniznę. Uniosła ręce, oparła dłonie na karku, zamknęła oczy.

Po jej wyjściu do łazienki ciotka pobieżnie posprzątała. Porozrzucana bielizna i sandały zostały wyniesione. Teraz zrobiło się Teresie trochę żal starej kobiety, która przecież musiała się o nią niepokoić. Licho wie, co nagadano w telewizji. Ze wszystkiego starają się zrobić sensację... A ciotka wierzy wszystkiemu, co plotą. Ale szybko przestała się ciotką przejmować. Była pewna, chociaż poirytuje się, pomamrocze, popłacze (kiedyś po jakiejś VSU ujrzała zaskoczona, że po policzkach kobiety spływają łzy) – potem jednak spotka się ze swymi przyjaciółkami i na nowo odzyska humor. Ciotka miała całe grono przyjaciółek. Kto wie, czy nie były to dawne towarzyski z jej zespołu? Urządzała dla nich herbatki i sama piekła na te spotkania różne przysmaki według przepisów przywiezionych ze swej od dawna nie widzianej ojczyzny. O tej ojczyźnie mówiła często, wzdychając, ale nigdy do niej nawet na krótko nie wyjechała. Zapraszała na herbatki Teresę, dziewczyna jednak unikała starannie grona starszych paniuś. Ciotka ograniczała się więc do przyniesienia Teresie próbek swoich wypieków. „Spróbuj tylko, kochana. Co? Paluszki lizać? Prawda? Ten torcik to według przepisu babci Wizi. A ten z przepisu stryjenki Ksawerowej...” (I babcia, i stryjenka były osobami mitycznymi, o których Teresa nic poza tym nie słyszała).

Panie, które schodziły się na herbatkę, prowadziły długie rozmowy. Mówiły dużo o jedzeniu, o pogodzie, o znajomych, narzekały na czasy. Zdarzało się, że na herbatkę ciotka zapraszała znajomego księdza. Dostojny prałat opowiadał paniom różne watykańskie ploteczki. Kiedyś Teresa czuła się źle, musiała leżeć. Uchyliwszy drzwi przysłuchiwała się

temu, o czym mówiło się przy stole. Nowy papież miał cudzoziemskie przyzwyczajenia i jadał zupełnie inne potrawy niż jego poprzednicy. Bank Świętego Ducha zmienił stopę procentową. Po chwili wyskoczyła z posłania i nastawiła patefon. Śpiewak z płyty rozwrzeszczał się: „Coś poznać, coś zobaczyć, zdobyć coś lub kogoś”. Płyta była bardzo głośna. Tamci zamknęli drzwi, ale widocznie i to nie pomogło, bo słyszała, jak się przenoszą z jadalni do oddalonego salonu. Leżąc zanosila się od śmiechu.

Nagle coś sobie przypomniała. Zerwała się na nogi. Otworzyła stojący na stoliku tranzystorowy telewizor. Na małym ekraniku pojawił się obraz murzyńskiej śpiewaczki. Głos był przyciszony, więc tylko z ruchów ciała śpiewającej odgadywała rytm pieśni. Śpiewaczkę знаła – była to młoda Zambijka, którą spotkała tej wiosny na zlocie młodych w Portofino. Teresa zmieniła kanał.

Tutaj odbywał się mecz rugby. Gromada ubłoconych mężczyzn zwierala się raz po raz z drugą gromadą. Skłębiona masa ciał, umazane błotem twarze, nabrzmiałe wysiłkiem mięśnie, otwarte usta, zaciśnięte zęby, wściekłe spojrzenia, ręce szukające sposobności do podstępного uderzenia... Choć dźwięk był ściszony słyszała falujący ryk niewidocznego tłumu, gwizdy, tupania zawodzenie trąbek. Przez chwilę na ekranie pokazywano twarze szalejących z entuzjazmu widzów. Tu także były otwarte usta latające, zaciśnięte pięści, zaciekle spojrzenia. Ktoś histerycznie zapowiadał: „Teraz ma piłkę Dino... już mu wydarli... teraz Roger... już wszedł w akcję Beniamino... zderzyli się... chyba mocno... Roger upadł... Beniamino ciągnie... gracze robią most... Nie dadzą mu przejść... próbuje się przebić... ach, wspaniała akcja... ktoś go uderzył... może Martino?... sędzia gwizdże... Beniamino ociera krew z ust... ktoś popchnął sędziego...” Znowu zmieniła kanał. Tutaj nadawano film. Ludzie w wielkich kowbojskich kapeluszach strzelali do siebie ukryci za kaktusami. Jeden trafiony wił się na ziemi. Obiektyw pokazywał z całym realizmem wykrzywioną twarz aktora,

zaciśnięte na brzuchu palce, pomiędzy których sączyła się krew. Scena ciągnęła się bez końca. Operator zdawał się delektować pokazanym przez siebie obrazem.

Jeszcze raz nacisnęła przycisk. Tym razem to był dziennik. Ubrani w skafandry ludzie chodzili po Księżycu na tle czarnego nieba. Wparty w grunt pneumatyczny świder w rękach jednego z kosmonautów wyrzucał kamienie, które ulatywały wysoko w górę, jakby wyrzucane przez wulkan. Potem zobaczyła samoloty bombardujące afrykańską wieś. Nagle powstała ściana ognia przesłaniająca wszystko: palmy, domki o słomianych dachach. Pokazano uciekającą panicznie ludność i zmasakrowane ciała. Nad rozdartym przez wybuch bomby ciałkiem dziecka kamera pochyliła się nisko. Później pokazano inne dziecko boleśnie płaczące. Na dalszych zdjęciach byli czarni żołnierze ładujący armaty. Znowu widać było trupy i płomienie... Wreszcie zobaczyła zawziętą bijatykę u stóp barokowego kościoła. Tak, to byli oni. Wzmocniła głos. Słysząc było wrzaski, komendy, huk wybuchów. Zobaczyła biegnących policjantów i uciekający tłum. Rozwaloną figurę Italii. Ciała na bruku. Niektóre wydawały się nieruchome. Ale klatki leciały szybko. Filmującym nie dano się delektować obrazem rannych i zabitych. Nie mogła stwierdzić, czy przypadkiem wśród leżących nie było Roberta...

– Gadaj, co się dzieje?

Dino bez pośpiechu zapalał papierosa. Spod skrywających mu czoło płowych włosów spoglądał na Teresę, która siedziała na poręczy fotela.

– Robert – powiedział – dostał się w łapy policji.

– Więc żyje?

– No, oczywiście. Zresztą może jest ranny, tego nie można się było dowiedzieć.

W każdym razie mają go.

– Są zabici?

– Owszem, kilku. Carlo.

– Zabili Carla?

– Tak. Ci z grupy „Jezusa, dobrego kompana” tracą teraz całkiem na znaczeniu. To prawda, nigdy nie byli zbyt mądrzy...

– Mówiłeś jednak, że powinni mieć w komitecie swego przedstawiciela.

– Ruch potrzebuje wszystkich. Mają trochę wpływów. A Carlo był człowiekiem przytomnym. Reszta do niczego. Głupia sprawa z Robertem...

Wyciągnęła rękę.

– Ważne, że żyje. Daj mi papierosa.

– To, że żyje, wcale nie jest dobrze...

– Jak ty to mówisz?

– Zwyczajnie. Chyba cię już przestał obchodzić. Dla ruchu i dla niego byłoby lepiej, aby nie żył. Mielibyśmy bohatera...

– Nie mów tak, nie chcę!... – powiedziała wypuszczając z ust kółka dymu.

– Mówię, bo wiem, czym to grozi. Gliny będą chciały urządzić proces. Postarają się,

aby mieć Roberta po swojej stronie. Nie będzie trudno. Za fixa zgodzi się śpiewać, jak zechcą. Skompromituje ruch, wpakuje nas wszystkich...

– Przesadzasz. Roberto nie taki.

– Roberto zgodzi się na wszystko za zastrzyk...

– W takim razie co robić? – zapytała.

– Zaraz ci powiem.

– Chcesz whisky?

– A masz?

– Jak ci proponuję, to znaczy mam. Sięgnij za tapczan.

– Widzę, że masz całą baterię. Ciotka nie wykryła?

– Na pewno widziała... na oknie stoi szklanka. Możesz jej użyć, jeśli się nie brzydziej pić po mnie. Nie chce mi się iść po drugą do kredensu.

– Popijałaś?

– Piłam. Miałam ochotę się zalać. Ale nic z tego. Powiedz: czy to nie był idiotyzm, to cośmy zrobili dzisiaj?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Jesteś pewny?

– Jak najpewniejszy.

– To teraz powiedz, co możemy zrobić dla Roberta.

– Dla ruchu raczej.

– Dla ruchu i dla niego.

Zapukano do drzwi. Ukazała się czarna głowa służącej.

– Telefon do panienki.

– Dobrze. Zaczekaj – rzuciła Dinowi. Przeszła do pokoju, gdzie znajdował się telefon.

– Pronto?

– To ty, Tereso? Och, jak się cieszę, że ciebie słyszę. Byłem o ciebie niespokojny... To ja, Aldo. Opowiadano okropne rzeczy...

– Jakieś pewno bzdury.

– Mówiono, że wiele osób z komitetu jest rannych. Ten, co mi to opowiadał, zapewniał, że Carlo...

– O Carlu to prawda. Wiem to z dobrego źródła.

– To straszne! Ale tobie nic, naprawdę nic?

– Nic, przecież mnie słyszysz. Niepotrzebnie się o mnie kłopotujesz. Masz jeszcze coś?

– Nie... Tylko to...

– W takim razie ciao. Zobaczymy się niedługo.

Odłożyła słuchawkę. Zajrzała do kredensu, wzięła stojący na nim koszyk owoców.

Wróciła do swego pokoju.

– Masz, pożyw się.

– Kto to telefonował?

– Aldo.

– Czego chciał?

– Nie wiem dlaczego, poczuł się ogromnie zatroskany o moją osobę. Dopytywał się, czy mi się co nie stało.

– Leci na ciebie.

– Zdaje ci się.

– Wcale mi się nie zdaje. Widziałem, jak na ciebie patrzy.

– To zabawne... Jest dla mnie jak powietrze. Patrzę i nie widzę go. Cholernie

nieatrakcyjny.

– Niedołęga. Ale tę ich sztukę to on napisał.

– Naprawdę? Myślałam, że Ugo. Powiedz jednak w końcu, co wymyśliłeś w sprawie Roberta.

Dino nalał sobie nową szklankę whisky. Dopełnił ją tonikiem. Zapalił papierosa.

– Sprawę Roberta załatwi się przy okazji nowej akcji. Pamiętasz, co ci mówiłem, że nasza manifestacja będzie początkiem?...

– Pamiętam – rzuciła. Sięgnęła po szklankę, z której pił Dino, łyknęła z niej. –

Mówiłeś. Ale po tym, co się stało...

– Po tym, co się stało – przerwał jej – trzeba tym bardziej działać. Jesteście dziecienni.

Wam wystarczy przewrócić komuś auto, wybić szyby, urządzić zgrywę. To są zabawy. Dobre były na początku. Teraz trzeba przejść do rzeczy poważnych. Są trupy, ofiary... Rzeczy wielkie nie obejdą się bez ofiar. Wypowiedzieliśmy wojnę starym. Chcemy, aby zeszli nam z drogi. Będzie to rewolucja całego pokolenia. Musimy ją robić szybko, bardzo szybko.

– Dlaczego tak szybko?

– Dlatego, moja droga, że czas biegnie. Jeżeli mamy wygrać, musimy wygrać prędko.

Nie rozumiesz?

Sięgnęła po papierosa. Po jej twarzy o wystających nieco kościach policzkowych przewinął się ledwo dostrzegalny uśmiech.

– To ile czasu według ciebie będzie trwała ta nasza rewolucja? Rok? Dwa?.

– Będzie trwała, póki jej nie doprowadzimy do końca.

– Może wtedy nie będziemy już młodzi?

– Nie bądź taką teoretyczką. Będzie, dość czasu, aby to przemyśleć. Musimy zrobić następne posunięcie.

– Nową demonstrację?

– Nie. Chodzi o coś innego. Przeciwników trzeba zaskakiwać. A. poza tym trzeba nam pieniędzy. Dużo pieniędzy.

– To już nieraz mówiłeś.

– Jestem realistą, a nie naiwnym bubkiem. Bez pieniędzy nic się nie zrobi. Kiedyś ci to tłumaczyłem...

– Tłumaczyłeś i nawet żądałeś. Ale ja ci odmówiłam i obiecałeś, że nie będziesz do tego wracał.

– I nie wracam. Mówię, że potrzebujemy pieniędzy, ale nie namawiam cię, abyś naciągała swego starego. Nie chcesz, to nie. Ja jednak pieniądze muszę mieć.

– Czy te pieniądze rozwiążą sprawę Roberta?

– Akcja, którą podejmiemy, rozwiąże także jego sprawę.

– Co to za akcja?

– Zdecydowałem się porwać samolot.

Wsunęła się mocniej w fotel zaskoczona jego słowami.

– Porwać samolot? Widzę, że zamyślasz znowu niemałą drakę. Ale to rzecz niełatwa.

Od dawna nie było żadnych porwań. Na pewno mocno pilnują.

– Pilnują. Ale rzecz jest możliwa.

– Jak?

– Powiem, jeśli mi obiecasz, że zgodzisz się pomóc mi w tej akcji.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jeszcze bardziej zaskoczona.. – Ja?

– Ty. Chyba się nie boisz?

– Nie o to chodzi. Wiesz, że lubię awantury. Ale – podparła brodę dłonią i wpatrywała się w niego – dlaczego nie proponujesz tego Sylwii?

– Mam dla niej inne zadanie. No to jak?

Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Położyła dłoń na ustach i przygryzła palce.

W pokoju panowała cisza.

– A Roberto? – zapytała.

– Zdobędziemy zakładników i za nich będziemy mogli uzyskać jego zwolnienie.

Wróciła do fotela, usiadła na nim z nogami, z kolanami pod brodą.

– Dobrze – powiedziała. – Zgadza się. Mów, jak to sobie wyobrażasz.

Nie patrzył na nią, bawił się pierścionkiem, na którym wyryty był konik szachowy.

– Moi ludzie mają kontakt z pewną grupą... To są Arabowie. Palestyńczycy. Już nieraz współpracowaliśmy ze sobą. Czasem my im pomagaliśmy, czasami oni nam...

– Widzę, że was jeszcze mało znałam.

– Być może. Tamci mają w porywaniu pewne doświadczenie.

– Także pewne kontakty, znajomości... Jeśli nam pomogą...

– A co za to dostaną?

– Mają też kogoś, kogo chcą wyciągnąć z mamra. Odpowiada im ta akcja.

– Już się z nimi porozumiewałeś?

– Oczywiście. Nie wysuwam projektów, które nie są przygotowane. Za zakładników odzyskamy ludzi. A za samolot otrzymamy forszę.

– Na co ci ta forsa?

– Będziemy mieli dość czasu, by o tym pogadać. Teraz myślimy o porwaniu.

– Chcesz porwać samolot we dwójkę?

– To byłoby zbyt ryzykowne. Będzie nas dwoje i dwóch od tamtych.

– A Sylwia?

Spojrzał na nią, jakby rozbawiony jej pytaniem.

– Nie martw się o nią. Powiedziałem, że mam dla niej zadanie. Musi zostać i pilnować

komitetu, aby w czasie mojej nieobecności ktoś nie zrobił jakiegoś kawału. Ale przyszło mi do głowy, żeby wziąć jeszcze kogoś...

– Kogoś z twoich?

– Nie. Muszę mieć swoich w kupie, mogą mi być potrzebni. Co byś powiedziała, gdybyśmy wzięli Alda?

– Mówiłeś, że to niedołęga.

– Wobec ciebie będzie się chciał popisać. Nie wiem, czy wiesz, że nim się związał z tamtymi, łaził po różnych organizacjach. Był także krótko u nas. Popracowaliśmy trochę nad nim... Zadzwoń do niego i zmobilizuj go.

Głos Dina zabrzmiał rozkazująco. Drgnęła i spojrzała na niego. Zobaczyła utkwione w sobie jego błękitne oczy. Tak samo jak rano w kościele poczuła zbiegający wzdłuż ciała dreszcz. Próbowwała otrząsnąć się.

Zapytała:

– Chcesz porwać samolot z Fiumicino?

– Nie. Tu, w Rzymie, policja została postawiona na nogi. Zrobimy to w Mediolanie.

Tamci już na nas czekają.

Dopił whisky. Wstał.

– Idę. Jutro z samego rana lecimy do Mediolanu. Samolot o szóstej, trzydzieści.

Załatw wszystko z Aldem. – Zatrzymał się jeszcze. – Masz forszę?

Wyciągnęła szufladę, wyjęła książeczkę czekową.

– Ile chcesz?

– A ile masz na koncie?

– Ćwierć miliona z kawałkiem.

– Napisz czek na wszystko. I powiedz: dlaczego te pieniądze są dobre, a tamte ojca złe?

– Te są z zapisu matki...

– Jesteś zakompleksiona, dziewczyno. Każdy pieniądz jest dobry, gdy służy takiej sprawie jak nasza. Podpisałaś? Daj.

Obejrzał czek i wetknął go w górną kieszonkę marynarki.

– Ciao. Jutro spotkamy się na lotnisku. Bądź wcześniej. Weź mało rzeczy, tyle, ile koniecznie potrzebujesz. Nic kompromitującego. Tamci załatwią na miejscu, co trzeba...

Nie podał jej ręki, pomachał tylko dłonią. Jeszcze raz uświadomiła sobie, że ten człowiek ciągnie ją nieprzeprawie swą siłą. A jednak pociągali ją także ludzie, którym trzeba było dawać pewność. Może to była kwestia kompleksów, o których mówił Dino. Ale może to było to, o czym kiedyś powiedział z gniewem Roberto: „Bo ty jesteś taka cholernie normalna!”

Część trzecia

Wylądowali w Cagliari, by zatankować benzynę. Załoga powiadomiła drogą radiową lotnisko, że samolot zostanie zniszczony razem z pasażerami, jeżeli policja wda się w tę sprawę. Warunek został przyjęty. Samolot pozostał na pasie startowym. Nadjechała cysterna z benzyną. Porywacze czuwali z bronią w ręku. Z dala, o kilkadziesiąt metrów wokoło samolotu, stali również uzbrojeni policjanci. Ale nie zbliżyli się. Tylko za zgodą szefa porywaczy – tego, który trzymał się cały czas w tyle kabiny – podszedł do samolotu oficer policji i wdał się z nim w rozmowę. Porywacze zgodzili się, aby przyniesiono dla dziecka mleka, a dla reszty pasażerów tacę kanapek i kilka butelek coca-coli. Po zatankowaniu benzyny samolot wystartował.

Pasażerowie siedzieli osowiali. Dopiero po paru kwadransach lotu każdy otrzymał po kilka kanapek i po butelce coca-coli. Tym, którzy o to prosili, stewardesa przyniosła wzmacniające lekarstwo. Dziecko ożywiło się. W ciszy słychać było jego głosik. Ale matka nie odpowiadała mu, spuściła głowę i ukryła ją w dłoniach.

Siedzący obok Andrzeja ksiądz powiedział:

– Tośmy wpadli...

– Czytałem, że zdarzają się takie historie, ale doprawdy nie Przypuszczałem, że to się może zdarzyć właśnie mnie.

– Ostatnio mało było wypadków porwania. Pilnowano skrupulatnie. Kilka prób zostało w porę udaremnionych. Zabito także kilku porywaczy.

– Również kilku pasażerów.

– Owszem, owszem, i tak bywało. Bezwzględność wzrosła.

– O co im chodzi? O okup?

– Przypuszczalnie. Choć były już wypadki, że porwań dokonywali po prostu szaleńcy.

Co pan chce? W naszym świecie mało jest ludzi całkowicie normalnych. To nie moje zdanie, tak mówią psychologowie. Gdyby chcieć zamknąć wszystkich niezrównoważonych, mogłoby się okazać, że na wolności pozostała mniejszość...

Niebo dotychczas czyste zaciemniło się. Bure kłaki obłoków stawały się coraz większe i ciemniejsze. Unosiły się w górę niby dym, przelatowały z dużą szybkością obok samolotu. Ale coraz bardziej oplątywały go, otaczały ze wszystkich stron. W kabinie zrobiło się mroczno, nikt jednak nie pomyślał o zapaleniu świateł. Kadłub maszyny drżał – samolot widać walczył z mocnym wiatrem, także z deszczem, którego kropelki dzwoniły o szyby okienek. Na ekranie telewizora zjawiono się wezwanie do zapięcia pasów.

Czasami w dziurach między kłębiącymi się chmurami ukazywało się morze, płowe, pokryte smugami piany. W końcu zapaliły się światła. Ludzie skulili się jeszcze bardziej, przytłoczeni grozą sytuacji. Stewardesy, którym porywacze zabronili wchodzenia do kabiny pilotów, siedziały przytulone do siebie. Nie odpowiadały na wezwania podróżnych.

Dwóch porywaczy było ciągle w kabinie pilotów, dwóch i dziewczyna siedziało na końcu kabiny pasażerskiej. Nie terroryzowali pasażerów, nie sprzeciwiali się rozmowom. Zakazali tylko wstawania z miejsc bez poprzedniego podniesienia ręki i uzyskania zgody.

Dziecko przestało się bawić. Znowu dopytywało się o coś płaczącym głosem.

Śpiewak, który poprzednio kilka razy słabł i był intensywnie karmiony przez stewardesy różnymi wzmacniającymi specyfikami, teraz podniósł rękę.

– Chce pan iść do toalety? – zapytał mężczyzna z tyłu.

– Nie. Chcę z panem porozmawiać.

– Proszę. Niech pan wstanie i mówi.

Śpiewak wstał, obrócił się. Andrzej widział jego szczupłą, nerwową rękę, jak dygotała na oparciu fotela.

– Proszę pana... – zaczął. – Nie wiem, czy pan mnie poznał. Jestem Marcello Motta...

Pan na pewno słyszał moje przeboje...

– Słyszałem.

- Leciałem do Rzymu. Miał tam się odbyć olbrzymi występ na stadionie...

Kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Wszyscy moi wielbiciele. Są tacy, którzy mieli przyjechać

z odległych stron. Nawet z zagranicy. To, że nie mogę tam być w tej chwili, musi być dla nich strasznym zawodem...

– Myślę, że występ został odwołany.

– Odwołany? Dlaczego? Nic o tym nie wiem.

– Nie wie pan o masakrze, jaką wczoraj urządziła w Rzymie policja?

– Nie słyszałem...

– Nie poczuwa się pan do wspólnoty ze swoim pokoleniem?

– Jak pan to rozumie? Przecież ja... Jestem młody i moi wielbiciele są młodzi...

– Jeśli są młodzi, musieli brać udział w demonstracji. Może także wśród nich są zabici. Porwaliśmy samolot, żeby zaprotestować przeciwko temu, co zrobiła policja, co zrobił rząd, co zrobili starzy. Pan powinien być z nami.

– Oczywiście, naturalnie... Jestem... Jestem zawsze z młodymi... I dlatego właśnie...

– Co dlatego?

– Sądzę, że skoro mamy wspólną postawę, to... to powinniście mnie jak najszybciej gdzieś wysadzić... Trzeba było już w Cagliari...

– Wysadzimy pana na lotnisku, na które odprowadzimy samolot i z którego będziemy pertraktowali. Wysadzimy nie tylko pana.? Wszystkich.

– Rozumiem... To... To bardzo ładnie... To słusznie... Ale... Ale to może trwać.

Przecież ja muszę wrócić jak najszybciej. Mam zobowiązania, nagrania, zaproszenia,

kontrakty...

– To wszystko poczeka. Pańskie kontrakty przynoszą korzyść interesom starych.

Artyści tacy jak pan są im potrzebni, ponieważ służą rozładowywaniu nastrojów. Może pan być pewien, że będą zabiegali o pana... Zapłacą dobrą cenę.

– Chcecie mnie traktować jak towar?

Mężczyzna z tyłu kabiny mówił spokojnie, prawie dobrotliwie, a jednak Andrzej nie był pewien, czy jego słowa nie kryją drwiny.

– Traktujemy pana jako zakładnika i myślę, że to będzie za pańską zgodą. Nie będziemy tego ujawniali, niech tylko starzy zapłacą dobrze za pana. Wróci pan do swego śpiewu i będzie pan znów zachwycał tysiące młodych.

– Jednak poniosę wielkie straty. Moje umowy...

– Nic pan nie straci. Jeszcze pan zarobi. Po takiej historii pańska sława tylko wzrośnie.

Już wszystkie gazety na pewno o panu piszą. Będzie pan mógł dyktować warunki, żądać wyższych honorariów. Czy pan sobie wyobraża swój – pierwszy koncert po pańskim zwolnieniu? Pańskie „fany” oszaleją. To będzie coś piramidalnego... Zapewniam pana.

– Ale...

– Niech pan się zastanowi. Jest pan wśród swoich, nic panu nie grozi. Natomiast potem czeka pana sława. Proszę, niech pan zapali sobie papierosa i traktuje rzecz z humorem.

Keep smiling. Może pan chce kawy? Zwolnię jedną ze stewardes, aby zrobiła panu kawy.

Niech nawet zrobi kawy dla wszystkich...

Śpiewak nie wyglądał na całkowicie uspokojonego, jednak usiadł na swym miejscu i zapalił papierosa. Jedna ze stewardes odeszła do bufetu, żeby zrobić kawy. Samolot doznawał ciągle mocnych wstrząsów. Otaczały go ciemność i szum wiatru.

– Słyszał pan? – zapytał ksiądz Benedetto. – Jesteśmy zakładnikami.

– Słyszałem. Coś nareszcie pocieszającego. Gdyby to byli szaleńcy, o których ksiądz wspominał...

– Och, to wcale nie znaczy, że to nie są szaleńcy. Oni potrafią być przebiegli. Ciekaw jestem, dokąd prowadzą samolot.

– Póki widać było słońce, mieliśmy je cały czas z prawej strony. Nie zauważyłem, aby samolot zmienił później kierunek. Wynika z tego, że lecimy do Afryki...

– Do Afryki? Trochę mnie to przeraża...

Historia się do pewnego stopnia powtarza – myślał. Znajdował się drugi raz nad Morzem Śródziemnym, porwany przez orkan. Wtedy lecieli z Paryża na Majorkę. Zajęty rozmową, nawet nie zauważył, kiedy spokojny lot samolotu został zakłócony. Ludzie wokoło denerwowali się, słabli. Samolot otaczała tak jak teraz noc. Deszcz bił w kadłub, twarda pięść wiatru podbijała samolot raz po raz w górę. Dawno minął czas, w którym mieli lądować. W jakiejś chwili przerwali rozmowę, dostrzegli dziwne zamieszanie panujące w kabinie. Stewardesy były wystraszone, biegały nerwowo między pasażerami. Megafon nie przekazywał żadnych informacji od pilotów.

„Ty się nie boisz, Andrew? Prawda?” – powiedziała kładąc na jego rękę swą miękką dłoń o długich, wypielęgnowanych paznokciach. W jej głosie nie było drżenia. Wydawała się dziwnie spokojna, prawie rozbawiona tym, co się stało.

Widział utkwione w siebie czarne oczy we wspaniałej oprawie długich, prostych rzęs.

Oczy były lekko skośne, nosek przyplaszczony. Usta maleńkie jak u lalki.

Od pierwszej chwili ich poznania zainteresowała go i pociągnęła jej egzotyczna uroda.

Zwłaszcza wyglądała czarująco na swoim ślubie. Ubrana w białosrebrną suknię z koronek wydawała się zjawiskiem. Przy kolacji weselnej posadzono ich przy sobie. Siedzący z jej drugiej strony Jerzy powiedział: „Poznaj go, Kathy, to mój najlepszy przyjaciel. Musicie się

zaprzyjaźnić”. Uśmiechnęła się do niego. „Cieszę się – rzekła – będziemy na pewno przyjaciółmi. Ja się nazywam Kathy, a ty Andrew, prawda? Ty jesteś pisarzem. George mówił mi wiele o tobie. A tam siedzi twoja żona? Musimy być ze sobą blisko, prawda?”

Rozmawiała z nim dużo tego wieczoru, chyba więcej niż z Jerzym. Gdy wracali do domu po kolacji, Brenda rzekła z gniewem: „Ta Chinka Jerzego patrzyła na ciebie jak sroka w kość.

Tak się ze sobą rozgadaliście, jakbyś to ty, a nie Jerzy był panem młodym”. Zaśmiał się. „To wcale nie jest śmieszne – ciągnęła Brenda. – Nie jestem zazdrosna, ale nie lubię, gdy cudza żona klei się na oczach wszystkich do mego męża. Mógłbyś być bardziej taktowny! Ale tobie wystarczy zobaczyć nową twarz!”

Od samego początku zarysowała się niechęć między kobietami. Tak się składało, że do Karwattów chodził częściej sam niż z Brendą. Któregoś wieczoru był w domu sam.

Brenda wyjechała na parę dni do Birmingham, grała tam w teatrze. Zadzwoił telefon. To był Jerzy: „Słuchaj, stary, mam do ciebie prośbę. Mieliśmy jechać jutro z Kathy do Palmy.

Tymczasem wyskoczyła mi ważna konferencja. Muszę na niej być. Nie chciałbym odkładać podróży. Kathy jest bardzo zmęczona Londynem. Czy nie miałbyś ochoty polecieć z nią jutro, odprowadzić na miejsce? Nie mogę puścić jej samej. Przywykła, że ktoś się nią zawsze opiekuje. Wiem przypadkiem, że jesteś wolny. Brendy nie ma, prawda? Byłeś kiedy na Majorce? Nie? Nie miałbyś ochoty na mały weekend? Dwa, trzy dni, nie dłużej. Kathy mówi, że z tobą gotowa jest lecieć...” Potem w słuchawce usłyszał głos kobiety: „Nie dasz się namówić, Andrew? Byłabym bardzo rada. Jestem taka kotka, która strasznie nie lubi samotnych podróży. Obiecuję, że nie będziesz miał ze mną żadnych kłopotów. Poleć, proszę. Gdyby Brenda była w Londynie, nie prosiłabym... To nieładnie zabierać męża żonie. Ale skoro jej nie ma... A ja ją potem przeproszę...”

Burza rzucała nimi przez kilka godzin. Wreszcie odezwał się głośnik z kabiny

pilotów. Oświadczono, że wiatr jest zbyt silny i lądowanie w Palmie byłoby niemożliwe.

Kapitan zawiadamia, że zmieniono kierunek lotu i za pół godziny wylądują w Barcelonie...

– Pan myśli, że już jesteśmy nad Afryką? – pytał ksiądz.

– Od Cagliari lecimy już trzecią godzinę i powinniśmy być daleko nad lądem.

– Ba, już chyba głęboko nad Saharą...

– Nad Algierią?

– Mam uczucie, jakby nas rzucało mniej.

Może naprawdę lot stał się obecnie spokojniejszy. Potem gdzieś w dole, w czarnej dziurze między kłębiącymi się chmurami, błysnęło na chwilę kilka mdłych światełek.

Znajdowali się więc nad ziemią.

Wiatr słabł wyraźnie. Lecieli coraz spokojniej. Nie otrzymywali uderzeń od dołu, nie smagała ich wichura. Chmury pod nimi przecierały się. Zniżyli się. W dole majaczyła ziemia nadal ciemna, bez świateł.

Gdy po kwadransie wyjrzał znowu, zobaczył, że na niebie, niby dziwny pojazd lecący równoległe do nich, ukazał się księżyc. Wymotał się z chmur, a jego blask rozjaśnił ziemię w dole. Pod sobą mieli jakby bezkresną płytę tu i tam poprzelamywaną, jakby pociętą krętymi rowami, które księżyc lamował krechami blasku. Tak pewno wygląda Mars – pomyślał Andrzej.

Księżyc wzniósł się – a może to oni opuścili się niżej? – i cień samolotu pojawił się na płycie w dole. Przelatywał cicho nad smugami cienia podobny do nietoperza. Zdawał się skakać przez niedostrzegalne przeszkody.

Potem nagle zobaczył w dole jakieś światełka. Nie były zbyt mocne, ale znaczyły wyraźnie długi pas. Samolot lecący nisko, czujnie niby pies goniący za śladem, zatoczył łuk. Teraz mieli światła wprost przed sobą. Szli prosto na nie. W dole musiało być lotnisko.

Drzwi kabiny pilotów otworzyły się. Jeden z porywaczy wysunął głowę. Zdjął

z głowy maskę. Miał kręcone włosy i grube usta Araba. Zawołał:

– Jesteśmy na miejscu.

Samolot podchodził wolno, ostrożnie. Pilot musiał nie być pewny lotniska.

W ostatniej chwili poderwał się, uszedł w górę, zatoczył krąg. Znowu wrócił na poprzedni tor.

Leciał nisko. Wreszcie koła stuknęły o ziemię. Siedli i toczyli się między sznurami lampek.

W końcu koła zaczęły podskakiwać na nierównym gruncie. Samolot zachybotał się.

Powietrze szumiało wściekle, uderzając w opuszczone płaty. Jednak stanęli szczęśliwie.

Porywacz w tyle kabiny zawołał na stewardesę. Słysząc było, jak odryglowuje drzwi.

Z otworu powiało ostrym chłodem. Wtargnęły także do wnętrza głosy, gardłowe i jakby podniecone.

– Wszyscy zostają na miejscach – powiedział szef porywaczy. – Nikt się nie rusza, nikt nie wstaje. Aż powiem.

Tamten porywacz o wyglądzie Araba, który wyszedł z kabiny pilotów, przeszedł między fotelami do drzwi. Słysząc było, jak coś mówi' po arabsku do ludzi na płycie.

Rozległy się śmiechy. Potem coś stuknęło. Przyniesiono jakąś drabinę, oparto o drzwi kabiny.

Najpierw wyprowadzono z samolotu załogę. Potem w przejściu stanęła dziewczyna. Ona także zdjęła maskę. Zawołała:

– Proszę wychodzić. Najpierw ta pani z dzieckiem.

Schodzenie po drabinie odbywało się wolno. Była to prawdziwa akrobatyka. Nikt spomiędzy stojących wokoło samolotu ludzi w burnusach, z kapturami nasuniętymi na głowę, nie ruszył się, aby pomóc schodzącym. Andrzej, który opuścił samolot jako jeden z ostatnich, zastanawiał się, jak zeszła kobieta z dzieckiem. Nad nimi było gładkie niebo wyszlifowane przez księżyc. Tylko nad horyzontem srebrzyły się drobne obłoczki. Otaczała ich rozległa

równina skąpana w poświacie. Trochę dalej dostrzec można było ciemną pręgę niby mur.

Panował zimny, suchy chłód. Gruboziarnisty piasek chrupał i skrzył się pod nogami.

Pasażerowie stali dygocząc.

Teraz dopiero mogli zobaczyć porywaczy. Wszyscy pozbyli się swych masek. Dwóch było Arabami. Człowiek o płowym zaroście musiał być szefem. Andrzej z zaciekawieniem patrzył na dziewczynę. W księżycowym blasku jej nieregularne rysy mieniły się, jakby to była co chwila inna twarz. Do ich grupy podszedł tęgi mężczyzna lekko utykający i podpierający się laską. Miał na sobie brunatny burnus, a na głowie fez. Zaczął rozmawiać z szefem porywaczy, ale jednocześnie nie spuszczał oczu ze stojącej obok dziewczyny.

Młody mężczyzna w marynarce i barwnej koszuli, ale w dziwacznych, bufiastych spodniach, których krok zwisał aż gdzieś koło kolan, przykucnął obok turystycznej gazowej butli. Na palniku stał imbryk. Mężczyzna, nie przestając przysłuchiwać się rozmowie, czekał, aż woda zacznie bulgotać, wtedy zdjął imbryk z ognia i zalał wrzątkiem sproszkowaną suchą miętę, którą poprzednio wsypał do innego naczynia. Czekał, aż herbata naciągnie.

Z blaszanego pudełka po herbatnikach wyjął bryłkę cukru i także wrzucił do naparu. Jeszcze odczekał jakiś czas. Wydawać się mogło, że dokonuje obrzędu, w którym każda minuta jest wyliczona i ma swoje znaczenie. Wreszcie począł rozlewać jasnożółty płyn w małe szklaneczki o złoconych brzegach, stojące na okrągłej tacy. Jego towarzysz, w takich samych zwisających z siedzenia spodniach, wziął tacę i obniósł ją wokoło. Każdy z siedzących brał szklaneczkę. Herbata była słodka jak ulepek i bardzo gorąca. Parzyła palce. Teresa przekładała swoją szklaneczkę z ręki do ręki.

Gdy herbata została wypita, młody człowiek obszedł znowu siedzących kołem ludzi i zebrał szklaneczki. Tymczasem ten pierwszy przygotowywał nowy wrzątek. Wciąż nasłuchując tego, co obok mówiono, wolno, metodycznie sypał sproszkowaną miętę do naczynia. Chociaż robił to palcami, wydawało jej się, że uważa pilnie, aby nie przekroczyć miary większej niż za pierwszym razem. Znowu zalał miętę wrzątkiem i do naparu wrzucił bryłkę cukru. Odczekał chwilę, potem ponalewał herbatę do szklaneczek. Tacę obniesiono. Napój wydał się Teresie jeszcze bardziej słodki i mdły. Szklaneczki były nie tylko gorące, ale i lepkie. Czowała przy tym niesmak, gdyż zostały pomieszane i nie wróciły do swych poprzednich właścicieli.

Godziny upływały, zrobiło się późno, a jednak rozmowa ciągnęła się bez końca.

Prowadził ją przede wszystkim kulawy mężczyzna, który ich przywitał na płycie lotniska.

Choć w pokoju było ciepło, nie zdjął z ramion burnusa ani z głowy swego fezu. Był stale uśmiechnięty, a jego uśmiech mienił się tonami pobłażliwości i jakby wyrozumiałości człowieka, który lepiej niż jego rozmówcy rozumie sytuację. Mówił dużo, potoczyście, prawie nie dopuszczając innych do głosu. Gdy ktoś się odezwał, toczył w jego stronę oczami i jeśli tylko odległość na to pozwalała, kładł dłoń na ramieniu lub na kolanie tego, do którego się zwracał. Mówił po francusku biegle i bardzo poprawnie.

Zwracał się prawie wyłącznie do Dina. Aldowi odpowiadał, ale trochę tak, jak ktoś wysoko postawiony odpowiada człowiekowi stojącemu hierarchicznie niżej. Arabom przybyłym z Dinem albo nie odpowiadał wcale, albo rzucał tylko parę krótkich słów. Nie przestawał tłumaczyć Dinowi, jak wysoką posiada pozycję w swej organizacji i jak wielkim dowodem przyjaźni i serdeczności był fakt, że został przysłany tu na lotnisko dla spotkania się z nimi. Grupa partyzantów, która obsadziła lotnisko, otrzymała z centrali rozkaz. To on, Mohammed, ten rozkaz przywiózł i na jego polecenie ci bohaterscy chłopcy dowodzeni przez Jussufa wykonali trudne zadanie. Dino i jego ludzie powinni być im za to wdzięczni. Ale tu przecież nie chodzi o wdzięczność. Zajęcie lotniska było gestem Przyjaźni.

Kilku partyzantów siedziało w pokoju. Byli to młodzi ludzie o twarzach suchych i ściągłych. Mieli grube, zrosnięte brwi, gęste, kręcone włosy i błyszczące oczy. Ubrani byli w stare mundury. Na głowach mieli zawoje, których długie końce tworzyły rodzaj szala zarzuconego na szyję. Wszyscy zachowali nawet tutaj swoją broń. Niezależnie od trzymanego na kolanie peemu każdy miał na pasie lub na paseczku pod kolanem szeroki komandoski nóż. Ich dowódca, wspomniany przez Mohammeda Jussuf, siedział obok Alda. Twarz młodego partyzanta była niezwykle charakterystyczna. Od jego nosa przez usta aż po brodę biegła głęboka blizna. Nadawała ona twarzy wyraz dziki i okrutny, zwłaszcza kiedy Jussuf zacisnął usta. Ani on, ani jego towarzysze prawie się nie odzywali. Wyglądało na to, że źle mówią po

francusku. Niektórzy może nawet nie mówili wcale. Gdy kulawy mężczyzna, po raz nie wiadomo już który, opowiadał Dinowi o swym znaczeniu, wtrącał jakieś słowa arabskie i wtedy tamci kiwali potakująco głowami.

Poza tym zauważyła, że rzucają często szybkie spojrzenia na nią. Także oczy Mohammeda raz po raz, ponad głowami siedzących, kierowały się w jej stronę. Czuła ich dotknięcie jakby dotknięcie palców. Mohammed nie zwracał się do niej, choć przywitał się z nią z wyszukaną grzecnością. W pierwszej chwili miała wrażenie, że ma do czynienia z kimś całkowicie zeuropeizowanym. Ale teraz to wrażenie znikło. Wzrok mężczyzny był zbyt natrętny.

Czuła się zmęczona i trudno jej było słuchać uważnie rozmowy. Ale w pewnej chwili ton głosu Dina kazał jej skupić na nowo uwagę.

– Podziału musimy dokonać wspólnie! – powiedział Dino uprzejmie, ale stanowczo.

– Och, dojdziemy na pewno do porozumienia – głos Mohammeda był słodki tak jak ta miętowa herbata, którą pili. – Na pewno. Jesteśmy przyjaciółmi. Samolot aż do wykupienia będzie musiał zostać na lotnisku. Nie można go stąd ruszyć. Ale Jussuf założy w nim ładunki wybuchowe. Nikt samolotu nie dostanie, póki się z nami nie ułożą – zatarł dłonie jak smakosz zasiadający do znakomicie zapowiadającego się obiadu. – Pasażerów trzeba stąd zabrać.

Niedaleko, w górach, Jussuf ma dobrą kryjówkę. Nikt ich tam nie znajdzie. Wpierw jednak musimy sprawdzić, co to za ludzie. Może cenni i ważni. A mogą być tacy, z którymi mamy swoje porachunki... – zachichotał. – Kiedy już będziemy o wszystkim wiedzieli, wtedy podzielimy się. Mnie upoważniła nasza organizacja do dokonania podziału... Jestem człowiekiem, który cieszy się pełnym zaufaniem naszych przywódców. To z ich strony dowód wielkiej przyjaźni, że właśnie mnie powierzyli tę sprawę...

– Co do zasady podziału – rzekł Dino, przerywając lawinę słów płynących z ust

Mohammeda – ułożyliśmy się z przedstawicielami waszej organizacji w Mediolanie...

Mohammed, nie przestając się dobrodusznie uśmiechać, zrobił pogardliwy ruch rękami.

– Oni nie byli upoważnieni. Są nam podlegli, obowiązani są słuchać moich poleceń. –

Na chwilę jego twarz zmieniła się.

Uśmiech zniknął z grubych ust, wielkie, czarne oczy zwęziły się, stały się groźne.

Skierował wzrok na Sidiego i Ahmeda, dwóch uczestników porwania. Patrzył na nich dłuższą chwilę. Potem rzucił: – Porozmawiamy jeszcze ze sobą... – Na nowo jego twarz przybrała wyraz dobroduszny. – Na pewno dojdziemy do porozumienia... – zapewnił zwracając się do Dina.

Znowu coś plótł o swym znaczeniu, ale jego oczy potoczyły się w jej stronę. Miała wrażenie, że szarpną błyskawiczny zamek jej bluzki. Ogarnęło ją obrzydzenie. Ten człowiek budził w niej niewytłumaczalny wstręt.

– Gdzie są teraz pasażerowie? – zapytała, aby przerwać ten bezsłowny pojedynek.

Mohammed zaśmiał się po swojemu, krótko i chichotliwie.

– Niech *mademoiselle* będzie spokojna. Są dobrze pilnowani. Ręcę, że żaden nie ucieknie. A jutro przesłuchamy ich. Wśród nich mogą być ludzie z Izraela...

– Wszyscy pasażerowie muszą być traktowani jako zakładnicy – rzekł Dino.

– Oczywiście, naturalnie – Mohammed wdzięczył się i chichotał. – Wszyscy mogą być potrzebni... Jesteśmy sojusznikami. Zrobiliśmy dla was bardzo wiele. Nasi ludzie zajęli lotnisko. Walczymy razem. Ale mamy także własne sprawy. Wy także, na pewno... Dla nas Izraelczycy nie mogą być zakładnikami. To są wrogowie... Oni zabrali nasz kraj...

Zwrócił się do swoich. Coś do nich powiedział po arabsku. Hałaśliwie przytaknęli jego słowom. Kilka razy unieśli w górę zaciśnięte pięści i uderzyli dłońmi po kolbach

trzymanych pistoletów.

– Oni – powiedział Mohammed – nie wypuszczą z ręki żywego Izraelczyka...

– Musimy tę sprawę wspólnie rozważyć – rzekł Dino.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczy pan. Jesteśmy przyjaciółmi. – Mohammed położył dłoń na kolanie Dina.

Zmęczenie, jakiego doznawała, rozwiało się. Umysł jej stał się dziwnie jasny, uwaga napięta. Miała to wspaniałe uczucie, że wszystko, co się wokół niej dzieje, odbywa się w zwolnionym tempie, toteż żaden gest czy słowo nie były dla niej zaskoczeniem.

– Pan powiedział, że lotnisko zostało przez was opanowane – odezwała się. – Czy to znaczy, że ludzie pana Jussufa zdobyli je?

– Co w takim razie na to tutejszy rząd?

Mohammed zwrócił ku niej uśmiechniętą twarz. Pochylił się w jej stronę, a ona odruchowo wcisnęła się głębiej w krzesło, bo jej się wydawało, że położy także dłoń na jej kolanie. Ale on ograniczył się do dotknięcia jej swym lepkiem spojrzeniem.

– Widzę, że mademoiselle interesuje się wszystkim. Ale proszę być spokojną, my o wszystkim pamiętamy. – Pulchne dłonie mężczyzny przesuwały się pieszczotliwym ruchem po poręczy fotela. – Oczywiście Jussuf musiał zająć lotnisko. Jest to małe lotnisko saharyjskie bez znaczenia. Rządowi nie jest potrzebne.

Ale nikt nie mógł pytać o pozwolenie zajęcia – zachichotał. Trąc dłonie podjął: –

Niech się pani nie obawia. Rząd nie będzie się do tej sprawy mieszał. Oni nas rozumieją. Są sercem z nami. Jesteś my braćmi. Upewniam panią: wszystko będzie dobrze...

Znowu coś powiedział po arabsku, a partyzanci, równie hałaśliwie jak poprzednio, przytaknęli jego słowom.

– Widzi pani – rzekł. Ale nie wyjaśnił, co powiedział tamtym i czemu oni tak żarliwie

przywytórzyli. Końcem języka oblizwał wargi. Oczy mu znowu błysnęły pożądaniem.

Na nowo zwrócił się do Dina i na nowo zaczął go zapewniać o swych uprawnieniach i o swej pozycji w organizacji. Trudno było zgadnąć, czy ta nieustanna afirmacja swej osoby potrzebna mu była ze względu na innych, czy też dla samego siebie.

Teresa zrezygnowała z udziału w dalszej dyskusji. Nie chciała rozmawiać z Mohammedem. Okazywał jej pożądanie, a równocześnie dawał do zrozumienia, że nie traktuje jej jako równorzędnego partnera. Zapewne kobiety, z którymi miewał do czynienia, nie zwykły były wtrącać się do męskiej rozmowy.

Wróciła do obserwowania obecnych.

Zauważyła, że dwaj młodzi w bufiastych spodniach, którzy zajmowali się parzeniem herbaty miętowej, i trzeci ich towarzysz, tak samo ubrany, musieli stanowić grupę odrębną. W przeciwieństwie do podwładnych Mohammeda nie mieli broni, nie wyglądali bojowo. Robili wrażenie ludzi delikatnych, grzecznych, inteligentnych. Nie włączali się do dyskusji, nie wybuchali okrzykami po słowach Mohammeda. Widać jednak było, że interesują się żywo tym, o czym się mówi. Ten, który nie zajmował się parzeniem herbaty, nabierał chwilami oddechu, prostował się i już wyglądało na to, że zabierze głos. Ale porozumiewszy się wzrokiem z towarzyszami, opadał znowu w fotel i dalej słuchał w milczeniu.

Tamci dwaj szykowali tymczasem nową porcję napoju. Tym razem do naczynia, w którym zebrała się część wywaru z poprzednich zaparzeń, wsypali nie tylko porcję suchej mięty, ale dodali również garść świeżej, zielonej. Parzyli herbatę dłużej niż poprzednio. Znowu włożyli do wywaru dużą bryłkę cukru. Żółty płyn w lepiących się szklaneczkach, niemożliwie przesłodzony, miał tym razem silną aromatyczną woń. W owym obrzędowym akcie parzenia mięty musiała to być czynność ostatnia, gdyż po rozlaniu herbaty w szklaneczki młodzi ludzie zgasili palnik i poskładali naczynia.

– Chyba dzisiaj nie mamy już nic więcej do zrobienia – rzekł Dino.

– Oczywiście, że nie. Rozmawiamy dla przyjemności. – Mohammed był wciąż pełen uśmiechów. Nie okazywał zmęczenia, wyglądało na to, że gotów jest ciągnąć rozmowę jeszcze długo. – Ale pewno jesteście zmęczeni. Idźcie odpocząć. Wyśpicie się, wykąpiecie, jutro ze świeżą głową zajmiemy się sprawami. – Dźwignął się, wsparty na lasce podszedł do Teresy. – Pani, *mademoiselle*, wygląda na bardzo zmęczoną – powiedział z uśmiechem. – Musi pani być bardzo dzielna. Wzięła pani udział w takiej pięknej akcji...

– Jestem zmęczona – przyznała. – Chciałabym się już położyć. Ale zanim pójde odpocząć, muszę się upewnić, czy pasażerom niczego nie brak. Między nimi jest kobieta z małym dzieckiem...

– Ach, *mademoiselle* stale się o coś kłopotuje. Naprawdę niepotrzebnie. Naprawdę.

O wszystkim pamiętamy. Wszystko jest załatwione. Nasi partyzanci to dzielni chłopcy. Dali zakładnikom jeść, pić, ciepłe koce. Pani o tym pewnie nie pomyślała. Nie przyszło pani do głowy, że na Saharze może być zimno. Ale my pamiętamy o wszystkim. Noce tutejsze są bardzo zimne. Przekona się pani o tym...

– Już to zauważyłam – powiedziała. – Kiedy wysiadłam z samolotu, trudno mi było uwierzyć, że jestem na Saharze.

– To wspaniały kraj, *mademoiselle*. Zobaczysz pani jutro. Pokażemy pani rzeczy bardzo piękne. Tutaj noce są zimne, ale dzień będzie gorący. Wspaniały kraj, kraj przyszłości. Pełen bogactw. Pewno pani czytała o tutejszych złożach ropy i gazu? To tylko część tutejszych skarbów. Jest ich więcej. Są nieprzeliczone. Jedne już są znane, inne będą dopiero poznane. Za czas już bardzo niedługi wszystko się tutaj zmieni. Nie pozna pani Sahary, *mademoiselle*. Przyjdą najnowocześniejsze maszyny. Zacznie się wiercenie, kopanie, budowanie. I pewnego dnia pustynia zniknie. Na Saharze wyrosną drzewa, wszystko pokryje zieleń. Z podziemnych

źródeł tryśnie woda. Powstaną sztuczne jeziora, całe morza. Kraj nasz przetną drogi, autostrady. Tu, w sercu Afryki, narodzi się najbogatszy kraj świata. Wtedy będzie wiele do oglądania. A na tych przestrzeniach żyć będą miliony ludzi...

Urwał, jakby czekał, że zawtóruje jego peanom. Gdyby to powiedział ktoś inny, może by przyjęła inaczej jego słowa. Ale Mohammedowi odpowiedziała:

– Nie wiem, czy wtedy będzie aż tak ciekawie, jak teraz.

Mohammed zaśmiał się, ale gdy odezwał się, w jego głosie była uraza:

– Pani będzie żał uroków pustynnych? Och, widzę, że pani jest turystką... – W tym słowie była jakby lekka pogarda. – Owszem, owszem. Turystyka jest także źródłem bogactwa. Gdy już wszystko będzie tutaj zmienione, dla turystów, jak pani, zostawi się jakieś nie naruszone rezerwy. Z wygodnymi hotelami, ze znakomitymi drogami, z przewodnikami. Będzie można przyjechać i zobaczyć, jak wyglądała niegdyś pustynia...

Wydało jej się, że młody człowiek w bufiastych spodniach poderwał się, jakby chciał coś powiedzieć. Ale i teraz nie odezwał się.

– Jeśli mamy odpocząć, to chodźmy – rzekł Dino. – Gdzie nas ulokujecie?

– Parę kroków stąd jest mały hotelik. Zupełnie porządny. Kiedyś, kiedy lotnisko służyło ruchowi turystycznemu – wyjaśniał – był to hotel zupełnie elegancki. Bywało tu wiele gości. Teraz ruch turystyczny został skierowany w inną stronę. – Prowadził ich, wspierając się na lasce. – Jussuf odprowadzi was do hotelu – rzekł, zatrzymując się przy drzwiach i podając kolejno rękę. – Dobranoc. Ja nocuję tutaj. Wy zostańcie! – zwrócił się rozkazująco do Sidiego i Ahmeda. Trzymając dłoń Teresy mówił: – Proszę spać dobrze i mieć miłe sny. Bardzo miłe sny...

Niecierpliwym ruchem wyrwała rękę z jego pulchnych palców.

Wyszli z budynku, w którym toczyła się rozmowa, skierowali się w stronę przeciwną niż lotnisko. Towarzyszył im Jussuf, niski Arab o przeciętych blizną ustach i groźnym wyrazie twarzy. Ani na chwilę nie wypuszczał z ręki peemu. Gdy odzywał się, mówił złą, gardłową francuszczyzną.

Razem z Teresą, Dinem i Aldem wyszli również trzej młodzi ludzie w bufiastych spodniach. Okazało się, że oni także mieli nocować w hotelu.

Noc stała się jakby jeszcze bardziej szklista. W księżycowej poświacie przestrzeń wydawała się pełna potłuczonego szkła. Skrzyła się i zdawała falować. Wokoło panowała cisza tak głęboka, że miało się wrażenie, iż noc zaparła oddech i stanęła wyczekująco na palcach. Księżyc toczył się po niebie, wygaszając gwiazdy napotkane na swej drodze.

Mężczyzna, który poprzednio kilka razy powstrzymywał się przed zabraniem głosu, teraz powiedział cicho, patrząc na księżyc:

– Jest taki sam jak dawniej, mimo że chodzą po nim ludzie...

Mówił gładko po francusku.

Spojrzała na niego, zaskoczona jego uwagą.

– Może i Sahara zostanie taka sama, mimo prognoz pana Mohammeda...

Skinął głową i uśmiechnął się, jakby zadowolony, że odgadła jego myśli.

– Mówi się u nas dużo o bogactwach Sahary – powiedział. – A jednak kto wie, co jest największym jej bogactwem?... Może właśnie to? – Zrobił szeroki ruch ręką, jakby chciał nim objąć przestrzeń, ciszę i suchy chłód wiszący w powietrzu.

Szli drogą zasypaną kamieniami. Gdzieś w dali rozległo się bolesne wycie. Spojrzała pytająco na idącego obok niej młodego mężczyznę w bufiastych spodniach, a on rzekł:

– To szakale.

Z mroku wystąpił czarny mur zieleni. Z jednej strony był otwarty, prowadził do białego budynku. Blask księżyca padał na fronton i ściekał po nim. Nad łukiem drzwi był drugi łuk, kryjący w sobie czarną wnękę. Na frontonie znajdował się arabski napis – pewno nazwa hotelu; połyskujące litery wydawały się po prostu ozdobą. Do drzwi prowadziły wysokie schody. Gdy podeszli bliżej, zauważyli, że przed drzwiami ktoś stoi. Był to wysoki mężczyzna z czarną twarzą. Na sobie miał kurtkę z błyszczącymi guzikami. Gdy weszli na schody, skłonił się nisko i uchylił przed nimi drzwi.

Przeszli przez pogrążoną w mroku salę, która musiała być jadalnią. Księżycowa poświata, wlewająca się gdzieś w głębi pomieszczenia przez okno, ujawniała ciężkie łuki, wsparte na niskich, ośmiobocznych kolumnach. Między kolumnami ciągnęły się długie ławy, kryte skórzanymi poduszkami, i stały niskie arabskie stoliki z miedzianymi tacami zamiast blatów. Niektóre połyskiwały niby małe zbiorniki wody. Z boku był kontuar recepcyjny, na nim stała zapalona świeca. Mężczyzna o czarnej twarzy, który musiał być w jednej osobie zarządcą hotelu, recepcjonistą i portierem, zdjął z tablicy z numerkami kilka kluczy. Wziął także świecę. Uprzejmym gestem wskazał ciemny korytarz prowadzący w głąb budynku. Ale zanim powiódł tam gości, spojrział jakby pytająco na Jussufa. Mężczyzna z okaleczoną twarzą zatrzymał się. Wyglądało, jakby spojrzenie recepcjonisty przypomniało mu jakiś zakaz.

– *Alors, a demain* – powiedział.

– Do jutra – odpowiedzieli mu. – Dobranoc.

Recepcjonista ruszył przodem. Otwierał kolejno drzwi pokojów. Przy pierwszych powiedział z ukłonem:

– *Voila pour madame*.

Wszedł, zapalił świecę stojącą na stole.

– Przepraszam – powiedział. – Światło elektryczne zepsute w całym hotelu.

Przepraszam. *Bonne nuit, madame.*

– Dobranoc – rzuciła Dinowi.

– Dobranoc. Zamknij się dobrze – dodał.

Zamknęła drzwi na małą zasuwkę. Wzięła świecę do ręki i podniosła ją w górę. Pokój był mały, ale komfortowy. Szerokie francuskie łóżko z wałkiem zamiast poduszki. Za ciężką portierą znajdowały się szklane drzwi, zasunięte od góry do dołu żaluzją. Tutaj musiało być wyjście na ogród. Weszła do łazienki wyłożonej seledynowymi kafelkami. We wnęce znajdował się również seledynowy bidet. Ale w kranach nie było ciepłej wody.

Przebrała się w pidżamę i rzuciła na łóżko. Zamknęła oczy, chciała spać. Ale sen nie przychodził. Umysł miała dziwnie jasny, myśli toczyły się lekko jak księżyc między gwiazdami. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek były aż tak lekkie. Wydawały się ‘ostrymi lancetami, które sięgają głęboko. To nie była męcząca bezsenność, gdy ciało nie może sobie znaleźć miejsca, a myśli drepczą w miejscu jak nogi ugrzęzłe w błocie. Nie czuła ani zmęczenia, ani zniecierpliwienia brakiem snu. Leżała wyciągnięta z dłońmi położonymi pod głowę, z oczami otwartymi w ciemność. Wokoło niej była cisza – przejmująca, głęboka, nie zakłócona niczym.

Gdy tak leżała, wracały do niej wspomnienia ostatnich dwóch dni. Obudził się niepokój o Roberta. Dlaczego on tak powiedział wtedy, gdy wychodzili z mieszkania? Tamta chwila wydawała się jej teraz niby przejście między dwoma światami. Przedtem była miłość, Sycylia – nierealny świat miękkiego „softu”. Potem zaczynał się ostry realizm lecących błyskawicznie wydarzeń. Co było jednak prawdziwsze? I dlaczego jej życie zostało przecięte tak gwałtownie jak nożem? Co stanie się teraz? Nie czuła lęku ani wtedy, gdy opanowywali samolot, ani wtedy, gdy z dużym ryzykiem lądowali na małym lotnisku, ani wtedy po wieczornej rozmowie z Mohammedem, w której przecież nie brakło groźnych akcentów. Lęk

nie leżał w jej naturze. To nie był lęk... To było poczucie czegoś, co zaczęło się i co prowadzi ją w jakąś nieznaną przyszłość.

Sen ciągle nie nadchodził. Siadła na posłaniu, spuściła nogi na kamienną posadzkę.

Chłód podłogi nie był przykry. Na palcach Podeszła do drzwi od ogrodu. Pociągnęła za sznurek i żaluzja uniosła się z lekkim chrobotem.

Za szybą zobaczyła kamienny taras, schodzący schodkami w ogród. W dole rosły palmy, tamaryszki, eukaliptusy i zwieszały nad schodkami swe podkulone, głowy. Księżyc ciągle świecił, ale jego blask począł już tracić swoją szklistość. Stał się miękki, jakby przepuszczony przez delikatną mgiełkę. Natomiast mocniej zdawały się świecić rozsypane na niebie gwiazdy. Niebo wydawało się wyższe, niezgłębione, przywołujące.

Nacisnęła metalową rączkę i drzwi bez skrzypnięcia otworzyły się przed nią. Ta cisza... Ciągle miała uczucie, że przestrzeń wokoło niej stoi naprężona, z zapartym oddechem. Nic się nie odzywało, nie szeleścił ani jeden listek, nie szemrała woda, nie dyszało powietrze.

Bosą stopą przekroczyła próg. Było zimno i ostry żwir kłuł ją w podeszwy. Ale nie cofnęła się, aby włożyć pantofle. Zbliżyła się do schodów, a potem zeszła nimi. Prosta alejka prowadziła do basenu. Wypuszczono z niego wodę, więc wydawał się zagrzebanym w ziemi wielkim kotłem. Drabinka wisiała nad pomalowanym na niebiesko dnem. Stała na samej krawędzi, pochyliła się, jakby chciała skoczyć do basenu.

– Czyżbyś się chciała wykąpać? – postyszała za sobą. Odwróciła się szybko. Na małej ławeczce siedział Dino.

– Nie śpisz?

– Tak jak i ty.

– Nie mogłam usnąć.

– To ta cholerna mięta. Potrząsnęła głową.

– Może nie... Może to ta cisza...

Podeszła do ławki. Usiadła obok Dina, podwijając pod siebie stopy, które kąsał chłód.

– Nie powinnaś była wychodzić – rzekł. – Musisz być ostrożniejsza.

– Nie bój się, nigdy się nie zaziębiam.

– Nie o tym myślałem. Ci tutejsi... Widziałaś zresztą na pewno, jak na ciebie patrzyli.

Obowiązuje ich pewna dyscyplina, ale nigdy nie wiadomo: pierwszy Mohammed...

– Cóż za wstrętny typ!

– Dla ciebie wstrętny. Dla mnie trudny. Nie mogę wymacać, czy jest naprawdę tym, za którego się ciągle przedstawia. Podejrzewam, że ma skłonność do koloryzowania. Ale ludzie tutejsi są mu posłuszni. I jeśli im da rozkaz, nie będą się patyczkowali. Już mnie ostrzegął Ahmed...

– On nie jest z nimi?

– Ani on, ani Sidi. Boją się tutejszych. Trzymają się mnie.

– Jak sobie poradzisz?

– Poradzę. Tyle, że musimy pertraktować możliwie długo. Nie możemy dopuścić, aby wzięli zakładników przed trzema dniami.

– A potem?

- Potem zobaczysz. Boję się tylko trochę o ciebie. Każdy z nich na widok kobiety takiej jak ty dostaje gorączki.

– Nie ośmielą się. A ja nie jestem lękliwa.

– Wiem. Ale musisz być rozsądna. Nie możesz im dać żadnej okazji.

– A co to są za chłopcy w tych śmiesznych portkach, którzy mieszkają tu z nami, w hotelu? Są zupełnie inni. Podobają mi się.

– To studiujący Koran Mozabici. Przyjechali z jakiegoś miasta na pustyni. A z ich

portek nie śmieje się. Według pewnej tradycji Mahomet, gdy przyjdzie po raz drugi na ziemię, narodzi się z jajka zniesionego przez mężczyznę. Więc te portki są tak uszyte, aby jajko przypadkiem nie zbiło się...

Wybuchnęła śmiechem.

– Mówisz poważnie czy żartujesz?

– Tak mi mówiono. Ale może to był żart.

– Są mili i inteligentni. Co ich może łączyć z Mohammedem?

– Nie wiem. Traktuje ich jak gości i zdaje się, chce ich jutro wyprawić z powrotem do miasta. Żaden z nich się nie odezwał.

– Ta glista nikogo nie dopuszczała do głosu.

– Czyżbyś tak nazywała naszego przyjaciela Mohammeda? Nie mam wątpliwości, że w jego gadaniu jest metoda. Usiłuje pewne rzeczy zagadać. To badanie pasażerów wydaje mi się podejrzane. Aldo będzie musiał tego dopatrzeć. Ja muszę pilnować kulawca.

– Nie daj się oszukać.

- Nie ma o tym mowy. Ale póki co, muszę być ostrożny. On w tej chwili ma przewagę. Chodzi mi o ciebie, a także o Sidiego i Ahmeda...

– Myślisz, że mógłby im co zrobić?

– Wszystko jest możliwe. Ale to ich sprawa. Naszą jest rzeczą, abyśmy na tym, cośmy zrobili, zyskali jak najwięcej.

– Obiecałeś powiedzieć, na co ci te pieniądze.

– Oczywiście, że ci powiem. Ale nie teraz. Zimno, trzęsiesz się. Wracaj do pokoju.

Ramię Dina ogarnęło ją. Silnie, ale bez pośpiechu mężczyzna przycisnął ją do swego boku. Czowała ciepło jego ciała. Choć było jej rzeczywiście zimno, nie chciało jej się ruszać.

– Okazałaś się dzielną dziewczyną – powiedział. – Cieszę się, że pracujemy razem.

Pasujemy do siebie. No co, nieprawda?

Nie odpowiedziała. Może on jednak ma rację? – myślała. Nie czuła sprzeciwu. Nie było w niej porywu, ale nie było także oporu. Po prostu uległość... Ale uświadomienie sobie tego wywołało nagły bunt. Mam ulec tylko dlatego, że on chce?! Wywinęła się z jego objęcia.

– Idę – powiedziała. – Wracam do łóżka.

– Chodźmy razem.

– Nie – odsunęła jego rękę.

– Nie chcesz? – wydawał się bardziej zdziwiony niż dotknięty. – Przecież wcześniej czy później...

To, że nie próbował jej przymusić, działało na jego korzyść. On ma rację – pomyślała.

– Wcześniej czy później to się będzie musiało stać. Czy warto się opierać?

Było w niej jednak coś, co kazało powiedzieć:

– Nie.

– Dlaczego?

Siedziała wyprostowana, odsunięta od niego. Stopy postawiła na lodowatym żwirze.

– Nie czujesz? – zapytała.

– Co mam czuć?

Wzruszyła ramionami. Nie umiałaby wytłumaczyć tego, co narastało w niej od tej ciszy i poczucia otaczającej ją pustki... Pustki? Na próżno szukała innego określenia.

– Idę. Zimno.

I tym razem nie próbował jej zatrzymać. Mimo to zerwała się i prędko pobiegła w stronę domu.

W czasie ich rozmowy blask księżycy wsiąkł w ogarniającą wszystko mgiełkę przedświt. Przedtem była to gra blasków i cieni; teraz kontury stały się rozmazane i płaskie,

oderwane od perspektywy jak na prymitywnych obrazkach.

Zamknęła za sobą drzwi. Opuściła żaluzje. Wskoczyła do łóżka. Pościel była

lodowata. Na próżno odruchowo szukała bliskości innego ciała. Pamięć propozycji Dina wróciła. Czy był sens odrzucać ją? Przecież to się w końcu stanie. Do Roberta nie wróci nigdy – Tamta miłość skończyła się. Roberta trzeba uwolnić – i tym spłacić jego pretensje.

A Dino może naprawdę jej potrzebuje? Jest ciągle wobec niej zanadto tajemniczy... Gdyby miała pójść za nim, musiałaby wszystko wiedzieć. Wszystko. Jak Sylwia... Właśnie! Sylwia...

Ona za nim szaleje, ale przecież on jej chyba nie kocha?

W końcu ciało rozgrzało się. Nadszedł sen i zgasił zarówno bunt zmysłów, jak i tę niezrozumiałą, nie wiadomo z czego zrodzoną tęsknotę.

Aż syknął z bólu, gdy się podźwignął. Po nocy spędzonej na kamiennej podłodze miał ciało obolałe, jakby zbite.

W nocy właściwie nie spał. Gdy z płyty lotniska sprowadzono zakładników do starego hangaru zamienionego na brudny skład, podniosły się krzyki i protesty. Prowadzący pasażerów partyzanci nie byli zbyt delikatni. Popędzali tych, co szli wolno. Wepchnięto ich do hangaru i zamknięto drzwi. W ciemnym hangarze pozbawionym światła było zimno i brudno. Śmierdziały oleje i smary. Dziecko rozszlochało się pierwsze. Potem zaczął lamentować śpiewak. Ludzie stali nie wiedząc, co mają o tym zamknięciu sądzić. Dopiero po kilku kwadransach brama uchyliła się. Weszło dwóch partyzantów. Jeden niósł wiadro z gorącą herbatą i kosz daktyli, drugi olejny kaganek. Światło postawił na blaszanej beczce i potrząsając palcem powiedział: *Attention!* Prawdopodobnie było to ostrzeżenie, aby nie zaprószyli ognia. Drugi postawił na ziemi kosz i wiadro, przy którym był jeden tylko kubek. Gestem wskazał, że mogą jeść i pić. Kopnięciami wypchnął z kąta stos brudnych koców i poszarpanych burnusów. Powiedział: *froid*, resztę dopełnił mimiką, zachęcając gestami, aby się tymi kocami pookrywali. Pasażerowie patrzyli na to ze zgrozą. Otoczyli kołem strażników. Prosilili, aby im pozwolili wziąć ich walizki z samolotu. Ale strażnicy potrząsnęli tylko głowami. Mówili: non, non, i nie chcieli słuchać.

Może nie rozumieli nawet, co do nich mówiono? W końcu rozgarnęli krąg otaczających ich ludzi i wyszli z hangaru. Zamknęli za sobą ciężką, metalową bramę i słysząc było, jak zasuwiają sztabę.

Kaganek słabo oświecał niewielki krąg. Reszta wnętrza pozostawała w zupełnej ciemności. Ludzie przychodzili pić herbatę i narzekali. Ciągłe słysząc było lamenty Motty. W chwilach ciszy dochodziło z kąta pochlipywanie dziecka.

Ale chłód stawał się coraz ostrzejszy. Nie przestając wyrzekać, pasażerowie zrozumieli, że muszą się pogodzić z sytuacją. Pochylili się nad kocami. Były brudne i nie było ich zbyt wiele. Szybko poczęto je brać. Już po chwili powstały spory, gdyż jedni wzięli po dwa, nawet po trzy, a dla innych zabrakło. Najmniejsze nieporozumienie wywoływało zaraz krzykliwy spór. Kłócono się długo. W końcu jednak zmęczenie wzięło górę.

Pasażerowie pozawijali się w koce i ułożyli na ziemi.

Kiedy wreszcie zapadła cisza, w stosie puszek, blaszanek i śmieci, zgromadzonych w głębi hangaru, rozległo się chrobotanie. Natychmiast wszyscy się obudzili. Odezwały się niespokojne głosy. Jedni zapewniali, że to muszą być szczury, inni – że węże. Ci, którzy ułożyli się w głębi hangaru, zaczęli zmieniać miejsce. Niepokój trwał przez dłuższy czas.

Kiedy się w końcu uspokoiili i rozległy się sapania śpiących – wśród blaszanek znowu coś zachrobotало. I tak powtarzało się wiele razy przez resztę nocy.

Mimo tych hałasów Andrzej próbował spać. Budził się jednak ciągle. Jedni ludzie spali i chrapali, inni kręcili się, szeptali, pojękiwali. Kilka razy słyszał ciche szlochanie w stronie, gdzie leżała kobieta z dzieckiem. W innym kącie dwa głosy kobiece nie przestawały coś szeptać, a ich szeptom odpowiadał rozhisteryzowany głos męski.

Szparą pod drzwiami wślizgiwał się do hangaru chłód razem z blaskiem księżyca.

Potem ten blask zszarzał, zniknął. Kiedy Andrzej obudził się znowu, zobaczył, jak spod drzwi wyziera dzień. Usiadł, rozejrzał się. Ludzie wokoło spali poskręcani, poprzytulani do siebie.

Ale matka dziecka siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. Na kolanach miała dziecko – małego chłopczyka o czarnych, kędzierzawych włosach. Ona miała także czarne, lśniące włosy.

Wyglądała na Hinduskę. Na chwilę odjęła dłonie od twarzy, spojrzała na Andrzeja, a potem znowu szybko zakryła twarz. Widział, jak ciało jej zadrżało targnięte szlochem.

– Niech pani nie płacze – powiedział. – Wszystko skończy się dobrze, zobaczy pani.

Dostaną okup i wypuszczą nas...

– Dla mnie nic się nie skończy – szepnęła kobieta.

– Dlaczego? Czemu pani tak mówi?

Ona jednak nie odpowiedziała. Nie próbował jej dalej pocieszać. Wstał. Dostrzegł wśród śpiących Mottę, który leżał nakryty ciałami obu stewardes. Jego długie włosy splątały się z włosami dziewcząt, tworząc na podłodze wokół głów jakby wielką, złocistą aureolę. Przeszując ostrożnie przez ciała leżących na ziemi ludzi, podszedł do drzwi.

Przyłożył oko do szpary. Słońce już wstało i jego różowożłoty blask zdawał się ślizgać po kamienistej równinie. Ten sam blask rozżarzał długi skalny mur zamykający horyzont. Liczne spękania i zleby, pogłębione cieniami, sprawiały wrażenie, jakby to było świecące żebrami cielsko ogromnego potwora.

– Co tam widać? – usłyszał. Dom Benedetto wstał także i podszedł również do drzwi.

– Tu blisko parę domów, gaj palmowy. Dalej pustynia. Jesteśmy chyba w jakiejś oazie saharyjskiej...

– Chyba nas jednak odnajdą?

- Myślę, że nasi porywacze sami weszli w kontakt z odpowiednimi władzami

i zawiadomili, na jakich warunkach gotowi są nas zwolnić. Poza tym są przecież władze tutejszego państwa. Jesteśmy wprawdzie na pustyni, ale i na pustyni nie tak trudno znaleźć lotnisko...

– Mogli zagrozić, że nas zabiją, jeśli warunki nie będą przyjęte.

– Jestem pewny, że tak właśnie postawili sprawę.

– Nie sądzi pan, że ludzie, którzy mają broń i zdecydowani są zabić, jeśli ich wola nie będzie spełniona, bywają skłonni do Pośpiesznych decyzji? A życie ludzkie dzisiaj... Jakąż ono ma wartość?

– Niewielką. To, co ksiądz powiedział, to niestety prawda. Pisałem o tym kiedyś...

– Pan jest pisarzem?

– Tak. Nie zawsze mnie, co prawda, interesują takie tematy...

Ale kiedyś zająłem się mitem wieży Babel. Wydało mi się, że jest ona symbolem naszych czasów. Ludzie wznoszą konstrukcję, która ma ich uwolnić od wszelkich grózb, jakie mogłoby przynieść życie. Ale pomiędzy budującymi rodzi się ostra rywalizacja. Choć pracują dla wspólnej sprawy, każdy myśli tylko o tym, by budować wyżej niż inni. Każdy buduje nie dla drugiego, ale przeciwko drugiemu. Pogardza drugim, nienawidzi go... Im ktoś wspiął się wyżej, tym bardziej chce narzucić swą wolę tym, którzy za nim nie nadążyli...

– Więc pan potwierdza moje obawy?

– Przyznaję, że jestem w życiu pesymistą. Ale jeśli chodzi o naszą sytuację, nie wydaje mi się ona aż tak czarna.

– Oby pan miał słuszość! – westchnął. – Czy jesteśmy pilnowani? – zapytał jeszcze.

Andrzej popatrzył znowu przez szparę.

– Tak, widzę uzbrojonego wartownika.

Ksiądz nie ciągnął dalej rozmowy. Oddalił się o kilka kroków. Stał pod ścianą z opuszczoną głową. Andrzej pomyślał, że pewno się modli.

Był czas, że on także się modlił. To było w tym krótkim okresie zetknięcia z Krystyną.

Miłość uczyniła z niego wtedy innego człowieka. Wydało mu się, że tkwiący w nim pęd poszukiwań odnalazł swój cel. Ta kobieta była realizacją mirażu, za którym gonił. Dzieło, które wyrzucił z siebie z taką gwałtownością – tym, które miało stać się uwieńczeniem jego twórczości...

Ale Krystyna odeszła... To było tak, jakby to, co było w niej, przeszło w niego. Jakby kobieta oddała mu siebie bez reszty i dlatego musiała zniknąć... Zaczęło się od tamtego dnia,

gdy zobaczył wyraz śmiertelnego przerażenia w jej oczach. Wszedł do pokoju, a ona siedziała przy maszynie pochylona nad kartkami rękopisu „Wieży”, które podjęła się przepisywać. Podniosła głowę, powiedziała „Boże, coś ty napisał!” „Nie podoba ci się?” – spytał zaskoczony. „Ach, nie, nie, przeciwnie! To takie wstrząsające!..-”

Potem, gdy już Krystyny nie było, a książka stała się jego wielkim sukcesem, przyjmował pochwały – on, taki na nie łąsy – z dziwną niechęcią. Miał urazę do krytyków, że zamiast mówić o następnych jego książkach, wracają wciąż do tamtej. Myślał: nie można przecież żyć z poczuciem, że to, czego się szukało, ma się już poza sobą. A jednak gdzieś w głębi serca kryło się w nim niejasne poczucie, że aby dotrzeć do tego, do czego dążył, musiałby nie iść naprzód, ale cofnąć się...

Za bramą wybuchnął zgiełk. Słychać było krzyki. Szczęknęła zdejmowana sztaba.

Brama zaskrzypiała i uchyliła się. Do mrocznego wnętrza wtargnął falą oślepiający blask słońca. Buchnęło gorącem jak z otwartych drzwi pieca.

Weszli dwaj uzbrojeni ludzie z koszem daktyli. Jeden przyniósł także butelkę mleka dla dziecka. Oddawszy kobiecie butelkę, oświadczył gardłową francuszczyzną, że ludzie mogą kolejno, po dwoje, iść do umywalni znajdującej się w sąsiednim budynku.

Gdy Andrzej wrócił z umywalni, zobaczył, że tymczasem przyniesiono stół i parę krzeseł i ustawiono je w cieniu pod ścianą hangaru. Przy stole siadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był niewątpliwie Arabem. Zwisającym końcem szeszu, mimo coraz mocniej dającego się odczuć upału, miał owinięty dół twarzy. Choć rozłożył przed sobą papiery, zachował na kolanach pistolet maszynowy. Drugi człowiek był jednym z porywaczy: młody chłopak o brzydkiej twarzy i jasnych, sympatycznych oczach.

Stojący przy otwartych drzwiach hangaru strażnik wskazywał palcem na najbliższego z brzegu podróżnego i odsyłał go do tamtych przy stole. Pierwszy znalazł się tam długowłosey

śpiewak. Motta wydawał się rankiem jeszcze bardziej rozdrażniony niż poprzedniego wieczoru. Chrząkał, pokaszliwał. Chrypliwym głosem oświadczył, że na skutek spędzenia nocy w zimnym hangarze i spania na kamiennej podłodze ma podrażnione struny głosowe. – Co oni zrobili? Co oni zrobili?! – biadał. Strażnikowi wyjaśniał, że powinien otrzymać żółtko z koniakiem. Ale strażnik wzruszył ramionami. Siedząc przy stole naprzeciwko tamtych, coś im klarował w podnieceniu, ale szeptem; czasami jego głos przełamywał się w kogucie pianie. Obie stewardesy stały przy uchylonej bramie hangaru, jakby gotowe biec na pomoc swemu bożyszczu. Po nocy utraciły całą oficjalną sztywność. Były po prostu dwiema podnieconymi dziewczynami. Strażnicy spoglądali na nie błyszczącymi oczami. W lodowatym nocą hangarze teraz zrobiło się gorąco. Słońce rozlewało się na betonowej podłodze jaskrawą plamą. Pustynia dmuchała do wnętrza palącym żarem. Od stolika wrócił ksiądz Benedetto. Strażnik dał znak ręką Andrzejowi, aby teraz szedł.

Porywacz wskazał mu krzesło. Rzekł grzecznie:

– Niech pan siądzie. Proszę pokazać mi swoje dokumenty. Andrzej podał mu paszport.

Tamten zaskoczony podniósł głowę.

– Pan jest Polakiem?

– Tak. Ale mieszkam stale w Norwegii.

– Jest pan jednak Polakiem?

– Czemu pana to tak dziwi?

Zamiast odpowiedzieć młody człowiek jeszcze raz spojrział na dokument.

– Kim pan jest z zawodu? – spytał.

– Pisarzem...

Tamten gwałtownie wyprostował się. Patrzył na Andrzeja szeroko otwartymi oczami.

Zapytał głosem, który utracił swój grzecznie obojętny ton.

– To pan napisał „Wieżę Babel”?

– Ja. – Teraz zdumienie ogarnęło Andrzeja. – Czyżby pan moją książkę czytał?

– Czytałem...

– No, wie pan... – zaśmiał się, kryjąc tym śmiechem oszołomienie. – Nigdy bym nie przypuścił... Sądziłem, że dla waszego pokolenia... Wy takie książki czytacie?

Brzydki chłopak uśmiechnął się.

– Rzeczywiście, my młodzi podchodzimy nieufnie do książek napisanych przez ludzi starszych... Czytamy na ogół niewiele. Ale pańska książka zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Wydała mi się niezwykle bliska... Znalazłem w niej własne myśli. Czytając ją miałem wrażenie, jakbym sam ją napisał...

– Może pan także pisze?

– Zgadł pan. To, co ja piszę, jest całkiem inne... Wiersze, piosenki, widowiska... Ale sprawy, które pan poruszył, są mi bliskie...

– Niezwykłe... – szepnął.

Na chwilę obaj umilkli. Zwróciło to uwagę Araba.

– Kto to taki? – zapytał. – O czym z nim rozmawiałeś?

– Wyobraź sobie, pan jest pisarzem... Czytałem jego książkę...

– A on nie jest z Izraela?

– Nie, pan jest Polakiem.

Czarne oczy Araba nagle błysnęły. Podniósł głowę i patrzył uważnie na Andrzeja.

Szesz opadł z jego twarzy, odkrywając bliznę przecinającą usta.

– Polak... – powiedział wolno. Nagle uśmiechnął się. – *Moi, je connais les Polonais...*

Polacy przyjeżdżali, jak byłem chłopcem w obozie. Przywozili chleb, cukierki, ubrania... Byli

polscy lekarze... Ty jesteś lekarzem?

– Nie. Jestem pisarzem.

Arab jeszcze raz uśmiechnął się. Wziął paszport Andrzeja i na leżącej przed sobą kartce przepisał nazwisko.

– Polak – powiedział – wszystko dobrze... Polak dobry...

Dał ręką znak, że Andrzej może odejść.

Jeszcze odezwał się porywacz:

– Niech pan wraca. Potem, kiedy ukończę spisywanie personaliów, chciałbym z panem porozmawiać. Czy zgodzi się pan?

– Pan się tak pyta, jakbym nie był w pańskich rękach.

– Niech pan tak nie mówi – chłopak wydawał się zakłopotany. – Tak się, niestety, stało... Wolalbym, abyśmy się spotkali w inny sposób...

– Po coście nas porwali? Spodziewacie się okupu?

– Musimy uratować uwięzionych kolegów. Była w Rzymie demonstracja młodych...

– Słyszałem. I sądzą, że tamtych zwolnią za nas?

– Chyba tak. Na pewno. Wśród pasażerów są ludzie poważni. Pan przede wszystkim...

– Obawiam się, że moja osoba nie będzie cennym artykułem wymiennym. Ale macie śpiewaka Mottę...

– Owszem, pytano się o niego przez radio.

– Więc już jesteście w trakcie pertraktacji?

– Jesteśmy. Tym się zajmuje nasz szef. Myślę, że będzie dobrze.

Gdy Andrzej wrócił do hangaru, stwierdził, że zrobiło się w nim gorąco jak w łaźni.

Śpiewak rozebrany do kąpielówek siedział pomiędzy stewardesami, które również pozdejmowały z siebie, co tylko mogły. Ludzie byli spoceni. Od brudnych koców i stojących

w głębi hangaru beczek zalatywało obrzydliwą wonią.

Z krzewów obok hangaru wyszła duża jaszczurka z kolczastym ogonem, podobnym do gałęzi opuncji. Zatrzymała się i znieruchomiła. Gdyby nie pulsujące gardło, można by sądzić, że to tylko posążek. Siedzący przy drzwiach strażnik ostrożnym ruchem wysunął z pochwy nóż. Przez chwilę czaił się, potem nagle skoczył i jednym uderzeniem noża uciął jaszczurce głowę. Trysnęła krew, a strażnik wydał krótki, triumfalny okrzyk. Jego okrzykowi zawtórował drugi, rozpaczliwy. To zawołała matka dziecka.

– Wyobraź sobie, że to jest ten, który napisał „Wieżę Babel”. Pamiętasz, jak ci opowiadałem o tej książce? Namawiałem cię nawet, abys ją przeczytała.

– Co to za jeden?

– Polak.

– Polak?

Po twarzy dziewczyny przemknął niechętny grymas.

– Nie podoba ci się to? – pytał zaskoczony.

– Nie podoba – odpowiedziała. Ale nie tłumaczyła swojej niechęci. Zmieniła temat: –

Co tam było jeszcze?

– Przykra sprawa z tą kobietą. Strasznie rozpacza. Ciągłe płacze. Powiedziała, że najlepiej, abyśmy ją od razu zabili. Albo żebyśmy pozwolili jej się zabić. Mówi, że nie chce żyć, że ma dosyć takiego życia...

– Jakiego życia?

– Ona jest, widzisz, z Bengalii. Jak się dokonywało wyzwalenie tego kraju, zabito jej męża i wymordowano całą rodzinę. Uciekła do swojej kuzynki, do Ugandy. Ale właśnie tam zrobiła się później jakaś historia... Znowu zabijano ludzi. Więc uciekła. Pojechała do Anglii. Tam jej nie chcieli przyjąć. Była znowu gdzieś... mówi, że całe życie ucieka, że nigdzie nie ma swojego domu. Ze wszędzie, gdzie pojedzie, grozi jej prześladowanie, nawet śmierć. Jej i dziecku. I dlatego nie może dłużej tego znosić. Powtarza, że chciałyby się zabić. Trzeba na nią uważać, bo może naprawdę coś sobie zrobić.

Oparła dłonie na pasku zsuwającym się nisko na biodra i patrzyła na ziemię.

– Masz rację – powiedziała. – Zajmę się nią. Na nowo zmieniła temat.

– A inni?

– Motta strasznie się awanturował. Twierdzi, że po nocy spędzonej w hangarze stracił głos. Że to może mu już pozostać. A jak zostanie i nie będzie mógł więcej śpiewać, miliony „fanów”, których ma na całym świecie, zemszczą się za to na nas...

– Bujda! Nie ma się czym przejmować. Niewielkie nieszczęście, jeśli przestanie się wydzierać. A tamci zapomną o nim raz dwa. Znajdą sobie innego. Jak się zachowywał Jussuf?

– Ja rozmawiałem z ludźmi, a on tylko przysłuchiwał się i notował.

– Co notował?

– Nazwiska niektórych.

– Jestem pewna, że wynotował tych, których Mohammed zamierza wziąć dla siebie.

Ta pluskwa chce nas wykiwać. Byliśmy na śniadaniu z Dinem, kiedy przyszedł. Rozgadany, roześmiany, przewracający oczyma. Opowiadał, że dwie godziny siedział w wannie i zawsze tak robi, aby się dobrze czuć w ciągu dnia. Potem mu pewno przyprowadzają jedną z żon, więc był zawiedziony, że żadnej tu nie ma. Patrzył na mnie obłeśnie. Bydlak!

Po chłopięcemu tupnęła nogą. Ale zaraz podjęła.

– Plótt, że wymyślił w wannie, jak mamy się podzielić zakładnikami. Podejrzewam, że chce zabrać najcenniejszych. Dino jeszcze raz mówił, żebyś uważał...

– Ja uważam, ale co z tego? Oni nas mają w ręku.

– Dino już coś wymyślił. Chce tylko, aby badanie przeciągnąć jak najdłużej. Mówi, że potem da sobie radę.

– On zawsze da sobie radę...

W głosie Alda był jednocześnie podziw i zazdrość. Dziewczyna milczała. Stała wciąż z dłońmi opartymi na biodrach.

– Tereso... – zaczął nagle.

Spojrzała na niego, lecz natychmiast odwróciła głowę. Niechętnie wzruszyła ramionami.

– Daj spokój chociaż ty. Wiem, co chcesz powiedzieć...

– Kocham cię...

– O, właśnie. Nie bądź dziecinny. Tu w ogóle panuje jakaś erotyczna atmosfera. Ten plugawy Mohammed, te dziewczyny migdalące się do Motty. Zaczyna mnie to drażnić.

– Ale ja cię kocham. To chyba coś innego.

– Zdaje ci się. Wymyśliłeś to sobie.

– Nie, nie wymyśliłem. Kocham cię naprawdę. Nie od dziś. Od dawna. Wtedy gdy zajęta byłaś Robertem. Ale ja czułem, że to się musi skończyć...

– Co ty mogłeś czuć?! Nie twoja sprawa, czy się tamto skończyło. Porwaliśmy ten samolot właśnie dla ratowania Roberta. Musimy go uwolnić.

Urwała. Po krótkiej chwili milczenia podjęła:

– A zresztą co z tego, że mnie kochasz? Ja nic nie czuję do ciebie...

Miała ochotę dorzucić: „Choćbyśmy znaleźli się we dwoje na bezludnej wyspie!”

Jednak powstrzymała się. Ten chłopiec wydał jej się w tej chwili taki bezbronny. Rzekła tylko:

– Nie powinieneś czuć się dotknięty. Jednych ludzi coś do siebie ciągnie, innych nie ciągnie...

– Miłością – powiedział – można zdobyć drugiego. W tamtej książce było o tym także... Kiedy się czeka, kiedy się jest jak pogotowie ratunkowe...

Wybuchnęła hałaśliwym śmiechem.

– Dla ciebie tylko książki! Tylko z książek chcesz czerpać całą mądrość! – Znowu

miała ochotę dopowiedzieć: „Czy ci się wydaje, do licha, że będę kiedyś wzywała twojej

miłości jak pogotowia ratunkowego?” Ale mówiła tylko: – Bzdura! Nie musisz być dla nikogo pogotowiem ratunkowym. Znajdziesz taką, co cię pokocha równie mocno, jak ty ją... Odeszła szybko, nie czekając, co odpowie. Czuła, że odprowadza ją wzrokiem, że czeka, aby obróciła głowę. Ale nie zrobiła tego.

Śledził jej sylwetkę aż do zarośli, które kryły fronton hotelu. Z powrotem ruszył w stronę hangaru. Drzwi były otwarte, ale strażnicy siedzący w cieniu czuwali. Zatrzymali go okrzykiem. Zaczął im tłumaczyć, że chce wywołać jednego z pasażerów, że musi z nim porozmawiać. Wzruszyli ramionami, dawali do zrozumienia, że nie pojmują jego słów. Powtarzali: „Jussuf, Jussuf”. Gestem wskazywali, aby szedł do ich przywódcy. W końcu jednak – gdy ich poczęstował paczką papierosów – zgodzili się. W cieniu pod ścianą hangaru stały ciągle jeszcze stół i krzesła.

Jeden ze strażników wszedł razem z Aldem do wnętrza hangaru. Tutaj panował żar wprost niemożliwy do zniesienia. Porozbierani ludzie kryli się w coraz węższych płatach cienia.

– *Avec qui tu veut?* – pytał strażnik.

Aldo wskazał palcem na Andrzeja. Strażnik zawołał:

– *Va! Toi, avec lui! Causer un moment.*

Andrzej szedł z wysiłkiem. Był zlany potem. Oddychał ciężko.

– Chcecie, jak widzę, upiec nas żywcem – powiedział z wyrzutem.

Strażnik odprowadził ich aż do stołu i dopiero kiedy usiedli, oddalił się. Ale stamtąd, gdzie się ułożył, mógł ich widzieć. Aldo rozłożył ręce.

– Jest mi doprawdy strasznie przykro. Ale to nie nasza wina. To ci tutejsi. Powinni byli przygotować jakieś lepsze schronienie...

– Jak którego z nas trafi szlag – Andrzej mówił dalej z gniewem – będziecie stratni.

Przecież chcecie otrzymać za nas okup. I jeszcze zyskacie sobie opinię okrutników.

– To wszystko prawda – Aldo kiwał głową. – Ale widzi pan... Jesteśmy w spółce z tymi tutaj. A oni...

– Mam nadzieję, że nie zamierzają nas wykończyć?

– Oczywiście, że nie. Oni zresztą także liczą na zwolnienie kogoś ze swoich. Ale to ludzie twardzi, bezwzględni... Gdyby ode mnie zależało... Proszę mi wierzyć...

Kiwnięciem głowy skwitował zapewnienie chłopca.

– Tutaj przynajmniej można oddychać. – Połą nasiąkłej potem koszuli wachlował lepkie ciało. – Właściwie jestem panu wdzięczny, że choć na chwilę wyciągnął mnie pan z tego pieca. Gdyby tak jeszcze można się było czego napić...

– Sądziłem, że będę mógł wziąć pana tam, do hotelu, ale oni się nie zgadzają. Mam przy sobie w manierce trochę gazowanego soku. Tylko że ciepły.

– Dziękuję – Andrzej pił chciwie, ale powoli, delektując się każdym łykiem. – Wodę nam wprawdzie postawili, jest jednak śmierdząca. Czy jest nadzieja, że nas prędko zwolnicie?

– Teraz to już nie od nas zależy. Postawiliśmy warunki i czekamy na odpowiedź.

– I możecie tak czekać tygodniami, co?

– Nie, nie, to niemożliwe. Rządy, rodziny troszczą się o was. Prasa na pewno alarmuje. Zobaczy pan...

– Obawiam się, że przesadza pan mówiąc o tej trosce. A może postawiliście zbyt wysokie żądania? O co wam chodziło w tej waszej demonstracji?

Aldo drapał się po karku.

– Jesteśmy przeciwni rządowi starych... ludzi starych... Rządzą ludzie starzy. Nie liczą się z młodymi, z ich ambicjami. Stawiają nas wobec faktów dokonanych... Oni, tak jak w pana książce – uśmiechnął się – budują swoją wieżę...

– A wy byście chcieli budować swoją, prawda? Niestety każdy chce budować po swojemu. Zaczęliście wojnę ze wszystkimi starymi? To niebezpieczne. Może jednak ci wasi koledzy nie będą uważani za wielkich zbrodniarzy. Tylko że i my, poza Motta, nie jesteśmy cenną monetą wymienną.

– Jest dwóch bankierów. A pan jest pisarzem.

– Kogo dziś, proszę pana, obchodzą pisarze? Film, telewizja służą współczesnemu państwu. Ale książka powstaje zbyt wolno i na jej efekt trzeba długo czekać. Przy tym ten efekt może być dwuznaczny...

Przed nimi nad pustynią rozgrzane powietrze zaczęło drżeć.

– Dla mnie – powiedział Aldo – jest pan autorem „Wieży Babel”...

– Napisałem jeszcze wiele innych książek.

– Tamtych nie znam. Ta jedna książka pana zadecydowała o moim życiu...

Andrzej drgnął. Chłopak poczęstował go papierosami i właśnie z przyjemnością

wysuwał jednego z pudełka. Strażnicy odebrali im tytoń, papierosy i zapalki. Ale wzięwszy papierosa, odłożył go. Przebiegł go jakby dreszcz.

– Przeczytał pan na pewno niejedną książkę – powiedział – która zrobiła na panu wrażenie. I niejedną pan jeszcze przeczyta.

– Przeczytałem niejedną. Ale to właśnie ta zadecydowała...

Znowu wziął papierosa w palce i znowu go wypuścił.

– O czym?

- O tym, że trzeba szukać. Że może być sens w szukaniu. Że także w sobie nosimy tajemnicę, którą trzeba odkryć... Widzi pan, gdyby pan dał w swej książce gotową odpowiedź, jak potrawę na półmisku, nie wiem, czy potrafiłbym ją przyjąć. Takiej odpowiedzi nikt z nas nie chce. Ludzie wszystko już w świecie odkryli. Ale my nie chcemy odkrytego świata.

Pragniemy szukać. To jest najbardziej porywające. I gdybym wiedział, że są także ludzie starsi, którzy szukają...

Nie dokończył... Jego szare oczy powędrowały w dal, jakby przyciągane skalną, spękaną ścianą na horyzoncie.

Andrzej powoli kładł papierosa w usta. Zapalił go. Milczeli długo. Po ostatnim sztachnięciu rozduśił ogarek na stole.

– Dziękuję – powiedział. – Miło było odetchnąć, przyjemnie było pogadać. Ale pan ma pewno zajęcia, a ja muszę wracać. Wie pan, poczułem się skrępowany myślą, że ja tu oddycham świeżym powietrzem, a oni dławią się w gorącu...

Dino nie pukając nacisnął klamkę. Ale drzwi były zamknięte. Zastukał. Za drzwiami usłyszał jakiś ruch, wydało mu się, że doszły go jakieś głosy. Powoli, jakby niepewnie szczerknął zamek. W szparze drzwi ukazała się smągła twarz o wielkich, czarnych oczach pełnych przerażenia. Z głębi pokoju odezwał się głosik dziecka, które o coś lekliwie pytało.

– Pani jest tutaj? – pytał zdziwiony.

– Tak. Ta panienka sprowadziła mnie i powiedziała, że mogę tu być...

– A gdzie ona jest?

– Nie wiem. Wyszła. Nic nie powiedziała. Czy mam wyjść?

– Niech pani zostanie.

Zawrócił i odszedł z powrotem mrocznym korytarzem. W hotelu nadal nie było światła. Nie znalazł Teresy także w kawiarni na dole. Wyszedł przed hotel. Na schodach rozejrzał się. Za drogą, Która biegła tuż przed frontonem hotelu, ciągnęły się aż po bliski w tym miejscu mur skalny piaszczyste wydmy. Kamienista równina tutaj zmieniała się, tworzyła rodzaj malowniczego rezerwatu innej łagodniejszej w wyrazie pustyni. Między wydymami stał niski, czarny namiot. Przed namiotem zobaczył kilka sylwetek ludzkich. Jedną z nich poznał od razu. Właśnie oddaliła się od grupy innych, szła przez piasek, znacząc go swymi krokami. Ruszył jej naprzeciw.

– Gdzie się włóczysz w taki skwar? – zapytał. W jego opanowanym zwykle głosie zadzwoniła irytacja.

Ściana niskich akacji rzucała nieco cienia. Zatrzymali się w tej plamie.

– Zobaczyłam namiot i poszłam zobaczyć, co w nim jest.

– I cóż ciekawego znalazłaś?

– To nomadzi. Cała rodzina. Straszna nędza. Zaniosiłam im trochę jedzenia.

– Bawisz się w dobroczynność, a ja niepokoję się o ciebie.

– Ty? O mnie? Niepokoisz się? – Była szczerze zdumiona.

– Owszem. Mówiłem ci, byś uważała. Byłem u ciebie i znalazłem tę Hinduskę...

– Po co do mnie chodziłeś?

– Miałem interes. Po co ją wsadziłaś do swego pokoju?

– Musiałam ją zabrać z hangaru. Tam jest niemożliwie. Żar mógł zabić dziecko. Inni także ledwo zipią...

– Pozwolili ci ją wziąć?

– Zwróciłam się z tym do Mohammeda.

– No, no. Mówiłaś, że go nie znosisz.

– Brzydzę się nim. Ale tym razem zachował się przyzwoicie. Zgodził się. Nawet powiedział, że rozumie mnie, bo sam ma chłopca w tym wieku, co ten mały...

– Jeśli się zgodził, to nie dlatego. Po prostu nie zależy mu na tej kobiecie. Może ma zresztą wobec niej inne plany. A w ogóle sprawa zakładników wygląda źle...

– Czy się coś stało?

– Muszę o tym z tobą pomówić. Ale chodźmy do kawiarni.

Usiedli w skórzanych fotelach. Czarny recepcjonista przyniósł im kawę. Dino zapalił papierosa. Milczał, póki tamten nie odszedł.

– Wszystko skomplikowało się – powiedział. – W sprawie samolotu i pasażerów zwróciłem się do Alitalii. Przekazałem im nasze warunki. Niespodziewanie dziś rano nadali, że nie będą traktowali ze mną. W sprawie zakładników mam się zwrócić Ho tutejszego rządu. Nadałem wezwanie. Odpowiedzieli, że nie mają mi nic do powiedzenia w tej sprawie, że już pertraktują z kim innym...

– Mohammed?

– Oczywiście. Zapytałem go o to wprost. Chichotał, łypał oczami, mówił, że tak będzie lepiej. Że rząd i oni są jak bracia. Plótł o przyjaźni, sojuszu... Jak to on. Teraz już jasne. Wszystko załatwia za naszymi plecami. Chce położyć łapę na całym łupie.

– Pozwolisz mi na to?

– Chyba mnie nie znasz. Ja też potrafię grać. Ale muszę mieć trochę czasu.

– Nie powiedziałaś mi, co zamierzasz.

– Teraz też ci nie powiem. Nie ma na to czasu. Aby załatwić z nim, muszę mieć dzień, dwa... I dlatego słuchaj... – pochylił się ku niej. Rozdusił papierosa w popielniczce, zrobił pauzę. – Ci faceci w opadających portkach wracają do siebie. Oni są przyzwoici, a Mohammed liczy się z nimi. Chcę, abyś z nimi pojechała... Do tego ich miasta...

– Teraz, kiedy sytuacja staje się poważna?...

– Właśnie dlatego. Oni wracają do siebie. To gdzieś na pustyni, nie tak znowu daleko stąd. Lubisz zwiedzać...

– Lubię. Ale...

– Z nimi możesz jechać spokojnie. Jedź, chcę tego. Mohammed liczy nie tylko na zakładników...

– Na co jeszcze?

Opadł w fotel, patrzył na nią przymrużonymi oczami.

– Jeszcześ nie zauważyła, do czego zmierza? Skoro sam sprzeda zakładników, my będziemy mu niepotrzebni. Każą załatwić Jussufowi mnie i Alda. Ciebie czeka wspanialsza przyszłość...

Oczy dziewczyny błysnęły gniewnie, na twarzy pojawił się wyraz gniewu.

– Niech spróbuje! – syknęła. – Mam broń! Przecież nie dacie się. Ich nie jest tak wielu. Sidi i Ahmed będą z nami.

– Sidiego i Ahmeda nie ma od rana. Podobno musieli nagle wyjechać. Nie wierzę temu. Prawdopodobnie załatwili ich w nocy.

Teraz milczała. Bardziej była tą nowiną zaskoczona niż przerażona. Ich przedsięwzięcie nie wydawało jej się dotychczas aż tak brzemiennie w skutki. O śmierci mówiło się wśród nich często. Może za często?

– Nie ucieknę i was nie zostawię! – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- To nie będzie ucieczka – rzekł. – A jeśli wyjedziesz, zyskujemy szansę. Zrozum: Mohammed nie rozprawi się z nami, póki ty nie wrócisz. Powiedziałem tym w portkach głośno przy Mohammedzie, że chcesz jechać, zobaczyć ich miasto. Spytałem, czy wezmą ciebie. Odpowiedzieli, że wezmą cię chętnie, pokażą ci wszystko, co chcesz, a potem odwiozą cię. Wcale się to Mohammedowi nie podobało. Krzywił się, odradzał ten twój wyjazd. Twierdził, że się zmęczysz, że tam nie ma nic ciekawego. Ale brakło mu argumentów. Mówiłem ci: on się liczy z nimi. Póki oni cię nie odwiozą, my jesteśmy bezpieczni...

– Jesteś tego pewny?

– Jak najpewniejszy. Portkarze powiedzieli, że odwiozą cię za trzy dni. Akurat tyle mi trzeba, aby załatwić moje rachunki z Mohammedem...

– Abym mogła spokojnie jechać, muszę wiedzieć, co zamierzasz.

– Jest kilka wariantów... Nie ma czasu, aby cię teraz wtajemniczać. Oni zaraz jadą, musisz za kwadrans być gotowa. Nie myśl, że to jest tylko chęć ocalenia ciebie... Nie rozstajemy się na zawsze. Co się nie stało, stanie się. I będziemy ze sobą współpracowali. Zobaczysz. Potrzebna mi jesteś.

Popatrzyła na niego, a potem sięgnęła po filiżankę. Mocno osłodzona kawa wystygła całkiem. Pijąc myślała: – On mówi szczerze. Jest pewny swego. Myśli, że zwycięży. I jest przekonany, że znajdę się na końcu w jego sieci. Gra mną, ale gra również i o mnie...

Czuję moją bezsilę, jednak... Pisze się wciąż i mówi, że powietrze, ziemia i woda ulegają nieustannemu zatrucaniu. Wszyscy się na to oburzają, ale wszyscy to robią.

I w końcu godzimy się z tym. Tak samo i ja się godzę z tym. A przecież musi być coś, co potrafi ocalić człowieka. Nawet przed nim samym...

– Dobrze – powiedziała. – To jadę.

– Idź, weź, co ci trzeba. – Spojrzał na zegarek. – Idź, nie zwlekaj. Oni już czekają.

Mała terenówka koloru beige mknęła prędko. Wstęga szosy lśniąc czarna odwijiała się bez końca. Biegła prosto wśród pustej, kamienistej równiny. Nie mijali żadnych drzew, krzewów czy budynków. Tylko samotne słupy z nazwą odległej o wiele kilometrów miejscowości. Na rozsypisku głazów to płowych, to czarnych wzrok dostrzegał jedynie kręte, kamieniste rowy, uedy, łożyska potoków wybuchających po rzadkich ulewach. Czasami między głazami strzelały kępy suchej, bladozielonej trawy alfa. Czasami mignęła pozostawiona przy drodze stara opona samochodowa, której wiatr i słońce nadały barwę węglistej czerni. Czasami gdzieś między kamieniami, takie samo jak one, to białe, to żółte, to czarne, zamajaczyło stadko kóz. I znowu ciągnęła się bez końca kamienista pustynia, hamada – monotonna, a przecież nie nużąca swą jednostajnością.

Auto prowadził młody człowiek, który poprzedniego wieczoru przygotowywał miętową herbatę. Teresę posadzono obok niego. Z tyłu usiadło dwóch innych. Ten, który wieczorem zdawał się rwać do udziału w dyskusji, wydawał się jakimś starszym między towarzyszami. Nazywał się Ali Abu i to on przede wszystkim prowadził rozmowę z Teresą. Tamci dwaj przeważnie milczeli, lecz często uśmiechali się, jakby podkreślając w ten sposób swoją życzliwość. Robili wrażenie naprawdę przyjaznych.

Na horyzoncie widać było skalne ściany. To zbliżały się do drogi, to znowu oddalały. Raz przypominały zęby piły, innym razem były niby pionowy, porysowany osypiskami mur. Czasami jednolita ściana rozpadała się, tworzyła wieniec sterczących osobno skał. Brutalna erozja wyzarła skały od dołu i wtedy nad rozsypanym w piargi zboczem zwisała skalna „czapka”, przypominająca z daleka mury wzniesionego na skale zamku. Jeszcze kiedy indziej skały zamieniły się w tępo zakończone stożki, niby w małe wulkany.

Jechali i jechali. Tablice znaczące odległość przelatywały obok nich, podobne ptakom

znoszonym przez wichurę. Wskazówka na zegarze szybkości wahała się stale przy liczbie 120. Obok szosy mignął wrastający między kamienie i przybierający ich barwę wrak samochodu. Z nieba sypał żar, suchy niby rozpalony popiół.

W pewnej chwili Ali powiedział coś po swojemu do kierowcy. Tamten zdjął nogę z pedału gazu. Rozpędzone auto leciało dalej, jakby lżej niż poprzednio, ale z wolna zaczęło tracić szybkość. Wreszcie stanęło. Nie było tu nic poza rozsypiskiem kamieni i skalną ścianą, która z jednej strony podchodziła blisko drogi, rzucając na nią swój cień.

– Czy się coś stało? – zapytała.

– Nie, nic, *mademoiselle*. Tylko pora na modlitwę. Mężczyźni wysiedli i oddalili się kilka kroków od auta. Stali teraz na skraju drogi obok siebie, twarzami zwrócenii w jedną stronę. Ich cienie leżały u ich stóp niby małe dywaniki. Teresa wysiadła także. Ale skierowała się w drugą stronę – ku skalnemu osypisku, za którego szczybatą granią kryło się słońce. Gdy podeszła bliżej, skalny mur wydał się jej kopcem kamieni, podobnym do rozkruszonej przez czas piramidy. Ruszyła w górę widocznymi zakosami. Przekonała się, że pod głazami i piargiem jest twarda skała. Zrobiwszy kilka zakosów obejrzała się. Była zaskoczona, że tak szybko tak wysoko zaszła. W dole, poza plamą cienia rzucanego przez skalny mur, leżała ogarnięta słońcem pustynia przecięta czarną szosą. Na szosie stało auto. Ludzi prawie nie mogła zobaczyć. Ich sylwetki wtopiły się w plamistą powierzchnię hamady.

Ruszyła dalej w górę. Po kilku dalszych zakosach wynurzyła się z cienia. Na szczycie skalnego muru leżała niewielka, płaska równina także zasłana kamieniami. Paliło ją słońce i smagał ostry wiatr niosący drobne, kłujące pyłki. Tam w dole nie czuła go.

Stojąc tutaj miała uczucie, że to nie ona wspięła się na skałę, ale że to pustynia wokoło niej zapadła się i leżała w jakimś dziwnym dole, zryta węzowiskami uedów. Na horyzoncie ciągnęły się wszędzie łańcuchy górskie. Z wysoka widać było, że każdy z nich jest nie tyle

wzniesieniem, co resztką zwietrzałej, rozkruszonej skorupy, która pokrywała kiedyś pustynię, a potem rozpadła się, ujawniając warstwę następną.

W dole rozległ się dźwięk klaksonu. Dziwnie nierealny w tej spowijającej wszystko ciszy, która zdawała się aż dzwonić. Nawoływano ją. Zeszła podobnie jak weszła, przecinając zakosami osypisko. Trzej mężczyźni już się nie modlili. Stali obok auta, czekając na nią w milczeniu. Gestem, bez słowa, zaprosili, by zajęła miejsce w terenówce.

Znowu jechali. W dali wśród głazów mignął czarny, niski namiot, a obok niego stado kóz. Parę kilometrów dalej napotkali ciągnącą równoległe do szosy karawanę: dwa wielbłądy, dwa osły, kilka kóz... Może dziesięcioro ludzi plątało się między zwierzętami. Jak na komendę wszyscy odwrócili twarze od mknącego auta. I znowu jechali, bez końca w pustce, w ciszy, pod brzemieniem blado-błękitnego nieba, w potokach spalającego wszystko słońca.

W pewnej chwili pojawiły się przed nimi skały. Niewysokie i spękane. Tworzyły jakby bramę. Szosa wsuwała się w tę szczelinę i opadała w dół. Brama przemieniła się w wąwóz, coraz dzikszy, coraz głębszy, pełen cienia. Szosa wyginała się w serpentyny. Można by sądzić, że zjeżdżają pod ziemię. Ale zjazd się skończył i auto wypadło z cienistego wąwozu znowu na palący blask słońca.

Jeszcze jedna skorupa odpękała i spod niej wyzierała rozległa, parokilometrowa wżera, otoczona skalnymi ścianami, na których została pustynia. Tu w dole nie było pustyni – ciągnęły się sfalowane lekko pola, przyprószone zielenią, a dalej stały gęste i bujne gaje palmowe o rozchwianej czuprynie gałęzi. Gdzieś okrążone przez mechate pnie połyskiwało małe jeziorko.

Skupiska ludzkie przypominały kopce termitów: białe domy o płaskich dachach cisnęły się do siebie i wznosiły jedne nad drugimi, tworząc zwięzającą się ku górze piramidę zakończoną na szczycie wieżą minaretu. Każde z tych miast-piramid stanowiło jakby

oddzielną całość. U dołu, na równinie, już tylko z rzadka rozsypane były domy i domki.

Ali wyciągnął rękę, wskazał ostatnie z miast, już prawie pod samą ścianą skalnego muru.

– To święte miasto – powiedział. – Nasze miasto.

Skinęła głową na znak, że widzi. Ale nie powiedziała nic. To, co oglądała od kilku godzin, a zwłaszcza to, co widziała teraz, było dla niej wstrząsem. Nagle dostała się w świat, o którego istnieniu nie wiedziała, którego nie umiała nawet przeczuć.

Jechali teraz wolno. Mijali ludzi idących, czasami siedzących na obładowanych osłach.

Nagle zawołała:

– Stańmy! Na chwilę. Muszę to zobaczyć!

Terenówka zatrzymała się na zakręcie, Teresa wyskoczyła z auta. Z lewej strony drogi, nieco od niej niżej, za gajem palmowym ogrodzonym glinianym murkiem, nad którym widać było tylko rozchwiej liści, wznosiło się jedno z miast-piramid. Głębiej – za miastem – widać było pomarańczową w blasku zniżającego się już słońca ścianę skalną. Z prawej strony szosy, rzucając swój cień na drogę, wznosił się mały pagórek. Zobaczyła go wcześniej, gdy zjeżdżali w dół. Od razu zapragnęła ujrzeć go z bliska. Wąską ścieżką biegła teraz w górę. Znalazłszy się na niej, zatrzymała się oszołomiona ujrzanym widokiem.

Z tej strony nie było miasta, nie było gajów, nie było zieloności. Łyse pagórki ciągnęły się jedne za drugimi, podchodziły aż pod skalny mur. Ten najbliższy, na którym stała, był pokryty niezliczoną masą małych, podłużnych kopczyków, usypanych z czarnej gruboziarnistej ziemi, przemieszanej ze skalnym rozkruszem. Płaski kamień wetknięty pionowo w ziemię znaczył kraniec każdego kopczyka. Tak, to był cmentarz. Rozległe cmentarzysko przytulonych do siebie grobów. Wszystkie były jednakowe. Nie stały na nich

żadne figury ani tablice. Nie było napisów. Czasami tylko kamień, oznaczający miejsce, gdzie leżała głowa zmarłego, przewiązany był spłowiała wstążką. W ten sposób rodzina oznaczyła grób, aby móc go odnaleźć wśród innych. Gdzie indziej tę samą rolę spełniał położony na grobie stary pantofel, zardzewiały garnek, wyżarta przez rdzę puszka po konserwie.

Nie weszła między groby. Stała na skraju cmentarza ogarnięta przejmującym uczuciem. Grobów było bardzo dużo. Pokrywały cały pagórek, ogarniały część następnego, na którym wznosił się mały budynek z czterema spiczastymi narożnikami, pomalowany błękitną farbą. Już przedtem widziała takie na wzgórzach i jej towarzysze powiedzieli, że są to groby świętych eremitów-marabutów.

Cmentarze nie przyciągały jej nigdy. Nawet daleki widok Campo Verano oglądany z okna pociągu, odjeżdżającego z rzymskiego Termini, budził jej niechęć. Ten nienaturalny las krzyży i białych figur wywoływał niezrozumiałą odrazę. Ale bezimienne groby tutaj, w tej oszałamiającej ciszy, pod brzemieniem przestrzeni obudziły w niej inne uczucia. Nie potrafiła ich określić – czuła jedynie, że nie może od tego morza kopczyków oderwać wzroku. Nie patrzyła na malownicze miasto po drugiej stronie drogi. Patrzyła na groby.

Tamci czekali na nią cierpliwie. Nie dawali sygnałów klaksonem. Ona sama zdecydowała się w końcu odejść. Schodziła wolno, oglądając się kilkakrotnie. Słońce wisiało nisko, płaskie kopczyki rzucały długie cienie. Gdy znalazła się na szosie, zobaczyła, że jej towarzysze stoją nieruchomo zwróceniem twarzami w stronę miasta. Obok nich stało kilku ludzi w białych burnusach, którzy widać przechodzili drogą. Z daleka od wieży na szczycie miasta dochodził zawodzący głos muezina. Znowu się modlili.

W końcu pojechali dalej. Święte miasto w odróżnieniu od innych, które mijała, otoczone było murem podpartym i tu, i tam ciężkimi wsporami. Droga zataczała łuk i podprowadzała pod wysoką bramę.

– O zmierzchu brama miasta jest zamykana – powiedział Ali. – Wtedy nikogo się nie wpuszcza.

– Przed kim zamykacie bramę? – spytała. – Jakiego nieprzyjaciela obawiacie się?

Uśmiechnął się łagodnie.

– Kiedyś miasto musiało się strzec przed pustynnymi rabusiami. Dziś obawia się czegoś bardziej jeszcze groźnego: hałasu. Ta brama chroni ciszę.

Minęli bramę, wjechali na mały placyk.

– Trzeba wysiąść – rzekł Ali. – Auto dalej nie pojedzie.

Dalej nawet nie mogło wjechać. Uliczki były wąziutkie, a zarazem biegły stromo w górę. Jeszcze minęli małe targowisko – suk – otoczone kolumnadą. Dzień handlowy właśnie się skończył. Kupcy zbierali rozłożone na ziemi towary. Inni otulali płachtami stoiska. Jeszcze inni ładowali swój towar na osła lub na rower. W sklepikach znajdujących się w podsieniach zapalono lampy. Płonęły także piecyki na gazowych butlach. Gdyby nie elektryczne lampy, rowery, butle z gazem – to, co widziała, mogło należeć do świata sprzed stuleci.

W ścianach ulic nie było okien. Mijała tylko drzwi, a w nich stały dzieci o wielkich czarnych oczach, przyglądające się jej ciekawie. Przy innych, zamkniętych, stały małe kózki, które wróciły z pastwiska, a teraz czekały cierpliwie, aż ich właściciele otworzą im i wpuszczą do środka. Na jakimś skrzyżowaniu zobaczyła studnię z kołowrotem. Zakwefiona kobieta obracała korbę, trzy inne, błyskając jednym okiem w trójkątnym otworze nasuniętej na twarz zasłony, czekały z wiadrami. Wyciągnięta ze studni woda parowała, jakby była ukropem. Teresa pochyliła się nad studnią. Musiała być niezmiernie głęboka, kto wie, czy nie sięgała aż do podnóża góry, na której stało miasto. Ze studni ziało ciepłem i słonym zapachem. Skręcili teraz w boczną uliczkę i zamiast iść w górę, schodzili w dół. Po chwili

znaleźli się znowu pod murem otaczającym miasto. Zmierzczało się. W uliczkach było już zupełnie mroczno, ale tu pod murem zachowało się jeszcze trochę dnia. Barwy zszarzały.

– Miasto pokażemy pani jutro – powiedział Ali. – Dziś już późno. Pani pewno zmęczona. Odprowadzimy panią na nocleg do białych sióstr.

– Do sióstr?

– Tak. One są tam – wskazał poza mur. – Ale niedaleko.

W murze, do którego podeszli, znajdowała się ciasna stajenka, w której stał osioł. Tuż obok znajdowała się niska furtka. Jeden z towarzyszy Alego, który poprzednio gdzieś się oddalił, czekał tutaj na nich z wielkim kluczem w ręku. Otworzył furtkę i wszyscy znaleźli się poza murem. Żwirowata ścieżka prowadziła do szosy, przecinała ją, szła dalej w pole. Nie musieli iść długo – w półmroku zamajaczyły budynki. Pierwszy z nich był budynkiem nowoczesnym. Duży, o ścianie pełnej wielkich okien.

– To szkoła – objaśnił Ali.

O tej porze budynek był ciemny i cichy. Szli dalej. Wzdłuż drogi rosły krzewy, wyglądało tu dziko. Ale po chwili zamajaczył biały mur z bramą przypominającą wykrojem grzyb. W bramie nie było drzwi. Weszli do środka. Za bramą było puste, małe podwórko, a na nim nędzny domek z trzciny okładanej gliną. Przypominał Teresie swym wyglądem lepianki z brazylijskich faveli. Dom nie miał także drzwi, otwór wejściowy był zawieszony matą. Ali stanął na progu, uderzył w mały dzwoneczek zawieszony na ścianie. Mata uchyliła się.

Ukazała się kobieta ubrana w szarą, spraną sukienkę. Na piersi miała naszyte serce z krzyżem. Była bosa. Mężczyzna coś do niej powiedział. Wysłuchawszy go skinęła głową. Uśmiechnęła się do Teresy. Dała głową znak zapraszający do wnętrza.

– Rano przyjedziemy po panią – powiedział mężczyzna w zwisających spodniach.

Wnętrze, do którego została wprowadzona, było mroczne. Prawie go nie rozświetlał olejny kaganek z grubym knotem. Dopiero po chwili wzrok Teresy oswoił się z półmrokiem na tyle, że mogła zobaczyć siedzące na ziemi cztery kobiety. Musiały właśnie jeść kolację, gdyż przed każdą stała drewniana miska.

Siostra, która wprowadziła Teresę, podeszła do jednej z kobiet i pochyliwszy się coś do niej szepnęła. Kobieta wstała. Uśmiechnięta podeszła do Teresy. Miała twarz niestara, ale mocno pociętą zmarszczkami, i jasne włosy, barwy platyny, przysypane siwizną.

– W jakim języku mam mówić do pani? – zapytała po francusku.

– Moim językiem jest włoski. Ale może pani mówić do mnie także po francusku...

– Będę w takim razie mówiła po francusku, dobrze? A do mnie proszę się zwracać:

siostro. Jestem siostra Maria. A to są – gestem przedstawiała kolejno siedzące – siostra Klara, siostra Marta, siostra Joanna, siostra Elżbieta...

Wymienione z imienia siostry nie wstając skłaniały się nisko i uśmiechały. Wszystkie wyglądały na Europejki. Ubrane były w szare sukienki z wyszytym na nich czerwonym sercem i były bose. Z wyjątkiem młodziutkiej siostry Klary – tej, która wprowadziła Teresę – były kobietami w średnim wieku.

– Proszę – zapraszała siostra Maria – może pani zechce zjeść razem z nami.

Teresa skinęła głową. Siostra Klara pośpiesznie przyniosła skórzaną, wypchaną wiórkami poduszkę, ale Teresa odsunęła ją. Siadła podobnie jak zakonnice na pokrywającej ziemi macie. Siostra Joanna podała jej drewnianą miseczkę, do której nałożyła gruboziarnistej kaszy. Podsunęła także kubek wody i kilka daktyli na liściu.

Siostra Maria powiedziała:

– Cieszymy się, że mamy panią między nami. Każdy gość jest radością dla nas. Nasz

założyciel pragnął, aby domy sióstr były otwartymi przystaniami dla każdego podróżnego.

Taka jest zresztą tradycja saharijska, której chciał być wierny. Proszę przyjąć ten skromny posiłek jako siostrzany dar...

Kolacja odbywała się w zupełnej ciszy. Gdy siostry skończyły, na znak dany przez siostrę Marię wstały. Stojąc odmówiły chórem krótką modlitwę, po czym jedna po drugiej opuszczały izbę.

– Nasze siostry – powiedziała siostra Maria, która tylko sama została z Teresą – mają teraz półgodzinną rekreację. Skorzystają z tego, by poczytać lub napisać list. Ja natomiast chciałabym pokazać pani nasz dom, kaplicę i pokoik, w którym będzie pani mieszkać, dopóki pani zechce tu być z nami. Czy dobrze?

– Tak, siostro – bąknęła. Odkąd weszła do tego domu, ogarnęła ją dziwna nieśmiałość.

– Siostra jest pewno siostrą przełożoną? – zapytała.

– Rzeczywiście jestem przełożoną. Chodźmy.

Wzięła kaganek i poszła przodem. Teresa szła za nią bez słowa. To uczucie nieśmiałości narastało w niej w ciągu dnia. Wynikało z oszołomienia tym, co widziała: tą drogą przez pustynię, tą pustką, ciszą, przestrzenią, widokiem modlących się ludzi, cmentarzem, domem sióstr... Świat, w którym się znalazła, był nieznanym jej całkiem światem. Nie wiedziała, co o nim sądzić. Oddziaływał na nią, przekształcał ją, wchłaniał. Odruchowo, wychodząc z izby, zsunęła z nóg obuwie. Wydawało jej się, że tutaj trzeba chodzić boso, jak trzeba jeść, siedząc na ziemi, z drewnianej miski. Przez środek domku biegł wąski korytarz o ściankach z trzciny. Prowadził do kaplicy. Było to pomieszczenie równie ubogie jak izba, w której jadły. Ołtarzem był zwykły stół, nakryty lnianym obrusem. Przed ołtarzem w dużej glinianej miseczce palił się kaganek, a jego pełgający blask odkrywał stojący na środku ołtarza kielich. Poza tym kielichem nie było na ołtarzu nic, tylko w głębi na

ścianie rysowały się kształty dużego drewnianego krucyfiks, wyrzeźbionego prymitywną ręką.

Przełożona uklękła i schyliła nisko głowę. Na chwilę zamarła w bezruchu i w ciszy.

Teresa uklękła także. Nie zrobiła tego dla zwykłej uprzejmości, czuła, że tak musi zrobić.

Czasami odwiedzała rzymskie kościoły, ale jeśli je nawet lubiła, to pociągało ją jedynie ich

piękno. Nigdy się nie modliła. Z modlitwą zerwała w tamtych latach, gdy usiłowały ją do niej

zmusić nauczycielki i wychowawczynie. Potem bawiła ją dewocja ciotki. Występy zespołu

„Jezusa, dobrego kompana” traktowała jako świetną zabawę. Ale tu było coś, czego nie

można było traktować ani jako zabawy, ani jako kontemplacji piękna. W tym wnętrzu pełnym

tyłu szczelin, że wydawało się, że przewiewa je wiatr pustyni, odczuwała naprawdę coś niby

obecność. Czy ta obecność była tu, we wnętrzu, czy może tam, na zewnątrz – w pustce,

w ciszy, wietrze? Grubo pleciona mata gniotła jej kolana, a jednak wiedziała, że nie podniesie

się, póki nie zostanie do tego wezwana. Przełożona wstała, przeżegnała się, dała Teresie znak

do opuszczenia kaplicy.

Wróciły na korytarz. Po drugiej jego stronie były jedne obok drugich wąskie drzwi,

a raczej otwory zawieszane płachtami. Spoza zasłon przesączało się światelko kaganków.

W całym domu nie było ani jednych zamykających się drzwi. Wskazując na te otwory,

przełożona powiedziała:

– To nasze cele.

Doszedłszy do ostatnich drzwi, odgarnęła zasłonę. Podniosła w górę trzymany

kaganek. W celce nie było nic poza leżącą na ziemi grubszą nieco matą. Na matę ktoś położył

dwa stare, pracowicie połatanne koce. W kącie stał stołek, na nim miednica. Obok dzbanek

z wodą. Na ścianie wisiał krzyżyk z dwóch zbitych kawałków drzewa. To było wszystko.

– Oto pani pokój – powiedziała przełożona. – Proszę spać spokojnie. Mam nadzieję,

że zmęczenie nie pozwoli pani słyszeć w nocy żadnego ruchu. Ale gdyby pani usłyszała jakieś krzątanie, proszę się nie lękać. To są nasze zakonne zwyczaje. Czasami także ktoś nas potrzebuje...

– Na pewno nie przestraszę się – zapewniła z uśmiechem. – Ale podziwiam, że siostry mieszkają w domu tak otwartym. Czyżby nie było żadnego niebezpieczeństwa, które by wam mogło grozić?

Przełożona potrząsnęła głową.

– Nie sądzę, aby takie niebezpieczeństwa istniały. Któż i czego mógłby chcieć od nas? Jesteśmy tutaj, by pomagać ludziom, i ludzie w okolicy wiedzą o tym. Tu zresztą domy otwarte są dla gości i potrzebujących. Taki jest tutejszy, muzułmański zwyczaj, który usiłujemy naśladować. Od islamu możemy się wiele nauczyć.

– Myślałam, że jest to śmieszna, średniowieczna religia.

Zakonnica potrząsnęła głową.

– Nie ma śmiesznych religii – w jej głosie brzmiała stanowczość. – Każda religia jest poszukiwaniem Boga, a żadne poszukiwanie Boga nie zasługuje na to, aby uważać je za śmieszne. A jeżeli chodzi o islam... Proszę mi wierzyć, że my, chrześcijanie, wyznawcy religii, którą uważamy za jedynie prawdziwą, możemy się wiele od wyznawców islamu nauczyć. Gościnności, miłosierdzia, modlitwy. Czy widziała pani w Europie ludzi modlących się jak tu?

– Nie, rzeczywiście nie widziałam...

– Skąd pani do nas przyjeżdża? Proszę wybaczyć, że się o to pytam. Nie powinnam pytać. Nasz założyciel zostawił nam wskazówki, abyśmy nie pytały naszych gości o to, skąd przybywają. A jednak wbrew jego poleceniu pozwoliłam sobie... Zrobiłam to, gdyż mam dziwne uczucie, że pani przybywa z kraju, który jest bliski mojemu sercu...

- Przybywam z Włoch. A o jakim kraju myślała siostra?
- O Polsce... Nie wiem, doprawdy, dlaczego tak myślałam...
- To prawda, że mój ojciec... Mój ojciec jest z pochodzenia Polakiem... Nigdy tam nie byłam. Nic mnie z tym krajem nie łączy.
- Więc jednak dobrze odczułam... My, siostry, nie możemy mieć innej ojczyzny poza krajem, w którym pracujemy. Lecz wolno nam kochać...
- Nie kocham kraju, z którego pochodzi mój ojciec. Myślę o nim bez sympatii.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Może dlatego, że nienawidzę ojca...
- Och! – wydawało się, że siostra chce coś powiedzieć, ale szybko położyła sobie palec na ustach. – Biedaczka – szepnęła tylko.
- Czemu biedaczka?

– Będę się modliła za panią, moje dziecko. Ale ja panią trzymam, a pani zmęczona.

Już uciekam. Proszę spać.

Skinęła głową i szybko wyszła, jakby chciała uciec od dalszej rozmowy. Teresa nie słyszała jej stąpań – nie była pewna, czy przełożona odeszła, czy też stoi za falującą zasłoną. Wolno usiadła na macie. Nie mogła zrozumieć, co sprawiło, że powiedziała zakonnicy o swej nienawiści do ojca. Nie zwykła była mówić o tym ludziom obcym. Czyżby to sprawiła ta niezrozumiała cisza, która ją otaczała? Ach, ta cisza! Wyciągnęła się na macie i przytłumiwszy oddech wsłuchiwała się w nią. Było tak cicho, że słyszała oddechy sióstr śpiących za trzciniowymi ściankami.

Po chwili, nie wstając, zsunęła spodnie i zawinęła się w koc. Zdmuchnęła kaganek.

Gdy otoczyła ją ciemność, słyszała nie tylko oddechy. Rozległy się ciche trzaskania i szurgania. W ścianach były szczeliny i przez nie cienkimi jak igły smugami wdzierała się do

wnętrza izby poświata. Nie mogła zasnąć. Leżała i myślała, myślała, myślała. Całe jej dotychczasowe życie przesuwało się przez jej pamięć niby zwolniony film. Zbuntowane dzieciństwo, szaleńcza miłość, Sycylia, Roberto... Potem Dino... Po raz pierwszy myśl o Robercie przyszła do niej bez niepokoju. Miała takie uczucie, jak by coś ją zwolniło od troski o los dawnego kochanka.

Także przyciągająca moc Dina nieco zelżała. To prawda, nadal czuła jakby jego rękę na swym ramieniu. Będzie musiała do niego wrócić. Będzie ją miał. Wciągnie ją w rytm swoich spraw, w rytm spraw, wobec których nie istnieją żadne „małe racje”. Pod jego wpływem będzie się musiała stać twarda jak Sylwia. A przecież – czuła to – nie była jak Sylwia. I nie chciała być jak Sylwia.

Coś mocniej zaszeleściło za trzciniową ścianką – może przebiegło tamtędy jakieś zwierzę? Ale zaraz wróciła cisza, cisza tak przejmująca, że aż w człowieku budziło się niecierpliwe oczekiwanie na jej koniec. Och, czy to możliwe, myślała, aby móc w takiej ciszy pozostać? Aby stała się ona przyrodzonym żywiołem?

Zasnęła, ale obudziła się. Nie miała świadomości, ile czasu spała. Była ciągle noc, igły poświaty nadal przebijały ciemność nad jej głową, a przecież słyszała jakiś delikatny ruch. Siostry wstały i wychodziły ze swych cel. Stąpały cicho, ona jednak słyszała szmer kroków. Potem usłyszała równy chór głosów odmawiających wspólnie modlitwę. To było tak, jakby gdzieś zaczęło szumieć morze: głosy wybijały się z ciszy i zaraz wtapiały się w nią. To falowanie nie zakłócało jej naprawdę.

Znowu usnęła i znowu się obudziła. Noc trwała dalej. Tym razem ciszę zakłócił głos dzwonka. Potem jakiś głos coś mówił po arabsku. Odpowiedział mu głos inny, w którym poznała głos przełożonej. Doszły ją ciche stapania na korytarzu. Przełożona powiedziała cicho po francusku: „Niech siostra weźmie całe pudełko... i strzykawkę...” – Coś dorzuciła

w innym języku i chociaż Teresa słów nie rozumiała, wiedziała, że wypowiedziane były po polsku.

Czyżby więc siostra Maria nie była jedyną Polką między siostrami? Znowu zaszeleściły kroki. Ucichły. Cisza wróciła.

Kiedy otworzyła oczy, był już ranek. Oziębione przez noc powietrze ogrzewało się szybko. Słońce przypiekało ścianę domu. Znowu doszedł ją rytmiczny szmer głosów modlących się sióstr.

Była znowu w świętym mieście. Targowisko ożyło ruchem: kupcy ustawiali stragany, rozjuczali osły, które przydźwigały ogromne ładunki towarów. Brama miasta była otwarta. Ściągali ludzie w białych i burych burnusach. Mali chłopcy wyprowadzali kozy, które same zbiegały się na głos piszczałek. Między zwierzętami o plamistej sierści i obdartymi, bosymi pastuszkami szły czarnowłose dziewczęta w białych bluzkach, w białych skarpetkach, z teczkami w ręku. To były uczennice spieszące do szkoły. Skrzypiąc i prychnając wjechała do miasta wysłużona ciężarówka, wioząc ładunek czerwonych butli z gazem.

Teresę zaintrygowało zbiorowisko ludzi tworzących krąg na placu przy bramie, gdzie zatrzymywały się auta. Zapytała Alego:

– Co oni tam robią?

– Niech pani zobaczy.

Pośrodku kręgu stał stary Arab z ciemną twarzą okoloną białą brodą, w białym burnusie. Coś opowiadał, wspomagając swoje słowa żywą gestykulacją. Chwilami jego opowiadanie przechodziło w rodzaj melodeklamacji. Wtedy dwaj młodzi Arabowie siedzący obok niego na ziemi przykładali do ust trzymane fujarki i zaczęli na nich popiskiwać.

Potem znowu melodeklamacja ustępowała miejsca dramatycznemu opowiadaniu.

– O czym on mówi? – spytała.

– Opowiada stare historie o bohaterach pustyni. Trochę powtarza rzeczy znane, trochę improwizuje. To taki Homer saharyjski – uśmiechnął się.

Stary Arab przestał teraz opowiadać. Coś powiedział do otaczających go ludzi, a oni wysunęli przed siebie dłonie obrócone spodem ku górze, jakby czekali, że coś na te dłonie spadnie. Stary mówił, jakby recytował.

A teraz co on mówi?

Teraz modli się. Wezwał wszystkich, aby się również modlili. Aby błogosławieństwo Allacha spłynęło na niego, na to, o czym opowiada, i na słuchaczy.

– Amen – powiedział stary.

Podniósł dłonie i przesunął nimi po twarzy, z góry na dół, jakby się obmywał. Ludzie naśladowali ten ruch. Wszyscy także powiedzieli: „Amen”. Stary zrobił krok do przodu i podjął na nowo swoje opowiadanie.

– Jeszcze nie skończył? – pytała.

– Nie. Będzie tak mówił przez długie godziny. Wielu przychodzi po to tylko, aby go posłuchać. Jutro go tu nie będzie. On nietutejszy.

Oddalili się od kręgu przysłuchujących się opowiadaniu starego Araba. W sąsiedztwie zakwefione kobiety czyniły zakupy. Kupcy w burch burnusach wolno odważali na ręcznych wagach bób, fasolę, jęczmień, daktyle. Obok na rozłożonej na ziemi płachcie leżał stos używanych ubrań, w których grzebało kilku młodych mężczyzn.

– Ile lat liczy wasze miasto? – zapytała Alego.

Rozłożył ręce gestem niewiedzy.

– Trudno powiedzieć. Ale na pewno nie mniej niż tysiąc. Co najmniej tyle liczą wieże strażnicze i fragmenty murów.

– Dlaczego nazywa się je świętym miastem?

– Miasto posiada swoje tajemnice religijne...

– Oczywiście nie powie pan o nich?

– Nie mogę powiedzieć. To są tajemnice naszego mozambickiego ludu, skrupulatnie strzeżone od setek lat.

Szli teraz wąską uliczką w górę. Po obu stronach ciągnęły się białe ściany bez okien.

Miały tylko drzwi. Każde prowadziły w głąb ciemnego korytarza. Dopiero na zakręcie ulicy

znajdowały się okna, ale nie były one oknami mieszkań. Otwierały widok na miasto w dole, i na gaje palmowe rozciągające się poza murami. Zatrzymała się przy jednym z okien, odnalazła w dali budynek szkolny i niedaleko od niego dom białych sióstr. Może o kilometr dalej sterczał pionowy skalny mur, teraz oblany blaskiem słońca i od tego blasku różowozłoty.

Wreszcie znaleźli się na szosie i stanęli przed zamykającą uliczkę ciężką bramą.

Teresie i Alemu towarzyszyło w tej wędrówce po mieście dwóch przewodników – młodych ludzi, odzywających się z rzadka i dyskretnie. Jeden z nich nacisnął klamkę i uchylił odrzwia bramy. Odruchowo przesunęła palcami po stoczonym przez czas drzewie. Ileż setek lat musiały liczyć te ciężkie wrota! Za progiem zdjęto obuwie. Meczet był wąski i podłużny. Po obu stronach biegły wąskie galeryjki, w dole na wytartym dywanie na poły siedział, na poły leżał stary mężczyzna. Nie drgnął nawet, gdy weszli. A jednak nie spał. Czuwał ze wzrokiem wytężonym, skierowanym gdzieś w przestrzeń. Jeden z przewodników zwrócił się do niego z jakimś pytaniem. Odpowiedział niechętnie, nie odwracając głowy. Ale widać tamten otrzymał odpowiedź, gdyż sięgnął do półeczki na ścianie i wziął z niej dziwaczny kawał żelaza. Wrócili do przedsionka między starymi wrotami a meczetem. W kącie były tu strome schody. Poszli nimi na górę. Teresa szła tuż za przewodnikiem. Na końcu schodów znaleźli się przed niskimi drzwiami. Były to znów wiekowe deski poryte przez czas. Przewodnik wetknął kawał żelaza w otwór. Obracaniem go odsuwał ukryte z drugiej strony rygle.

Ustępowały z chrzęstem. Potem drzwi otworzyły się.

Nie mogła się powstrzymać od lekkiego okrzyku. Znajdowali się na szczycie wieży, stanowiącej zakończenie piramidy ksaru. Widok był oszałamiający. Pod nimi leżało miasto, otwarte od góry niby złośliwą ręką Asmodeusza. Płaskie dachy zakrywały niewiele.

Poszczególne mieszkania – to były małe podwórka podobne z wysoka do komórek w plastrze

miodu. Ciemne podsienia patrzyły tajemniczo niby oczy kobiet z głębi zasuniętych na twarze szeszków. Może to tam kryły się tajemnice, o których wspominał Ali?

Podniosła wzrok w górę. Nad jej głową między belkami tworzącymi dach wieży, już tak wyżartymi, że utraciły wygląd drewna, wisiały – cóż za zgrzyt! – cztery głośniki. Muezin nie wyśpiewywał swych wezwań do Allacha z wieży, przekazywał je z dołu głośnikom!

Ze szczytu mogła widzieć całą nieckę oazy: miasta, gaje palmowe, pola, cmentarz.

Oazę otaczały kręgiem urwiska. Ale święte miasto leżało tak wysoko, że z wierzchołka wieży mogła zobaczyć ponad poszarpaną krawędzią brzeg pustyni, rozpostartej na skałach. Gdzieś blisko urwiska biegła droga i poruszały się jakieś sylwetki, może ciągnęła tamtędy karawana wielbłądów. Zeszli z wieży. W przedsionku meczetu czekał na nich mężczyzna o bardzo ciemnej twarzy. W półmroku błyskały białka oczu. Coś powiedział i przewodnik oddał mu klucz. Wziął go w dłoń o palcach zbielejących na końcu, jakby poplamionych wapnem. Pod zawojem widać było na jego czole wyryty zakrętas, podobny do arabskiej litery.

– Co on ma na czole? – zapytała, gdy już znaleźli się na ulicy i schodzili w dół.

– To dawny niewolnik. Ma wypalony znak swego pana.

– Niewolnik? – wykrzyknęła. – W naszym stuleciu?

– On jest stary. Wtedy musiał być dzieckiem. Aż do pierwszej wojny istniało tutaj niewolnictwo. Byli rozbójnicy, którzy napadali na wsie, nawet wpadali do miast. Porywali dzieci i sprzedawali je bogatym. Władze francuskie zamykały na to oczy... Tu, na Saharze, zdarzało się to często, choć na wybrzeżu nikt o tym nie wiedział.

Wrócili na skraj suku. Znowu zobaczyła gromadę dziewczynek w białych bluzkach, wracających ze szkoły.

– Czy one – zapytała z wyzwaniem w głosie – po ukończeniu szkoły zechcą mieszkać dalej w świętym mieście i strzec jego tajemnic?

Odpowiedział spokojnie:

– Może nie zechcą...

Nie podjął dyskusji. Odprawił przewodników, podprowadził Teresę do drzwi wiodących tak jak inne w ciemny, mroczny korytarz. Szedł przodem. Postępując za nim zdawała sobie sprawę, że wchodzi w skałę. Całe miasto musiało być w ten sposób zbudowane: małe podwórka, a pod nimi w głębi korytarzy mieszkania. Naga żarówka paliła się przy prowadzących w dół stromych schodach. Szła za Alim, wodząc dłonią po chłodnej skale. Zeszli ze dwa piętra w dół i zatrzymali się przed drzwiami. Te drzwi nie były stare i miały nowoczesną klamkę. Gdy Ali otworzył je – stanęła znowu zaskoczona. To było naprawdę miasto nie kończących się odkryć! Znajdowała się w nowoczesnej bibliotece oświetlonej neonowymi lampkami. Wokoło pokoju biegły półki pełne książek. Obok starych tomów, oprawnych w powycieraną skórę, stały książki współczesne z barwnymi obwolutami. Dostrzegła tytuły w językach: angielskim, rosyjskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, francuskim, chińskim. Na stoliku stał magnetofon i aparat do odczytywania mikrofilmów.

– To nasza biblioteka – powiedział Ali. W tonie jego głosu brzmiała duma.

Stała bez słowa i tylko nie przestawała się rozglądać.

– Pytała się pani, czy tamte dzieci po szkole wrócą tutaj. Jak pani widzi, myśmy wrócili.

Powoli skinęła głową. Nie wiedziała, co myśleć o tym, co widziała. Znowu jej wzrok biegł po ciemnych grzbietach książek ze złożonymi napisami. Przed sobą miała półkę z książkami poświęconymi sprawom psychoanalizy.

– Nie tylko wróciliśmy – podjął. – Staramy się zachować i pogłębić to, co nam dała wiedza. Ale nie jesteśmy jak Mohammed. Dla ludzi jak on jedynym pragnieniem byłoby przemienić nasz świat według wzoru waszego świata. Przekopać Saharę, pokryć ją szybami,

fabrykami, zasłonić niebo chmurami dymu, zasypać ziemię odpadkami i śmieciami... My wiemy: ludzie muszą jeść, muszą mieć odzież... Ale także ludzie muszą mieć miejsca jak pustynia... Dawniej człowiek, gdy chciał rozmawiać z Allachem, znajdował ciszę koło siebie. Dziś cisza pozostała tylko tu, na Saharze... Tylko tu człowiek może stanąć twarzą w twarz z nim, ze sobą samym, z szatanem...

Nie próbowała dyskutować. Siadła na małym, twardym taborecie, których rzędy stały obok stołów. Tym razem jej błędzący wzrok spoczął na innej półce z książkami. Przesuwał się po nazwiskach autorów: Hindusów, Chińczyków, Birmańczyków, Murzynów...

Wyciągnęła rękę, położyła dłoń na książkach.

– Zbieracie doświadczenia? – zapytała.

– Oczywiście – potwierdził. – Chcemy wiedzieć, co mówią o was, ludziach z Europy, ci, którzy mieli z wami do czynienia. Chcemy się dowiedzieć, gdzie tkwi błąd. Wasz błąd...

Wstała i znowu chodziła po bibliotece. Oglądała książki, zapiski tych, którzy tu byli.

Potem wróciła z Alim na górę. W bibliotece był miły chłód, ale na uliczkach miasta panował

dławiący żar. Pojawili się ci sami dwaj młodzi ludzie, którzy przyjechali poprzedniego dnia

z nią i z Alim. We trójkę oprowadzali Teresę po mrocznych sklepach znajdujących się

w podsieniach otaczających suk. Na ścianach wisały dywany. Na stołach ułożono wyroby ze

skóry, z drzewa oraz z mosiądzu. Szafy wypełnione były srebrnymi łańcuszkami,

zakończonymi ręką Fatmy lub Krzyżem Południa. Półki uginały się pod rządami róż

piaskowych rozmaitej wielkości. Nie brakło również powypychanych jaszczurek.

W powietrzu unosił się zapach balsamu i suchego pyłu.

Potem młodzi ludzie zaprowadzili Teresę do gospody. Poczęstowano ją talerzem

kuskusu – mieszaniny mięsa, ryżu i jarzyn.

– Kiedy pani chce wracać? – zapytał Ali.

- Najchętniej nie myślałabym w ogóle o powrocie – wyznała. – Tu tyle rzeczy ciekawych, wstrząsających...

Prawie z niechęcią myślała o tym, co ją tam czekało. Dino, Mohammed, konflikt między nimi... Wszystko to odeszło, stało się dziwnie niepociągające. Gdy już siedziała w aucie, Dino powiedział: „Siedź tam przez trzy dni, potem niech cię odwiozą. Bądź spokojna, gdyby tutaj coś zaszło nowego, dam ci znać. Na pewno. Myślę, że zanim wrócisz, wszystko będzie załatwione...” Ach, ta jego spokojna pewność! Miłość do Roberta, myślała, była szaleństwem. Szaleństwem zmysłów. Sprawa Dina wydawała się również szaleństwem – ale zimnym, nie porywającym, lecz paraliżującym...

– Niech pani zostanie jak najdłużej – Ali powiedział to z uśmiechem. – Pani jest inna niż oni.

– Inna? Jak pan to rozumie?

– Inna – powtórzył. – Pani szuka... Im wydaje się, że wszystko znaleźli. Że mają odpowiedź na każde pytanie. Pani nie ma takich złudzeń, prawda?

– Może pan ma rację – przyznała zamyślona, wpatrując się w czarnozłotą powierzchnię kawy w małej filiżance. – Niemniej jednak będę musiała wrócić. Jeszcze jeden dzień, a potem poproszę, aby mnie panowie odwieźli.

– Obiecaliśmy i zrobimy to. A jutro? Co pani chce zobaczyć?

– Jutro będę oglądała sama. Panowie są bardzo mili i uprzejmi. Jestem wam wdzięczna za to, coście mi pokazali. Ale żeby to, co widziałam, jakoś sobie przyswoić, muszę zostać z moimi myślami sama. Mam nadzieję, że nie czujecie się dotknięci?

Ali potrząsnął głową.

– Naturalnie, że nie. Rozumiemy panią. Nawet tym widzę teraz, jak bardzo pani jest inna. I nam bliska...

– Jaka szkoda, że muszę odjechać! – wyznała nieoczekiwanie dla samej siebie.

Siedziały z przełożoną nad górą podartej bielizny dziecinnej. Bieliznę przysłano siostrzom z Europy, zebrana była po ludziach przez organizacje charytatywne. Ofiarodawcy dawali przeważnie rzeczy zniszczone, wymagające reperacji. Trzeba było każdą sztukę obejrzeć, naprawić, przyszyć brakujące guziki.

– Muszę się tym zająć – powiedziała przełożona tego ranka wskazując na stos bielizny. – Gdy się daje ludziom coś, co się nie nadaje do natychmiastowego użytku, narzekają. Cała zasługa tych, którzy dali, przepada... Ale rozmawiać możemy.

– Siostra pozwoli? – zaofiarowała się. – Mogłabym pomóc. Nie jestem mocna w igle, ale od biedy coś niecoś potrafię.

– Naturalnie. Będę pani bardzo wdzięczna.

Podsunała Teresie kilka sztuk. To podczas tej roboty, tak mało pasjonującej, zrobiła tanto wyznanie.

– Rozumiem panią – przełożona nie podnosiła głowy znad szycia. – Zaczyna na panią oddziaływać tajemniczy wpływ Sahary. Ludzie zagonieni, zapędzeni, rozgorączkowani życiem odnajdują tu możliwość myślenia, uświadamiania sobie spraw, na które zwyczajnie nie mają czasu... Stają w obliczu rzeczy najważniejszych. Sahara nie tylko pozwala myśleć. Tu rodzą się postanowienia, wielkie decyzje...

– Czy siostra wie? Prawie to samo powiedział dzisiaj Ali, gdy pokazywał mi ich szkołę.

– Ci młodzi muzułmanie są mądrzy. Oni także wiele zrozumieli. Świat wiary budzi się. Lecz musi być bardzo ostrożny...

– Ostrożny? Dlaczego?

– To jest także chwila złudzeń i pokus. A tu, na pustyni, na nasze postanowienia czyha kusiciel.

– Szatan? Czyżby siostra wierzyła w szatana? To przecież śmieszne, taki diabeł z ogonem i z rogami!

Powoli uniosła głowę znad dziecinnej piżamki, którą pracowicie łątała.

– A jednak – zdjęła okulary i przesunęła wierzchem dłoni po powiekach, jakby chciała z nich zetrzeć zmęczenie – jeśli mamy wierzyć słowom Ewangelii, Chrystus właśnie na pustyni spotkał szatana. Rogi, ogon dorobili mu ludzie. Uczynili zeń stracha. Szatan nie jest strachem, jak nie jest przeciwnikiem Boga. Jest istotą, która poniosła klęskę i która znieść nie może myśli, że ktoś o tyle nędzniejszy od niej mógłby tej klęski uniknąć. Nienawidzi nas, ludzi. Stara się nam wmówić, że jesteśmy tym, czym nie jesteśmy. Wy tłumaczyć, że wystarczamy samym sobie. Stwarza przed nami miraże i fantasmagorie. Możemy mu zawsze odmówić. Ale on usiłuje mówić do nas naszym głosem i jeśli nie będziemy pamiętali, że istnieje, ulegniemy przekonaniu, że ulegamy tylko sobie...

– I to ten Bóg, którego nazywa się samą miłością, stworzył taką istotę? Nigdy czegoś takiego nie zrozumiałem!

– Bóg go takim nie stworzył. Pozwala mu istnieć i cierpieć. To jest tajemnica, która kiedyś odkryta nie zaprzeczy na pewno Jego miłosierdziu. Och, szatan istnieje. Gdyby pani popracowała tu z nami...

Zmarszczyła brwi.

– Gdybym popracowała? O czym siostra myśli?

– Są ludzie, którzy przyjeżdżają tu i spędzają pewien czas w naszych domach. Szkoda, że pani już jutro chce jechać.

– Wcale tego nie chcę. Nie ciągnie mnie nic. Wydaje mi się, jakby wszystkie tamte

sprawy utraciły swój sens!

– Może nie miały go dostatecznie wiele? Może pani dopiero stąd zobaczyła, jakimi są naprawdę?

– Siostra ma rację... Jednak nie mogę uciec! – w głosie dziewczyny zadźwięczał żal.

Zakonnica znowu pochyliła głowę nad robotą. Chwilę panowało milczenie. Przerwała je Teresa:

– Czy nie ma siostra jakiegoś kawałka? Z tych majtek jeszcze coś będzie, jeśli się im wstawi łąkę.

– Proszę wziąć z tego – podała dziewczynie sztukę płótna. Krojąc płótno wielkimi nożycami zapytała:

– Co siostry tu robią? Nawracają?

– Nie. Na nawracanie mahometan jest za wcześnie. Zetknęli się ze złem, które dotykało ich pod szyldem chrześcijaństwa. Naszym zadaniem jest tylko być tutaj, o niczym nie przekonywać a jedynie pomagać ludziom.

– To mi się podoba... – szepnęła jakby tylko do siebie.

– Ale to musi być bardzo trudne, prawda? – zapytała.

– Nie jest łatwe. Człowieka początkowo pcha entuzjazm. Nie starcza go jednak na długo. Gaśnie, a na jego miejsce pojawiają się tęsknoty, wątpliwości, zniechęcenia, smutek...

Człowiek zawsze pragnie wyników. Chce w nich widzieć potwierdzenie swej postawy.

Zamiast nich przychodzą nieporozumienia. Zapada noc...

– Noc? Czym ona jest?

Przełożona nie przestawała szyć, nie podnosiła głowy.

– Ta noc jest... – zaczęła. Ale zaraz urwała. Na moment podniosła głowę

i uśmiechnęła się. – Och, moje dziecko – powiedziała – nie jesteśmy powołane do pouczania.

Jak mówiłam: musimy tylko być. Bardzo to pani zręcznie przykroila – pochyliła się nad robotą Teresy. – Myślałam, że wy, młodzi, nie macie pojęcia o robotach ręcznych. Te kilka ubranek – wskazała na odłożoną kupkę – będzie dla małego Ahmeda. Strasznie miły chłopczyk. Kiedy przychodzi z matką, musimy się strzec, aby nie zapomnieć o swoich obowiązkach. Każda chciałaby się choć przez chwilę pobawić z nim. Och, dzieci...

Urwała, zacisnęła usta, zamknęła oczy. Ale to trwało tylko chwilę. Znowu wróciła do swojej roboty. Szyła prędko. Powiedziała cicho:

– Noc jest ciężka, ale bywają w niej radości... Będziemy się modliły za panią – zapewniła. – I nigdy nie będzie pani chciała zobaczyć ojczyzny swego ojca? – zapytała niespodziewanie.

– Może, kiedyś... – szepnęła, nie podnosząc głowy znad roboty.

Wieczorem zrobiła mały spacer. Za domem sióstr ciągnęły się zabudowania. Musieli tu mieszkać ludzie wyjątkowo ubodzy. Domki były nędzne, właściwie nie domki, ale szałas z trzciny oblepionej gliną lub o ściankach z tektury. Dach stanowiły kawałki blachy przysypanej ziemią. Nie było nigdzie drzwi, otwory wejściowe zasłaniała brudna szmata. Przed kłitkami bawiły się dzieci. Na jej widok oderwały się od grzebania w ziemi.

Miały wielkie, czarne oczy, włosy w kędziorach. Paznokcie dziewczynek były pokryte czerwienią. Na przegubach rąk nosiły bransoletki z kolorowych paciorków, pewno mające chronić od uroków. Szły obok niej. Mówiły cicho, prosząco:

– *M'dame... centimes... m'dame...*

Włożyła w małe rączki po sztuce monety i zaraz pozostały w tyle. Nie były natrętne.

Tylko jeden chłopiec szedł za nią dalej. Mówił tym samym szemrzącym głosem:

– *M'dame... cigarettes... m'dame...* Rozłożyła ręce. Zrozumiał ten gest.

– *Pas de cigarettes?*

Kiwnął głową ze zrozumieniem i odszedł. Wędrowała dalej samotnie, miała jednak uczucie, że spoza zasłon śledzą ją niewidzialne oczy. Gdy nagle wypadł na nią chrypliwie szczekający chudy pies o skudłonej sierści, spoza zasłony wysunęła się zaraz ręka: chwyciła psa za kark i wciągnęła go do środka. Szła dalej. Choć robiło się coraz ciemniej, nie czuła lęku. Ludzie tu w oazie nie wywoływali w niej niepokoju. A przecież był w niej niepokój inny, szarpiący – niepokój oczekiwania na coś czy na kogoś...

Na niebo wysypywały się gwiazdy niby ciśnięte na stół paciorki. Ziemię spowijał mrok, ale niebo pozostawało jasne jak obrzucona światłami rampy kurtyna. W nieckę oazy zstępował ostry chłód.

Gdy wróciła do domku sióstr, nie znalazła żadnej z zakonnicek w jadalni. Chór głosów

odmawiających modlitwy powiedział jej, że są w kaplicy. Udała się tam także. Na ołtarzu, po obu stronach kielicha, paliły się świece. Siostra Joanna czytała jakieś modlitwy. To musiały być psalmy. Inne siostry stojące półkręgiem podejmowały refren. W ich widowisku była scena, w której apostołowie modlą się razem z Jezusem. Wszyscy mówili głośno, bardzo głośno i Jezus upominał ich: „Mówcie głośniej”. Ich przedstawienie pełne było krzyku. Nikt nie mówił zwykłym głosem. Przekrzykiwali się wzajemnie. Ten krzyk sprawiał, że krzyczeli także widzowie. Tutaj modlitwa szumiała cicho jak spokojne morze, wtaczające się łagodnie na piaszczysty brzeg i równie łagodnie spływające z powrotem.

Potem siostry przestały odmawiać modlitwę. Zrobiła się cisza, a w tej ciszy odezwał się głos przełożonej:

– Zapytajmy naszych serc, siostry, czy byliśmy dzisiaj wierne czynem, słowem i myślą obecności Bożej. Przypomnijmy sobie, ile razy w ciągu dnia zapomnieliśmy o niej. Ile razy pochłonęły nas nasze tylko sprawy. Ile razy zostawiłyśmy Go samego...

W ciszy Teresa słyszała prędkie oddechy otaczających ją kobiet. Spojrzała pytająco na stojący na ołtarzu kielich. Dla sióstr to nie była rzecz – to był Ktoś. Znowu podjęły modlitwę. Toczyły się słowa, ale myśl dziewczyny pobiegła szybciej. Miała uczucie, jakby na nutach odmawianych psalmów niósł ją nieznany prąd.

Jej myśl – rzecz zdumiewająca – napotkała ojca. Właściwie nie myślała o nim nigdy – nie chciała myśleć. Właśnie od tamtej ostatniej rozmowy. Mówiła wtedy zbuntowana: „Nie chcę niczego! Nie potrzebuję niczego! Nienawidzę tych pieniędzy! Nie będę ich brała! Nie chcę ich nawet dotykać!” Siedział skulony za biurkiem, mrużył oczy pozbawione okularów. Zdjął je i nie kończącym się ruchem w czasie ich rozmowy wycierał kawałkiem irchy. „Nie rozumiem cię...” – zaczął, unosząc wysoko brwi. „Nie będę się tłumaczyła!” – rzuciła.

„A jednak...” – próbował. Przerwała mu: „Nie! Nie! Nie! Te pieniądze... Nie chcę ich, nie

będę ich brała! Zwłaszcza teraz, kiedy wiem!...”

Ciężko przełknął ślinę. Sięgnął do kieszonki kamizelki po pudełeczko z lekarstwem.

Włożył w usta małą, fioletową pastylkę. „Jesteś młoda – mruknął – nie znasz świata. Świat,

Tereso...” „Wiem dobrze, jaki jest świat! – zawołała. – To wy zrobiliście go takim! To wy!

wy! wy! To wasza wina! To wyście wszystko zatruli!”

Rzuciła słowa prosto w twarz ojcu i wybiegła z gabinetu. W hallu pełnym marmurów,

kryształów, palm, wyrosła przed nią sylwetka czekającego na nią Benuzziego. „I co?” –

zapytał, idąc jej naprzeciwko. „Precz!” – krzyknęła. Odepchnęła jego chwytiliwe dłonie

wysunięte z nieposzlakowanie eleganckich rękawów koszuli. Cofnął się zaskoczony.

„Myślałem – powiedział z urazą – że jesteś mądrą dziewczyną. Że załatwiłaś... Mówię ci,

poprowadziłbym ten interes... a tobie by niczego nie brakło...” Zatrzymała się gniewna. „Nie

chcę takiego interesu, rozumiesz?! Ani ciebie! Nigdy! Zapamiętaj to sobie!” „Wolisz swoich

brudasów? – zapytał gniewnie. – Tych wybijaczy szyb?...” „Wolę! Wolę sama wybijać

szyby!” – zawołała.

To była jej ostatnia rozmowa z ojcem i ostatnie odwiedziny w jego biurze. Wróciła do

Rzymu. W dwa dni później rzuciła się w ramiona Roberta. „Uciekajmy! – powiedziała. –

Zabierz mnie!”

Tego jeszcze wieczoru uciekli na Sycylię...

Od tamtych wakacji, od zbliżenia się z Benuzzim, uświadamiała sobie coraz lepiej,

skąd pochodzą pieniądze, które posiadali. Teraz stały się dla niej jasne pewne uwagi, rzucone

między sobą przez wychowawczynie, kiedy była jeszcze w szkole. Kiedyś usłyszała także, jak

ciotka Ela mówiła do przyjaciółek: „Nawet nie chcę wiedzieć, skąd te pieniądze pochodzą.

Miałabym potem wieczne skrupuły...”

Benuzzi mówił o tym wszystkim jasno, bez ogródek. Byłby pewno zaskoczony, gdyby

mu powiedziała, jakim wstrząsem stało się dla niej to odkrycie. Ale ona słuchała jego informacji w milczeniu. Szybko zrozumiała, że sekretarz bierze to milczenie za dobrą monetę. Benuzzi nie próbował nawet mówić o miłości. Widział rzecz w perspektywie znakomitego interesu. Wyznał jej to pewnego dnia z całą otwartością: „Moglibyśmy być znakomitą parą, nie sądzisz? Podobasz mi się. Jesteś zgrabna, masz śliczne nogi. Myślę, że ci się także podobam – wyprostował się, ujął się za klapy i poprawił marynarkę na sobie. – Piersi mogłabyś mieć trochę pełniejsze...” – zauważył. „Przestań! Nie jestem krową na targu – przerwała mu. – Krótko mówiąc wyobraziłeś sobie, że mógłbyś być moim mężem?” „Czy nie byłby to znakomity interes? Pomyśl. Znam wszystkie sprawy twego ojca, umiałbym je wszystkie przejąć. Cóż, chyba zdajesz sobie z tego sprawę, że twój stary może w każdej chwili wykitować? – Wobec niej usiłował zawsze dostosować się do młodzieżowej gwary. – Pieniądzy ma dużo, ale wszystko jest ulokowane. Nie może być przerwy w obrocie. Ja bym potrafił rozwinąć interes. Jemu już zaczyna brakować oddechu.

Miałabyś forsę w dalszym ciągu po dziurki od nosa...” „A nie myślisz, że w małżeństwie ludzie powinni się kochać?” „Co z tobą, Teresa? Kochać się? Głupie słowo. Kochać się, to znaczy tylko... – Zrobił gest i parsknął śmiechem. – Wiesz o tym dobrze, nie jesteś niewiniątkiem. Wiem, że próbujecie wszystkiego w tej waszej bandzie. Dobra, dobra! Sam bym się tak bawił, gdybym mógł i miał czas. Kiedyś jeszcze sobie użyję. Teraz muszę robić to, co robię. Lubię to zresztą. To jest życie, jak się kieruje takimi sprawami. Ale wcale nie chciałbym, abyś się czuła z tego powodu skrzywdzona. Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś się bawiła. A forsę miałabyś jak teraz albo i więcej. No i co powiesz na to?”

Nadał się, siedział przed nią wyprostowany, błyskając białymi zębami i śnieżną koszulą. Nie wiedziała, na co ma większą ochotę: trzasnąć go w urodziwą twarz, czy po prostu wykpić. Benuzzi był w ich wieku, a przecież odruchowo zaliczała go do starych.

Powstrzymała ją myśl, że jeżeli z nim zerwie, utraci źródło informacji. A poza tym bawiła się ciągnięciem tej gry. Powiedziała naśladowując cyniczny i rzeczowy ton mężczyzny: „No cóż, postawiłeś rzecz otwarcie, muszę ci odpowiedzieć tak samo. Najgorsze jest to, że mi się nie podobasz... Po prostu nie jesteś w moim typie...”

Benuzzi najpierw się skrzywił, potem jednak rozjaśnił twarz. „Ale widzę, że forsa podoba się nam obojgu. Co, nieprawda? Ja także znam dziewczyny, które są bardziej w moim guście niż ty. Lubię pełniejsze, tu i tu... Ale powiadam: nie o to chodzi... Za to nikt jak ja nie pociągnie tego interesu...”

Wakacje minęły, widywała się teraz rzadko z Benuzzim. Ale kiedy się spotykali, powracał za każdym razem do swojego projektu. Bawiło ją to. Zauważyła, że nie mówi już teraz o tym, że podobają mu się dziewczęta w innym niż ona typie. Jeszcze trochę – myślała – a gotów zacząć udawać, że mnie kocha. To by był ubaw!

Pewnego dnia Benuzzi zadzwonił, że ojciec wzywa ją do Mediolanu. „Przyjedź, twój ojciec będzie musiał udać się na kurację do sanatorium. Chce z tobą porozmawiać. Będiesz mu mogła przedstawić nasze projekty. Lepiej, jak to wyjdzie z twojej strony”. Przyjechała, ale kiedy zjawiała się w biurze, ojciec miał jeszcze konferencję. Wyszedł do niej Benuzzi. „To potrwa jakiś czas. Ojciec mówił, abym cię zabrał tymczasem do restauracji. Nawet dobrze się składa. Obgadamy całą sprawę. Musisz to załatwić koniecznie dziś”.

Benuzzi wyglądał na podnieconego. Pośpiesznie zamówił wino i potrawy. Przekładał z ręki do ręki serwetkę. „Słuchaj – zaczął, gdy tylko kelnerzy oddalili się od stolika – musisz dziś sprawę przedstawić i załatwić. Ten wyjazd, to koniec. Sanatorium, do którego go wysyłają, to zwykła trupiarnia. Taka, co to się wykańcza facetów w podskokach, z piosenką na ustach. Rozumiesz? A myśmy zaczęli wielki interes. Kapitalny. Sam go wymyśliłem. To mój pomysł. Będą z tego grube miliardy. Nieprędko ktoś na coś podobnego wpadnie. Mam do

tego głowę...”

„Co to za interes, Ugo?” Zwykle więcej bawiły ją rojenia Benuzziego o ich małżeństwie niż opowieść o interesach. Nie chodziło jej nigdy o szczegóły. Czasami wydawało jej się, że woli o nich nie wiedzieć. Ale tym razem zapytała wprost. Benuzzi zaśmiał się triumfująco. „Masz rację – powiedział – powinnaś o tym wiedzieć. Staniesz się niedługo właścicielką całego kramu. To znaczy staniemy się oboje. Ja ten interes wymyśliłem i ja go poprowadzę. A twojemu staremu możesz napomknąć, że wiesz, kto to wymyślił”. Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że go nikt nie podsłuchuje. Odsunął od siebie talerz, aby móc swobodnie gestykulować.

„Interes jest świetny – zaczął. – Coś zupełnie nowego... Wiesz na pewno, że teraz wszystkie kraje bawią się w sprawy atomowe. Oczywiście w tajemnicy przed drugimi. Ci drudzy wiedzą, że tamci coś robią, i naturalnie podejrzewają ich, że fabrykują bombę atomową. Na wszelki wypadek robią także swoją. Z tej produkcji zostają odpadki. Niebezpieczne, bo radioaktywne. Nie wiadomo, co z nimi robić. Nikt nie wie naprawdę, jak bardzo są szkodliwe, więc nie chce ich trzymać na swoim terytorium. Cicho każdy stara się ich pozbyć. W tajemnicy wywozi się je na ocean i topi. Ale ryby zaczęły zdychać i rzecz się wykryła. Zaczął się krzyk. Najgłośniej, oczywiście, krzyczą ci, którym wysypano odpadki w pobliżu brzegu albo na ich łowiskach...”

„Wiem o tym – powiedziała – i my protestowaliśmy w tej sprawie”.

Spojrzał na nią i wybuchnął śmiechem. „Bardzo dobrze – rzekł. – Mieliście rację. Protestować trzeba. Ale, widzisz, trzeba także ludziom pomóc. Bo co naprawdę robić z tymi cholernymi odpadkami? Dziś każdy kraj boi się wywozić je własnymi statkami, aby go na tym nie złapano. Trzeba kogoś, kto by się zajął czarną robotą. A przy tym można zarobić. Bo jak ktoś nie chce, żeby mu te odpadki wysypano pod nosem, chętnie zapłaci...”

Podniosła głowę. Przeciągnęła się jak kotka. „Daj papierosa. Zaczynam już odgadywać, na czym polega ten twój interes”. „Sprytna jesteś – pochwalił ją. – Oczywiście nasze statki pracują na własne ryzyko. Ludzie są pewni, dobrze płatni. Jeśli nawet złapią którego, nie skompromituje koncernu. Mówię ci: interes, jakbyś znalazła kopalnię złota we własnej piwnicy”.

„Chyba masz rację – przyznała spokojnie. Chwilę milczała. – O czym ojciec chce ze mną mówić?” – zapytała.

„Chce ci na pewno powiedzieć o swojej chorobie. Także o tym, co masz robić na wypadek jego śmierci. Choć go lekarze pocieszają, coś niecoś podejrzewa. No i musisz mu powiedzieć, że chcesz zostać moją żoną...” „Wie coś o twoich planach?” „Domyśla się chyba. Często go podprowadzałem”. „Co o tym myśli?” „Nic nie mówił. Na pewno chce najpierw rzecz uzgodnić z tobą. Wymyślił także jakiegoś opiekuna dla ciebie...” „Po cholere mi opiekun? – rzuciła nagle rozgniewana. – Kto to taki?” „Kolega z dawnych lat. Szukamy faceta od kilku tygodni po całym świecie. Nie złość się. To nie ma żadnego znaczenia, nawet jeżeli go znajdziemy. Tylko powiedz, że będziesz moją żoną”. Spojrzała na zegarek. „Chyba już czas, Ugo? Wracajmy”.

Dlaczego w tej cichej kaplicy pojawiła się nieoczekiwanie pamięć o ojcu? Silna, nie dająca się odepchnąć. Dlaczego myślała o człowieku, do którego zawsze czuła coś niby odrazę, a którego obecnie nienawidziła? Podświadomie, nie wiedząc nawet dlaczego – przeciwstawiała go nie znanej matce. Ojciec, gdy mówił o matce, wyrażał się zawsze z czcią i z miłością. Ona jednak ułożyła sobie w głowie, że jej rodziców musiało coś dzielić. W miarę jak rosła jej niechęć, skłonna była uważać, że wczesna śmierć matki była wywołana winą ojca.

Po raz pierwszy obudziła się w niej wątpliwość. Uświadomiła sobie, że właściwie

o tym człowieku nie wie. Może ojciec – pomyślała – tak bardzo cierpiał z powodu śmierci matki, że uciekając od bólu i samotności pogрузił się całkowicie w interesach? Może jedne interesy wywoływały drugie, a on nie potrafił się z tego wyplątać?

Wyszła z kaplicy razem z zakonnice. Siostry w milczeniu kłaniały się kiwnięciem głów i odchodziły do swych cel. Teresa została sama z przełożoną.

– Więc chce pani jutro odjechać?

- Muszę odjechać! – chciała to powiedzieć zwyczajnie, a przecież w jej głosie zabrzmiał żal – najchętniej nie wróciłabym wcale...

Przełożona patrzyła na nią. Jej jasne oczy za szklami okularów w taniej oprawie były pełne współczucia. A jednak Teresa czuła, że te dobre oczy potrafią być także pełne nieustępliwej woli.

– Wszystkie siostry modliły się dzisiaj za panią – powiedziała. – Chciałybyśmy pani pomóc. Coś mi się wydaje, jakby pani stała na progu decydujących postanowień. Jeżeli tak, niech pani stara się zachować spokój i cierpliwość. Proszę się nie śpieszyć. Niech pani dobrze odpoczywa. Boję się, że nocne hałas nie pozwalają pani spać..

– Siostry wstają każdej nocy?

– Mamy swoje modlitwy. A także gdy kto zachoruje w okolicy, ludzie przybiegają do nas prosić o pomoc. Dziś w nocy będziemy prawie na pewno wzywane. Babka małego Ahmeda jest umierająca...

– A lekarz?

- Na całą oazę jest tylko jeden: lekarz kobieta w ośrodku zdrowia. Dzielna dziewczyna. Ale do starych ludzi rzadko ją wzywają. Trochę może dlatego, że starzy nie uznają kobiet lekarzy. A także i z innego powodu. Tutaj uważa się, że gdy człowiek jest stary, nie powinno mu się za wszelką cenę przedłużać życia. Nikt tu nie chce lekarstw, które

podtrzymują życie kosztem odebrania świadomości. Ludzie umierający chcą wiedzieć, że umierają.

– Więc po co wzywają siostry?

– To co innego. Umierający chcą czuć przy sobie ludzi. Chodzi o obecność, znowu tylko o obecność – uśmiechnęła się.

– I tylko po to, aby być przy umierającej, siostry pójdą w nocy?

– Jeśli nas zawołają, oczywiście, pójdziemy. To nasze zadanie. Po to tu jesteśmy.

– Proszę mi pozwolić, bym poszła z wami! – rzuciła prędko.

– Pani chce iść do umierającej kobiety?

– Chcę.

– Wolno spytać dlaczego?

Rozłożyła ręce.

– Naprawdę to nie wiem – powiedziała. – A jednak chciałabym pójść. Wie siostra, może dlatego, że nigdy nie widziałam śmierci. Przecież trzeba chyba wiedzieć, czym jest śmierć?

Jasne oczy przełożonej pełne niezwyklej uwagi utkwione były w twarzy Teresy.

Skinęła głową.

– Obudzę panią – rzekła.

Nie musiała jej budzić. Teresa zerwała się sama, gdy tylko odezwał się dzwonek.

Pospiesznie wciągnęła spodnie, nałożyła wiatrówkę. W sieni przełożona rozmawiała z arabskim chłopcem. Spojrzała na wchodzącą Teresę.

– Wstała pani? Naprawdę chce pani iść?

– Mówiłam siostrze.

– W takim razie nie będę brała towarzyski. Reguła żąda, abyśmy nocą chodziły zawsze we dwie. Ale siostry są zmęczone. Nie będzie pani miała nic przeciwko temu?

– Ale skądże!

– Dziękuję. Wobec tego idźmy od razu. Proszę, niech pani okryje się tym burnusem.

Noc jest bardzo zimna.

Noc była rzeczywiście lodowata, wysrebrzona poświatą. Przestrzeń wydawała się pełna niby delikatnego szkliwa napelnionego blaskiem. Każdy kształt był jednocześnie cieniem i połyskującą smugą. Chłopiec szedł przodem, kobiety za nim. Nikt nic nie mówił, w ciszy słychać było wyraźnie szurgot kroków. Skalisty mur leżał przed nimi czarnym zwałem. Nad jego krawędzią niebo było rozjaśnione, jakby gdzieś tam pustynię leżącą na skałach trawił pożar.

Teresa czuła, jak jej bije serce. Była podniecona własną decyzją. Nie widziała nigdy prawdziwej śmierci, nie zdarzyło się jej nawet zobaczyć umarłego człowieka. Była zbyt małym dzieckiem, kiedy umarła matka. Nie pokazano jej zwłok. W jej pamięci został jedynie długi kształt trumny. A przecież o śmierci mówiło się bezustannie. Ciągle gdzieś toczyły się wojny, zbrojne konflikty, krwawo tłumione demonstracje. Zdarzały się katastrofy. Usłużna telewizja oraz prasa dostarczały zdjęć. Trupy, trupy, trupy. Ludzie na chwilę przed śmiercią, ludzie zaraz po śmierci... Tamte obrazy naśladował film. Nie żałowano czerwonej farby.

Inscenizowano tortury. Silono się, by pokazać rzeczy najokrutniejsze. Zanim je pokazano, ekscytowano publiczność anonsami, ostrzegającymi ludzi wrażliwych przed scenami, które zobaczą. Zabijano nawet w farsach i komediach. Dzieci strzelały do siebie z dzieciennych pistolecików...

Ale prawdziwej śmierci nie oglądało się. Ludzie, którzy mieli umrzeć, byli w porę odwożeni do szpitali. Pogrzeby odbywały się coraz bardziej dyskretnie. Ludzie po prostu znikali... Pamiętała, że kiedy Roberto dostał swego ataku, a ona myślała, iż umiera, ogarnęło ją takie przerażenie przed tym, co miała zobaczyć, że aż ten lęk przygłuszył rozpacz. Śmierci ciągle nie widziała – a przecież przechodziła ona teraz ciągle o parę kroków od niej. Salwa na placu Weneckim... Niebezpieczeństwo, o którym mówił Dino...

To, co знаła jedynie z filmu, pojawiło się gdzieś, blisko niej. Nie wierzyła filmom. Wiedziała już, że nie mówią prawdy o miłości. To, co w filmach nazywało się miłością, nie było nią wcale. To była pułapka na naiwnych. Przekonała się o tym na Sycylii. Czyżby nieprawdą było także to, co filmy mówiły o śmierci?

Szli ciągle w milczeniu. Ścieżka prowadziła wzdłuż jakichś opłotków i murków z gliny. Skręcili przy kępie krzewów. W głębi małego podwórka stał mały domek. Kanciasty, przykurczony. Chłopiec odwinął płachtę zastępującą drzwi, dał znak ręką, aby weszły do środka.

Wnętrze oświetlała turystyczna lampa gazowa stojąca na ziemi. Na niskim pościu ktoś leżał. Ponad okryciem widać było tylko siwe włosy związane w pęczek. Otaczając pościu i lampę, kręgiem siedzieli ludzie: dorośli i dzieci. Nikt nic nie mówił.

Przełożona usiadła na ziemi, Teresa obok niej. Umierająca Poruszyła się. Jej twarz wysunęła się spod okrycia. Miała oczy Przymknięte, rysy ostre. Duży nos wyginał się nad zapadniętą, bezzębną szczęką i sterczącą brodą. Oddychała ciężko. Żyła, lecz jej życie

skierowane było całkowicie do wnętrza. Nie dostrzegając zebranych ludzi, nawet nie spoglądała w ich stronę. A jednak musiała być przytomna. Coś ważnego, najważniejszego rozgrywało się w niej. To jedynie absorbowało całą resztkę tłącego się w niej życia. Inne sprawy były już nieważne. Sponad ramienia przełożonej Teresa patrzyła chciwie na twarz kobiety. Była to pierwsza odkryta twarz kobieca, którą tu zobaczyła, poza twarzami sióstr. Ściągnięta i wychudła, zachowała dumne rysy matki rodu. Wyblakły ornament, jakby narysowany błękitnym ołówkiem, biegł przez policzki, czoło, nasadę nosa. Przy uszach pozostały wielkie złote koła, teraz leżały na poduszce obok głowy kobiety.

Oddech na chwilę przystanął niby u budzącego się człowieka. Wargi poruszyły się, jakby czegoś szukały. Uniosła powieki odkrywając wielkie, czarne oczy. Przełożona na kolanach zbliżyła się do posłania. Wzięła małą, płaską czarzkę, stojącą na ośmiokątnym stolyczku i przytknęła do warg kobiety. Umierającą ciężko przełknęła jeden łyk. Potem woda popłynęła po brodzie. Siostra wytarła jej szybko usta, zabrała czarzkę. Patrzyła na kobietę, a kobieta na nią. Teresie wydało się, że po poważnej, boleśnie skurczonej twarzy umierającej przemknął promyk blasku. Powykręcane w stawach palce wynurzyły się na moment spod okrycia. Dotknęły czegoś na piersiach, co wydało lekki chrzęst. Wyglądało tak, jakby kobieta miała na szyi różaniec. Przełożona skinęła głową. Powiedziała coś cicho, czego Teresa nie dosłyszała. Palce kobiety tarły znowu chrzęszczące ziarenka. Duża dłoń o pomazanych na czerwono paznokciach spoczęła na dłoni zakonnicy. Kobieta wolno zamknęła oczy.

Przełożona została przy posłaniu. Ludzie wokoło siedzieli ciągle cicho, tylko jakieś niemowlę zaczynało co pewien czas płakać, ale zaraz matka uciszała je huśtaniem na rękach. Dwie młode kózki przechodziły między ludźmi, przepychały się uderzeniami łebków i cicho tupwały małymi kopytkami. Było gorąco i niemożliwie duszno. Teresie kręciło się w głowie. Teraz dopiero zauważyła, że także większość kobiet w chacie siedziała z odkrytymi twarzami.

Ich twarze były dziwnie blade; odbijały swą białością od ciemnych twarzy mężczyzn. Przez każdą twarz biegł podobnie jak przez twarz umierającej błękitny deseń.

Czas płynął. Mijały minuty, kwadransy. Czy po to przyszedliśmy tutaj – przelatywało Teresie przez głowę – aby tak siedzieć? Jam daleko, w jej świecie, działo się na pewno wiele spraw. Co się mogło stać na lotnisku? Czy Dino dał sobie radę z Mohammedem? Czy rzeczywiście jej nieobecność pozwoliła mu wygrać? A może stało się inaczej? Czy naprawdę groziło jej coś z ręki kulawego mężczyzny? Niebezpieczeństwo, którego uniknęła, budziło w niej nie obawę, ale refleksję. Życie nie mogło się kończyć tak filmowo. Śmierć nie mogła być po prostu znikaniem – myślała. – Musi być rozrachunkiem... Takim, jakim jest to powolne dopalanie się ludzkiego życia tutaj...

Znowu mijały kwadransy, może godziny. Umierająca leżała spokojnie, jednak jej dłoń wciąż była zaciśnięta na dłoni przełożonej. Także jej usta poruszały się lekko, jakby coś powtarzała. Czyżby modliła się? A może modliły się obie, dotykając palcami tych samych ziarenek. Przypomniała sobie, co jej opowiadała przełożona; że ich założyciel uczył tutejszych mahometan odmawiania różańca, a nawet rozdawał różańce. Ułożył słowa, które mają mówić: na małych ziarenkach – „Boże, kocham Ciebie”, na dużych – „Boże, kocham Cię całym moim sercem...”

I znów minął jakiś czas – czas jednocześnie i długi, i krótki. Usta umierającej już się nie poruszały. Rozchylone chwytaly ciężko oddech. Nagle wydało się Teresie, że sterczący nos kobiety napiął się tak bardzo, że aż stał się biały. Dwukrotny skurcz, jakby wywołany bolesnym uderzeniem, skrzywił twarz. Potem zaraz w izbie wybuchły lament, krzyk, zawodzenie. Kobiety płacząc kiwały się, uderzały czołami o ziemię. Niektóre gwałtownym szarpnięciem odkrywały piersi, uderzały w małe bębny lub naczynia metalowe. Trwał zamęt i hałas, jakby coś wyzwoliło się, jakby wszyscy czekali tylko na tę chwilę, żeby odrzucić

dręczące ich tyle godzin milczenie...

Przełożona wstała z klęczek. Z pewnym wysiłkiem wyszarpnęła dłoń z dłoni zmarłej.

Poszukała wzrokiem Teresy, dała jej gestem znak, że mogą już iść. Nikt ich nie odprowadzał, chłopiec, który z nimi przyszedł, bił teraz z zapalem kijem w jakiś garnek.

Wyszły z domu. Noc ciągle jeszcze nie utraciła swej szklistości. Czas, który wydawał się Teresie taki długi, był w rzeczywistości zupełnie krótki. Tylko zimno wydawało się jeszcze bardziej dokuczliwe. I teraz idąc, nic do siebie nie mówiły. Nie spotkały nikogo.

Na progu domu przełożona położyła rękę na ramieniu Teresy.

– Dziękuję ci, dziecko – powiedziała z serdecznością. – Było mi przyjemnie, że to właśnie ty byłaś ze mną. Niech ci Bóg wynagrodzi. Niech ci da dużo, dużo światła. Niech ci powie...

Nie dokończyła ostatniego życzenia. Zmieniła ton:

– Proszę się teraz położyć i spać. Jeśli masz jutro jechać, musisz dobrze wypocząć.

Teresa pochyliła głowę. Przełożona po raz pierwszy zwracała się do niej w ten sposób.

Sprawiło jej to nieoczekiwaną radość. Jeszcze mocniej odczuła żal, że wyjeżdża. Tam nie ciągnęło jej nic. Rewolucja młodych, Dino... Wszystko to wydawało jej się dziwnie blade i nierzeczywiste w zestawieniu z tym, co przeżyła tutaj. Skalny zrąb tworzący na horyzoncie czarną linię był niby próg innego świata. Gdy go jutro przekroczę – myślała – tamto mnie znowu wchłonie. A ja nie chcę! Będę tam teraz człowiekiem zabłąkanym. Tego, co tu doznałam, nie zapomnę nigdy. Nigdy!

Gdy jadła śniadanie, rozległ się przed domem sióstr warkot auta. Siostra Klara poszła wyrzeć, a po chwili, wróciwszy, powiedziała:

– To ci panowie przyjechali po panią.

Dopiła spieszenie. Wstała. Jedna z sióstr pobiegła po jej torbę i wiatrówkę i podała jej z uśmiechem. Wszystkie patrzyły na nią uśmiechnięte życzliwie. Przełożona powiedziała:

– Mówiłam ci o tym, moje dziecko, i jeszcze raz powtarzam: będziemy o tobie pamiętać. Będziemy się modliły. Ty także nie zapominaj o nas. I jeśli odkryjesz kiedyś, czym jest modlitwa, pomódl się i ty. Gdybyś chciała kiedyś tu do nas przyjechać, pamiętaj, że zawsze będziesz oczekiwana. Nie tylko dlatego, że nasz dom jest otwarty dla wszystkich. Czasy się zmieniają, może niejednej z nas tu nie będzie wtedy, ale póki znajdzie się choć jedna z tych, które są teraz – zrobiła gest obu rękami – możesz przyjść jak do sióstr. Pamiętaj o tym.

Położyła dłonie na jej ramionach, zbliżyła twarz do jej twarzy.

– Wracaj do swoich i bądź zdrowa. Niech odejdą od ciebie lęki i troski, które cię niepokoją. Pokochaj to, co powinnaś pokochać. Zajrzyj w swoje serce, a wtedy dozna ono oczyszczenia. Kiedyś, gdy jeszcze nie przyszłam tutaj – zacisnęła na chwilę mocno usta, jakby chcąc je powstrzymać przed drżeniem – chciałam mieć córkę... To naturalne pragnienie każdej z kobiet. Nie daj w sobie tego pragnienia zabić. Nie pozwól wytłumaczyć sobie, że miłość ma być ciasna i mała. I umiej, gdy Bóg tego zażąda, wyciągnąć konsekwencje... – Tym razem usta zaczęły dygotać. Jeszcze szepnęła: – Niech cię Bóg strzeże, drogie dziecko...

Poczuła suche wargi zakonnicy na swym czole. Nagłym gestem pochyliła się i mimo sprzeciwu przełożonej przycisnęła jej dłoń do ust. Nie pamiętała, aby – odkąd się czuła dorosła – pocałowała kogoś w rękę.

Przed domem stała ta sama, kawowej barwy terenówka. Było w niej tylko dwóch ludzi: Ali i ten, który wtedy parzył miętową herbatę. Wiedziała już, że się nazywa Bu Hama. Jak poprzednio zajęła miejsce z przodu. Wszystkie siostry wyszły przed dom, aby jej pomachać na pożegnanie dłońmi. Z większością nie zamieniła więcej niż kilka słów, a przecież wydawało jej się, że ich twarze zna od lat. Że są one naprawdę jej siostrami.

– Możemy jechać? – zapytał Ali.

– Tak, jedźmy.

Auto ruszyło, podnosząc za sobą długi ogon pyłu. Ledwo ruszyli – obejrzała się, ale nie zobaczyła już nic poza kłębiącym się tumanem.

– Nie żałuje pani, że pani tu do nas przyjechała? – zapytał Ali pochyliwszy się ku niej.

– Nie – odpowiedziała nie patrząc na niego; ani na chwilę nie chciała oderwać wzroku od widoku oazy. – Nie tylko nie żałuję, ale jestem panom bardzo, bardzo wdzięczna. Wydaje mi się, że gdybym tu nie przyjechała i gdybym nie zobaczyła tego, co widziałam, byłabym...

byłabym... – szukała chwilę właściwego określenia – byłabym mniej człowiekiem...

– Pani ma rację – rzekł Ali. – Kto wie, czy ludzie nie będą musieli przyjeżdżać na Saharę, aby pozostać ludźmi?

– Pod warunkiem, że Sahara zostanie tym, czym jest. Jeśli zachowa swą ciszę. Bo jeżeli pokryją ją fabryki i góry śmieci...

Jeśli... jeśli nie zwyciężą ludzie jak Mohammed! – rzuciła z nagle obudzonym gniewem.

Odpowiedział jakby z lekką melancholią w głosie:

– Ludzie jak Mohammed mogą być drażniący. A jednak za nimi stoją miliony głodnych, potrzebujących...

– Za ludźmi jak Mohammed? – zbuntowała się. – Ależ dla niego istnieje tylko własna

wygoda, przyjemność, okazja do chwaleń się...

– Ludzie często źle reprezentują sprawę – przyznał. – A jednak sprawa istnieje.

– Więc pan także chce zniszczenia Sahary? – wybuchnęła. – Myślałam, że pan jest inny!

Nie odpowiedział. Auto miało właśnie zakręt u stóp wzgórza, na którym znajdował się cmentarz. Słońce wtedy układało się wałkami cienia pod mogilnymi kopczykami i zdawało się podnosić je w górę; teraz wygładzało je, spłaszczało, wtapiało w zbocze. Nad grobami płonęła błękitną bielą kaplica marabuta, niby latarnia z mlecznego szkła.

Jechali teraz prosto na różowopłowy mur skalny. Z każdą chwilą był bliższy. Nagle

i niespodziewanie droga zagubiła się wśród głazów. Znaleźli się niby w mrocznym tunelu.

Auto pędziło w górę cienistymi serpentynami. Ściany wąwozu o warstwicach to poziomych,

to ułożonych pionowo, miały dziwną barwę: mieniły się raz zielenią, w innym miejscu

błękitem lub kolorem pomarańczowym. Motor auta grał hałaśliwie. Jeszcze jeden zakręt

i wypadli znowu na słońce, a także na kamienistą równinę. Oaza pozostała w dole, skryta za

najeżoną głazami krawędzią urwiska. Przed nimi rozciągała się przestrzeń niezmierną,

sięgająca horyzontu, pokryta czarnopłowym kamiennym rumowiskiem.

– Nie chcę zniszczenia pustyni – rzekł Ali, teraz dopiero odpowiadając na jej okrzyk.

– Sprawa jednak nie jest prosta. O nie... Ludzie muszą żyć... Ale muszą także móc rozmawiać. Ze sobą i z Allachem...

– Jak to ze sobą pogodzić? – spierała się. – I czy można pogodzić?

Cofnął się i umilkł. Pędzili dalej. Auto nabrało zawrotnej szybkości. Na horyzoncie

pojawiły się ściany górskie. Teraz, gdy jechali pod słońce, wydawały się bardziej zwiewne

niż wtedy, gdy widziała je po raz pierwszy. Znowu tworzyły to zębaty mur, to rozpadały się

na łańcuch tępych stożków.

Ali coś powiedział do towarzysza i auto zaczęło zwalniać. Wreszcie stanęło.

Wiedziała już, że przyszła pora ich modlitwy. Dwaj mężczyźni w zabawnych spodniach wyszli na skraj drogi i stanęli twarzą do słońca.

Teresa pozostała przy aucie. Modlą się – myślała. – Siostry tam w dole modlą się na pewno także. Wszyscy się tutaj modlą. Czy można się nie modlić? Co ona mówiła, że kiedyś odkryję, czym jest modlitwa? Modlić się – to mówić. Ale do kogo? Cóż z tego, że czujemy potrzebę modlenia się, jeśli nie widzimy tego, do kogo trzeba się modlić?

Bo potrzebę czuła. Zwróciła się twarzą w blask, zaczęła powtarzać tak, jak jej powiedziała przełożona, że uczył ich założyciel: „Boże, kocham Ciebie”. Nie, wciąż jeszcze nie wiedziała, czy jest i gdzie jest ten Bóg, do którego się ludzie modlą. Nie wiedziała, a już zapragnęła Go kochać...

Nawet nie zauważyła, kiedy mężczyźni ukończyli swoje modlitwy i wrócili do auta.

– Wszystkie sprzeciwy można pogodzić, gdy się wybiera wolę Allacha – rzekł Ali, podejmując niespodziewanie swój dziwaczny dialog, przerywany długimi pauzami.

– Jak możemy wybierać to, czego chce, jeśli Go nie widzimy? – sprzeciwiła się.

– On jest w sercu człowieka.

– Nasze serca błądzą. Czy pan nigdy tego nie doświadczył?

– Każdy tego musi doświadczyć. Ale On prowadzi nas przez nasze błędy. W naszej porażce odnajdujemy rozwiązanie.

– Więc jeśli On tego zażąda, zniszczycie Saharę?

– Jeśli On każe ją oddać ludziom, odnajdziemy także i Jego... inaczej...

Nie powiedział nic więcej. Gestem wskazał jej auto. Wsiedli. Samochód ruszył.

Milczeli.

Znowu pustynia przesuwiała się przed oczami Teresy. Była taka sama, jak wtedy,

przed paroma dniami, a przecież była inna. Pojęła: wtedy jechała ku czemuś, co ją ciągnęło.

Teraz wracała do czegoś, co stało się jej zupełnie obce i wrogie. Walka, w której wzięła udział, wydawała się jej teraz bezsensowna. A jednak sprawy, które ją odpychały, wciągały znowu w swoją moc. Czy zdoła się im oprzeć, gdy wróci? Lecz czy może się zatrzymać? Czy może nie wracać?

Nad pustynią rósł upał. Rozpalone powietrze zaczęło drgać. Gdy wśród tych drgań zobaczyła w dali ciemną, odbijającą niebo plamę, przypominającą taflę wody, była pewna, że to pustynny miraż. Ale to była rzeczywistość. Naprawdę wśród kamieni leżało jeziorko o płaskich brzegach. Musiała go nie zauważyć poprzednio.

Po przeciwnej stronie jeziorka zobaczyła kilka wielbłądów, które piły wodę. Obok kręcili się ludzie.

Spomiędzy tych ludzi ktoś nagle wybiegł, machając w ich stronę gwałtownie rękami.

Bu Hama zwolnił. Auto stanęło, kurz opadł. Teresa zobaczyła, że człowiek biegnie ku nim, wciąż dając im znaki. Gdy obiegł jeziorko i znalazł się na szosie, poznała go.

– Aldo? – powiedziała niedowierzająco.

Część czwarta

Była to druga noc spędzona w hangarze. W ciągu dnia wewnątrz pełne było duszącego żaru. Wieczorem, gdy strażnicy zamknęli bramę, duchota wzmogła się. Powietrze stało się gorące, prawie dotykalne. Ciężkie zapachy, jakie upał wydobył ze stojących w głębi hangaru beczek, pudeł i śmieci, dławili.

W jakiejś chwili brama skrzypnęła i uchyliła się. Ktoś wsunął się do środka. Trzymał zapaloną latarkę, która oślepiła, lecz nie zdradzała, kim jest. Andrzej posłyszał, że człowiek wymawia jego nazwisko. Dźwignął się z ziemi. Bolała go głowa i miał zawroty.

– Jestem – powiedział.

Przybyły dotarł do niego. To był ten chłopak, który rano z nim rozmawiał.

– Przyniosłem panu coś do picia i do jedzenia – rzekł. Wcisnął Andrzejowi w rękę dwie butelki i jakąś paczkę. – Och, jak tu okropnie śmierdzi. Prosiłem, aby otworzyli bramę, żeby wywietrzyć. Ale udają, że nie rozumieją, co im mówię. Nie chcą rozumieć.

– Coś niedobrze układają się wasze sprawy z sojusznikami?

Chłopak ściszył głos, mówił szeptem, który mógł słyszeć tylko Andrzej.

– Niedobrze. Ale niech pan będzie spokojny. Może już jutro...

Znacząco ucisnął Andrzejowi rękę i poszedł do wyjścia.

Zniknął za uchyloną bramą. Wartownicy jednak pozostawili na pewien czas uchyloną bramę i dzięki temu atmosfera w hangarze stała się znośniej sza. Zresztą razem z mrokiem nadszedł chłód. Gorąco zaczęło ustępować, robiło się zimno. Wszedł wartownik, postawił na metalowej beczce zapaloną lampę. Powiedział jakieś ostrzeżenie, tak samo jak poprzedniego wieczoru, i pokiwał palcem. Andrzej domyślił się, że przypomina, aby nie zaprószyli ognia. Wyszedł i tym razem zamknął za sobą bramę. Szczęknięta zakładana sztaba. Zimno szybko wzrastało. Mimo wstrętu ludzie zaczęli wyciągać odsunięte na dzień do kąta brudne koce.

Wśród stękań i narzekań układano się na nich. Znowu słysząc było płaczący głos śpiewaka.

Przedtem na zmianę lamentował i odgrażał się. Teraz tylko lamentował. Znowu odezwały się uspokajające szepty dziewcząt. Ale ani ich słowa, ani pieśczoły nie ukoły go.

– Dajcie mi spokój – narzekał. – Odczepcie się. Oni mnie całkiem zniszczyli. Nie mam głosu. Całe ciało mnie boli. Nie będę już nigdy śpiewał. Nie będzie nigdy drugiego jak ja. Przestań mnie szarpać, głupia! Wy byście tylko ciągle to samo w kółko...

Andrzej chciał spać, ale sen nie nadchodził. Znadto bolała go głowa. Ten ból mącił bieg myśli. Choć czuł głód, nie mógł się przemóc, aby zjeść kanapki przyniesione mu przez chłopaka. Wypił tylko chciwie jedną butelkę coca-coli.

Człowiek leżący obok przysunął się do niego. To był dom Benedetto.

– Śpi pan?

– Nie śpię. Głowa mi pęka z bólu.

– Ja także czuję się fatalnie. Przepraszam, że pytam, ale czy ten człowiek, który przychodził do pana, coś może panu powiedział dotyczącego naszego losu?

– Nic dobrego. – Zbliżyli do siebie głowy, mówili szeptem. – Z tego, co powiedział, wynika, że ci, którzy nas porwali, są w konflikcie z tutejszymi. Z tymi Arabami. Tamci starają się być dla nas względni. Ale ci...

– Od razu to wyczułem...

– Powiedział jednak, żebyśmy byli spokojni. Dał do zrozumienia, że coś się zmieni.

Nie powiedział wyraźnie...

Ksiądz milczał. Ludzie w hangarze nie spali, wokoło słysząc było szepty. Raz po raz wybuchał rozdrażniony głos Motty:

– Mówię wam, dajcie mi spokój! Takiego jak ja nie było nigdy. A ci dranie zniszczyli mnie! No, no, tylko bez takich figłów... – Jedna z dziewcząt zachichotała, ton głosu śpiewaka

utracił swą opryskliwość. – Wiecie, powiem wam... – Teraz on coś mówił szeptem. Potem cała trójka wybuchnęła śmiechem.

– Ci się łatwo umieją pocieszyć – westchnął ksiądz. – Zazdroszczę mu...

– Czego? Tych dziewcząt?

– Drugiego człowieka. Pan tego nie odczuwa?

– Trudno mi powiedzieć. Nie byłem nigdy sam.

– Nigdy? To chyba wielkie szczęście. A ja, widzi pan, byłem zawsze sam. Zawsze sam, pan to rozumie? – Znowu tamci zanieśli się chichotem. – Nie mogę tego znieść... –

wzdrygnął się. – Tu nie chodzi tylko o to, co my nazywamy pokusami cielesnymi... – podjął.

– Z tym można sobie dać jakoś radę. Z samotnością nie.

– Myślałem, że księża znajdują w swej pracy jakiś ekwiwalent...

– Może... Może niektórzy... Ja nie. Nigdy. Nie jestem dobrym księdzem...

– Czy ksiądz nie osądza siebie zanadto surowo?

– Jeśli oskarżałem siebie, to zawsze za mało surowo. Mówię: jeśli... Bo przeważnie nie oskarżałem siebie o nic. Byłem z siebie zadowolony. A gdy mi coś nie wychodziło, umiałem zawsze znaleźć usprawiedliwienie. Zawsze... Byłem złym księdzem. Może nie takim, który popełnia wszystkie siedem grzechów głównych...

– Czy trzeba czegoś więcej?

– Naturalnie, że trzeba. Czy pan jest zadowolony ze swojej pracy?

– Na ogół tak. Pisałem książki, starałem się, aby były jak najlepsze... Oczywiście zawsze myślałem, że mogłyby być jeszcze lepsze...

– Ja zawsze chciałem być najlepszy...

– Więc nie rozumiem?

– Być może, że to wygląda inaczej w pracy pana, a inaczej w mojej. Chciałem być

najlepszy, aby być przez wszystkich ceniony, chwalony, podziwiany. Nie mogłem znieść, kiedy mnie ktoś krytykował. Ale innych krytykowałem. Moim zwierzchnikom wytykałem nieruchliwość, brak zrozumienia ducha czasu. Sam byłem ruchliwy, chwytalem się tysiąca spraw, o każdej rzeczy gotowy byłem dyskutować. A naprawdę to była ucieczka od samotności...

– Człowiek musi szukać sobie rekompensaty.

– Jeśli skazano nas na samotność, to widać dlatego, że jest nam ona potrzebna.

Musimy przejść przez samotność. Przejść... Aby nie być samotnym między ludźmi, każdy z nas musi wpierw przeżyć samotność z Bogiem. Są tacy, którzy tego nie wiedzą. Którzy nie rozumieją, dlaczego Bóg nas czasami otacza pustką. A ja wiedziałem... Wiedziałem, ale przestraszyłem się...

– Czego?

- Afryki... Głosiłem z wielkim zapałem, jak ważną sprawą są misje. Pisałem, wypowiadałem wielkie słowa, zachęcałem. Ale kiedy mnie samemu zaproponowano, abym przyjechał tutaj, cofnąłem się. Równie elokwentnie, jak poprzednio nawoływałem, teraz tłumaczyłem, że dzieją się w Kościele rzeczy wielkie, decydujące i byłoby rzeczą niesłuszną, aby ci, którzy mają coś do powiedzenia, zagrzebali się w jakiejś dzikiej głuszy. Czy pan rozumie, co to znaczy posłać innych w wielką drogę, a samemu pozostać?

Drgnął. Dotychczas słuchał słów księdza, jak rojeń człowieka chorego – ze współczuciem, ale bez zainteresowania. Teraz jednak zabrzmiało w tych słowach coś, co wstrząsnęło także nim samym.

– Dlatego tak mnie przestraszyło, że jesteśmy w Afryce...

Pan wie, dlaczego Jonasza połknęła ryba? Bo uciekał... Uciekał od tego, co mu kazano zrobić...

Głosy ludzi wokoło zaczęły cichnąć, przemieniać się w senne sapanie i chrapanie.

Tylko tamta trójka nie mogła się uspokoić.

– Ja was nauczę jednej sztuczki... – mówił śpiewak. – No, która chce pierwsza?

Ksiądz wreszcie ucichł. Coś szeleściło wśród puszek w kące. Andrzej chciał za wszelką cenę zasnąć. I w końcu udało mu się.

Obudziło go trącenie w ramię. Niechętnie uniósł głowę. Sen był nieoczekiwanie mocny.

– Niech pan posłucha – usłyszał szept dom Benedetta.

Gdzieś w pobliżu hangaru warczały ciężko jakieś auta. Nadjeżdżały i zatrzymywały się z ostrym piskiem hamulców.

– Ktoś przyjechał...

Ten warkot obudził także innych. Podniosły się głowy. Usłyszeli, jak wartownicy przed hangarem coś do siebie mówią.

– Może to ktoś przyjechał, aby nas uwolnić? – rzekł głos pośrodku hangaru.

– Na pewno! Mówię wam, że to po mnie! – tym razem zawołał Motta.

Głosów w hangarze odzywało się coraz więcej:

– Tu przecież był samochód...

– Odjechał w ciągu dnia. I to była mała terenówka. A to są duże, ciężkie auta. Co najmniej dwa.

– Albo i trzy.

– Chyba wojskowe półciężarówki.

– Mówię, że to przyjechali nas uwolnić.

– Która to godzina?

– Po trzeciej. Już blisko dnia...

I wtedy nagle zaterkotały pistolety maszynowe.

W pobliżu budynków lotniska musiała się toczyć walka. Pistolety krztusiły się zjadłymi, krótkimi seriami. Rozległo się kilka ciężkich eksplozji.

Zakładnicy zerwali się na nogi. Przysłuchiwali się dźwiękom bliskiej walki, które w pustce pustyni rozchodziły się szeroko.

– Kto to mógł przyjechać? – krzyżowały się pytania.

– Co się tam dzieje?

– Biją się ci, co przyjechali...

– Na pewno chcą nas uwolnić.

– Lepiej by się ułożyli po dobremu. Z takiej strzelaniny nic dobrego nie wyniknie...

– Właśnie. Pamiętacie, jak to było na tym lotnisku?

Strzelanina, która początkowo wydawała się jakby rozrzucona na dużej przestrzeni, teraz zdawała się coraz bardziej skupiać w jednym miejscu. Nie traciła ani trochę na swej intensywności. Serie były krótkie, mówiące o walce z bliska. Znowu rozległo się kilka eksplozji, aż zadźwięczała brama hangaru.

Posłyszeli szybkie kroki kogoś nadbiegającego. Jakiś człowiek dopadł wartowników przy bramie. Tamci go o coś gwałtownie pytali, on im odpowiadał głosem rwanym przez zadyszkę.

– Co oni mówią? – pasażerowie dopytywali się wzajemnie. – Co oni mówią?

– Trzeba posłuchać. Ale cicho!

Kilku mężczyzn przysunęło się do samej bramy, przyłożyło prawie uszy do zżartej przez rdzę blachy. Ale po chwili jeden z nich powiedział głosem pełnym zawodu:

– Niestety, mówią po arabsku.

– Nic nie można zrozumieć.

– Uwaga! Ktoś znowu biegnie.

Tym razem nadbiegło kilku. Kroki były ciężkie, ludzie dyszeli, jakby dźwigali coś ciężkiego. Rozmawiali z wartownikami, czymś chrzęścili, coś gorączkowo rozstawiali. Padały krótkie, gardłowe słowa. Terkot peemów odezwał się gdzieś blisko.

– Słuchajcie! Tamci podchodzą! – zawołał któryś z pasażerów.

Musieli chyba podchodzić. Strzały rozlegały się coraz bliżej. Także ci za bramą zaczęli strzelać. To, co przynieśli, musiało być karabinem maszynowym, bo nagle tuż za bramą wybuchnęła długa seria, głośna i twarda, a kilka wyrzuconych łusek uderzyło z metalicznym dźwiękiem w drzwi hangaru. Jednak ogień karabinu maszynowego widać nie zatrzymał atakujących, bo serie peemowe smagnęły po ścianie hangaru. Pociski, które szły niżej, uderzały w kamienną podmurówkę. Ale kilka przebiło słabą ściankę i zagwizdało nad głowami więźniów.

– Na ziemię! – ktoś krzyknął. – Kłaść się! Wszyscy na ziemię!

Ci i tamci rozplaszczyli się na betonowej posadzce. Ktoś potrącił stojącą na beczce lampę, która już się zresztą dopalała. Płomień zgasł, hangar ogarnęły ciemności. Jedni leżeli, inni depcząc po leżących szukali dla siebie miejsca. Coraz więcej pocisków przebijało ścianę hangaru. Bzykały w ciemnościach niby rozjuszone osy. Karabin maszynowy za bramą zanosił się długim skowytem.

– O, Boże! Dostałem! – zawołał jakiś głos. Na kłębiących się w ciemnościach ludzi tryskała krew. – Ręka, ręka! – zawodził zraniony. Nikt mu nie mógł pomóc. Pociski ciągle gwizdały, strzelanina zdawała się otaczać hangar półkręgiem.

– Nie wstawać! Leżeć!

Andrzej domyślił się, że ostry rozkazujący głos należy do kapitana samolotu. Ale w tej samej chwili rozległo się długie, bolesne wycie. Ktoś znowu został trafiony. Tam, skąd

dochodził krzyk, kłębili się w ciemnościach ludzie.

– Marcello! – nad strzelaniną i zgiełkiem zapanował wrzask kobiety. – Pomocy!

Ludzie! Pomocy! Marcello!

– Nie wstawajcie! Zajmijcie się nim, ale nie wstawajcie! – znowu rozległ się głos kapitana. – Leżeć!

Śpiewak nie przestawał wyć. Dziewczęta wołały:

– Ranny w brzuch!

– Nie możemy mu nic pomóc bez światła!

– Zapalcie światło!

– I stukajcie! Niech oni otworzą!

– Czy nikt nie ma zapalek? – pytał kapitan, przekrzykując hałas strzelaniny.

– Przecież pozabierali...

– Ja mam – zawołał Andrzej. Ten chłopak dał mu papierosy i pudełko zapalek.

Pudełeczko wędrowało z ręki do ręki. Strzelanina nie ustawała, ale pociski przestały bzykać w hangarze. Karabin maszynowy ciągle strzelał, peemy natomiast nieco przycichły. Ktoś w pobliżu wyjącego ciągle Motty zapalił skręcony kawałek papieru. Blask oświetlił stłoczonych ludzi. Tamci wokół rannego uklękli i cienie ich głów pojawiły się na ścianie hangaru. Jedna z dziewczyn szlochała:

– Boże, tyle krwi... Tyle krwi... Boże, Boże...

Papierowa pochodnia paliła się tylko przez chwilę i zaraz zgasła. Ranny dalej wył.

– Pójdę tam do niego... – Andrzej posłyszał obok siebie głos dom Benedetta.

W ciemnościach ludzie czołgali się w różnych kierunkach. Znowu zapłonęło światło.

Ktoś zmajstrował rodzaj pochodni z nasyczonej smarami ścierki, przywiązanej do kija. Na ścianie hangaru plątały się cienie głów. Coś robiono przy rannym. Po chwili Motta przestał

wyć – już tylko jęczał.

Andrzej pozostał na miejscu. Nie znał się na opatrunkach, nie znosił widoku krwi.

Gdy inni zajmowali się rannymi, on przysłuchiwał się walce. Niewątpliwie zaszła w niej jakaś zmiana. Pociski już nie trafiały w ścianę hangaru. Ogień peemów prowadzony przez tych, którzy zdawali się podchodzić, wyraźnie osłabł i oddalił się. Także karabin maszynowy za bramą nie strzelał już teraz nieprzerwanie. Odzywał się z rzadka. Wyglądało na to, że natarcie na lotnisko zostało odparte.

Co to było? Kto to był? Nieoczekiwany przyjazd aut oraz strzelaninę wiązał z niejasną obietnicą, daną mu przez chłopaka. Ale jeżeli ci, co przybyli, mieli ich obronić, to sprawa obecnie wyglądała na przegraną. Tamci byli odparci, a oni znajdowali się dalej w rękach Arabów. Co teraz będzie?

Uświadomił sobie, że jest już dzień. Szary, nieśmiały blask sączył się przez szparę pod bramą. Strzały cichły, aż wreszcie ucichły całkiem. Może tamci wycofali się? Karabin maszynowy, szczerkawszy raz jeszcze, zamilkł. Gdy ucichło, spoza bramy zaczęły dochodzić głosy ludzkie. Słuchał ich, choć nie rozumiał, co mówią. Ponad inne wybijał się jeden głos. Słowa brzmiały rozkazująco, ton głosu był inny niż gardłowe nawoływania wartowników.

Śpiewak już nie jęczał. Teraz opatrywano mężczyznę trafionego w rękę. Ale stewardesy nie przestawały mówić:

– Trzeba go zaraz do szpitala.

– Niech pan, kapitanie, zastuka. Oni muszą się nim zająć.

– On może umrzeć, panie kapitanie!

– Tak, niech pan zastuka – teraz mówił człowiek ranny w rękę. – Przecież oni nie mogą zostawić nas bez pomocy. Już się ta strzelanina skończyła...

Andrzej słyszał, jak kapitan oponuje i tłumaczy, że trzeba poczekać.

– On jest opatrzony i pan jest opatrzony. A tam jeszcze nie wiadomo, co się dzieje.

Odczekajmy.

Dom Benedetto wrócił na swoje miejsce obok Andrzeja.

– Z Motta koniec – powiedział cicho.

– Tak ksiądz myśli?

– Nie myślę, wiem. Znam się trochę na tym. Widywałem umierających. Nie pomoże mu żaden szpital...

– Czyli: tak przemija chwała świata.

– Biedny chłopak. On by się zresztą i tak przed czasem wykończył. Ale okropnie działał mi na nerwy. To straszne, że czasami nie możemy znieść drugich...

Siedział na skrzyżowanych nogach, z dłońmi mocno splecionymi.

– Straszne... – powtórzył. – Gdy zacząłem pracować, nie znosiłem mego proboszcza.

Był despotą. Tak mnie złościł, że nie mogłem skupić się na modlitwie. Zamiast modlić się, toczyłem i nim w myślach utarczki. Potem miewałem skrupuły, czy mogę w takim stanie odprawiać mszę. Prosiłem Boga o pomoc, ale mi nie pomógł... On miał zawsze do mnie żal.

Kto wie, czy nie zachował go do śmierci...

Stewardesy znowu podniosły krzyk:

– Pan musi im powiedzieć, kapitanie! Marcella trzeba koniecznie do szpitala!

Kilka głosów męskich podtrzymało żądania dziewczyn:

– Niech pan zastuka, kapitanie. Spróbujmy.

Kapitan zaklął. Dźwignął się niechętnie na nogi, podszedł do bramy. Andrzej pamiętał

go, gdy wtedy w nocy wysiadał z samolotu: był to przystojny, siwiejący na skroniach

mężczyzna, w nieposzlakowanej eleganckim mundurze. Spokojnie rozmawiał z porywaczami.

Teraz był to człowiek o twarzy pokrytej nieporządnym zarostem, na którym siwizna tworzyła

jakby łąty. Jego mundur był wymięty, biała koszula przypominała ścierkę. Jeszcze raz obejrzał się na towarzyszy, a potem pięścią uderzył w bramę. Wydała metaliczny dźwięk. Głosy po drugiej stronie ucichły, ale zaraz odezwały się znowu. Dźwięknęła zdejmowana sztaba. Brama najpierw uchyliła się, a potem otworzyła szeroko. Do hangaru wpłynął od razu falą szary przedświt. W progu stał kulawy mężczyzna w fezie.

Kapitan zaczął mówić, spokojnie, głosem opanowanym. Ale kulawy mężczyzna przerwał mu. Warknął:

– *Tais-toi!*

Dłonią, w której trzymał pistolet, odepchnął kapitana. Zmusił go do cofnięcia się między innych zakładników. Doszli do miejsca, gdzie stały obie stewardesy obok leżącego Motty. One także zaczęły coś mówić. Człowiek w fezie uciszył je:

– *Vos gueules!*

Stał nad leżącym śpiewakiem wsparty na lasce. Wzrok jego czarnych, ruchliwych oczu biegł po twarzach stojących przed nim ludzi. Po twarzy kulawego mężczyzny przebiegały jakby skurcze.

Nagle zaczął mówić. Mówił po francusku, szybko, ale wyraźnie z furią, która zdawała się wybuchać z każdym słowem.

– Byłbym was wymienił. Nic by się wam nie stało. Potrzebowaliśmy was, aby uwolnić naszych. To są ludzie, którzy walczyli o sprawę najważniejszą. Nie smarkacze znudzeni życiem. Nie bogate próżniaki jak wy. Ale tamci chcą was odebrać. Nie oddam was! Miejcie do nich pretensję!

Urwał nagle. Coś jeszcze zawołał po arabsku do swoich. Lufą wyciągniętego pistoletu dał znak dziewczynom, aby przeszły poza szereg zamykający wyjście z hangaru. Gdy zawahały się, krzyknął wściekle:

– *Vite! Avancez! Vite!*

Wyszczerzył brzydkie, żółte zęby, jakby chciał nimi gryźć. Dziewczyny spojrzały na siebie i przeszły poza tamtych. Ledwo to zrobiły, kulawy mężczyzna podniósł pistolet i wystrzelił w tłum zakładników.

– O, Jezu! – zawołał dom Benedetto. Rzucił się do tyłu przewracając Andrzeja.

Strzały nie cichły przez długą chwilę.

Gdy w końcu umilkły, w hangarze zapanowała głucha cisza. W stosie ciał nikt się nie ruszał, nikt nawet nie jęczał. Potem zaczęły krzyczeć dziewczyny. Ale i one po pewnym czasie ucichły...

Miał wrażenie, że jakieś targnięcie wyrwało go z omdlenia. Ale obudziwszy się, nie mógł się ruszyć. Coś ciężkiego leżało na nim, przygniatało do ziemi. Skręcone niewygodnie ciało od razu dało o sobie znać dokuczliwym bólem. Na próżno jednak usiłował zmienić pozycję. Był niby wtłoczony do ciasnego pudła.

Natychmiast wróciła mu świadomość tego, co się stało. Przypomniawszy sobie otwartą szeroko bramę, ciemne sylwetki partyzantów, strzały i krzyki. Zrozumiał, że leży pogrzebany pod ciałami zabitych. Opanował go szaleńczy strach. Napinając rozpaczliwie mięśnie, usiłował się wydobyć. Nie szło to łatwo. Pracował tylko rękami, w nogach nie miał czucia. Ale strach i rozpacz dodawały mu sił. Aby wysunąć głowę spod przyciskającego ją do ziemi ciała, musiał trzeć policzkiem po szorstkim betonie posadzki. Wyrwał ją areszcie podrapaną, umazaną krwią. Zdołał ją wysadzić ponad stos leżących. Był jak człowiek na poły utopiony, który w końcu wytknął głowę nad powierzchnię wody i schwytał oddech. Przez chwilę dyszał ciężko.

Tuż obok swej twarzy miał twarz księdza Benedetto. Oczy księdza były wytrzeszczone, usta szeroko otwarte. Jedna z kul musiała trafić w usta, na brodzie zakrzepła smuga krwi. Po drugiej stronie zobaczył twarz kapitana. Była dziwnie spokojna w swej martwocie. Ma ciele Andrzeja spiętrzyły się ręce, nogi, tułowie pozabijanych. Jeśli żył, to dlatego, że znalazł się na spodzie.

Zebrał siły i jeszcze raz szarpnął się rozpaczliwie. Zdołał wydobyć nad powierzchnię jedno ramię. Z przerażeniem uświadomił sobie, że nogi nie biorą udziału w jego wysiłkach. Opierając łokcie o czyjeś wciąż jeszcze miękkie ciało, ciągnął się do góry. Czepiał się martwych rąk i nóg. Jeszcze wydobył i drugie ramię. Ale więcej nie mógł.

Wynurzony ponad trupy mógł zobaczyć, że w hangarze są tylko zabici. Brama

pozostała szeroko otwarta. Słońce już wzeszło i gorąca plama blasku wlewała się do wnętrza. Nadchodził upał. Z boku, w odległości od stosu pozabijanych, leżały jeszcze dwa ciała w resztkach zdartej odzieży. Po rozsypanych wokół głów włosach domyślił się, że to są ciała stewardes.

Ogarnęła go nowa fala przerażenia. Skręcone ciało chwytały skurcze. Nóg ciągle nie czuł. Może były zmiażdżone? Przez głowę przelatywały straszliwe myśli: nigdy się spod tych trupów nie wydostanie, a za godzinę najdalej słońce dotrze do zabitych, ciała zaczną puchnąć, rozkładać się...

Coś załopotało. Wielki ptak o długiej szyi i czerwono połyskujących oczach wylądował na progu hangaru. Stąpał teraz czujnie na kosmatych nogach opatrzonych wielkimi pazurami. Zbliżył się do ciała jednej z dziewcząt. Podgięte nogi umazane były krwią. Ptak wyciągnął szyję, podniósł dziób. Andrzej krzyknął rozpaczliwie, zamachał rękami. Ptak odsunął się od ciała, ale nie odleciał. Przekrzywiwszy głowę patrzył na Andrzeja. Jeszcze raz krzyknął. Ptak bez pośpiechu rozwinął długie skrzydła. Poderwał się na nich i zniknął z pola widzenia, choć nie wydawał się spłoszony.

Odpędzając ptaka nie usłyszał kroków. Dopiero, gdy w blasku słońca zamajaczyła sylwetka ludzka, wcisnął się przerażony na nowo między trupy. Jego twarz dotknęła zimnej twarzy księdza. Nic nie widział, słyszał tylko stąpania: tamten zbliżał się. Musiał zauważyć jego podniesioną głowę. Może słyszał krzyk. Andrzej myślał: – Za chwilę rozlegnie się strzał i wszystko się skończy. Jeśli to jest koniec?... Zamknął oczy.

Nagle posłyszał, że ktoś tuż nad nim wykrzykuje jego nazwisko. Nie dowierzając dźwignął głowę.

Miał przy sobie Alda. Chłopak położył mu dłoń na ramieniu.

– To pan? Pan żyje? Och, jak się cieszę!

– Żyję... Chyba żyję?

– Cały czas myślałem o panu. Ktoś tu zajrzał i powiedział, że wszyscy zabici. Jest pan ranny? Ma pan twarz we krwi.

– Twarz to nic ważnego. Ale nie wiem, co z nogami. Nie mogę się wydobyć.

Sapiąc z wysiłku, Aldo rozrzucał splątane ciała. Wreszcie uwolnił przywalone nogi Andrzeja.

– Co panu w nogi? Czy nie może pan wstać?

Lękliwie napiął mięśnie. Bał się, że nie zdoła poruszyć nogami. Ale ostry ból, jaki pojawił się w łydkach i stopach, uspokoił go. Wolno, wolno zdołał podciągnąć kolana. Stawały się posłuszne jego woli.

– Chyba to tylko było zdrętwienie... Na szczęście...

Łydki i stopy piekły. Wracało w nie życie. Już mógł się na nich opierać. Na czworakach zaczął się wyczołgiwać. Szukając oparcia dłonie trafiały na twarze, na ręce zabitych. Przed chwilą opierały się na nich z całą bezwzględnością. Lecz odkąd poczuł się przywrócony do życia, ciała zabitych stały się dla niego czymś niepokojąco obcym.

– Niech mi pan pomoże...

Aldo ujął go pod ramiona i prawie wywlókł z hangaru. Pomógł usiąść na małej ławeczce, na której poprzednio siadywali wartownicy.

– Tak mi się wydaje, jakby mi się rzeczywiście nic nie stało... – stwierdził. –

Zdumiewające. Strzelano do nas dosłownie z odległości dwóch kroków. Ale co to?

Jeszcze kiedy leżał zagrzebany pod stosem trupów, słyszał coś jakby huczenie za ścianą hangaru. Dźwięk przypominał łomot ciężko pracującej maszyny. Był pewien, że to łupie mu pod czaszką. Ale teraz odkrył, że coś huczy naprawdę.

– Pali się samolot. Wysadzili go.

Trzymając się ściany wstał wolno, krok za krokiem wyszedł za róg hangaru. Na płycie lotniska w niewielkiej odległości bił w niebo wielki słup ognia. Płomienie hucząc pożerały kadłub samolotu, którym tu przylecieli. Pewniejszym już krokiem wrócił do ławki. Zatrzymał się przy ciele leżącej na samym progu stewardesy. Ciało było młode i piękne w proporcjach. Twarzy nie było widać, miała ją odwróconą, oplataną włosami. Gdyby nie rozdarte gardło, mógłby myśleć, że ma przed sobą śpiącą, zmęczoną rozpustną bachantkę. Na udzie leżącej był krwawy znak. Przypomniał sobie ptaka z długim dziobem i połyskującymi czerwono oczami. Sięgnął po koc i nakrył nim oba ciała.

– Bydlęta! – powiedział Aldo.

Andrzej milczał. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie był zdolny do oburzania się. To co widział i co przeżył, stworzyło w nim przekonanie, że stoi w obliczu jakiegoś łańcucha, którego każde ogniwo jest następstwem poprzedniego.

Zapytał:

– Więc w końcu doszło między wami do walki?

– Nie było innej rady, proszę pana. Z tymi tutaj może by się dało ułożyć. Jussuf, wie pan, taki z przeciętymi ustami, który mówił, że zna Polaków... Nie był taki zły. Ale Mohammed... Od samego początku chciał nas oszukać. To myśmy przecież porwali samolot, a on usiłował zabrać dla siebie wszystkich zakładników. Z nami rozmawiał, a prowadził pertraktacje za plecami. W końcu Dino, to znaczy nasz dowódca, odkrył, że chce nas wykończyć. To znaczy jego i mnie. Ahmeda i Sidiego, którzy byli z nami, wykończył przedtem. Wtedy Dino nawiązał kontakt z naszymi. Nawet nie wiem, jak to potrafił zrobić. Dino jest wspaniały, trzeba to przyznać. Nasi przyjechali nocą...

– Słyszeliśmy warkot samochodów. Potem zaraz strzelaninę. Wasi nacierali na lotnisko, prawda? Potem jednak wyglądało, jakby się cofnęli.

– Rzeczywiście, natarcie początkowo nie wyszło.

– Weszli do hangaru. Razem z nimi ten ich kulawy przywódca. Krzyczał, że chcecie mu nas odebrać, ale on na to nie pozwoli. Sam strzelał i kazał strzelać...

– Ten kulawy to właśnie Mohammed. Kiedy natarcie cofnęło się, Bruno z kilku chłopcami obszedł lotnisko i zaatakował z drugiej strony. Wszyscy zginęli. Także Mohammed... O, tam leży...

Andrzej znowu wstał. Poszedł we wskazanym przez Alda kierunku. Człowiek o pokręconych nogach leżał twarzą na ziemi. Obok walał się jego fez. Parę innych ciał z szeszami na głowach leżało o kilka kroków dalej.

Na nowo wrócił do ławki pod ścianą hangaru.

– Kim był ten Mohammed? – zapytał.

Aldo wzruszył ramionami.

– Nie wiadomo. Wyplatał niestworzone rzeczy o tym, jaki on jest ważny. Tutejsi słuchali go. Szkoda. Jussuf wyglądał groźnie, ale można się z nim było dogadać.

– Ten Jussuf zginął?

– Nie. To on wysadził samolot i z kilkoma wycofał się na pustynię...

Oparł się ciężko o ścianę hangaru. Ciało domagało się odpoczynku. Lecz jednocześnie zanadto był podniecony, aby mógł odpoczywać.

– Jak się pan czuje? – w głosie Alda była troskliwość. – Czy zdoła pan trochę podejść?

– Dokąd?

– Do hotelu. To niedaleko. Nie zostawię przecież pana z tymi trupami.

Andrzej potrząsnął głową.

– Może nie tylko ja przeżyłem? Może jeszcze ktoś inny?

– Myślę, że tylko pan. Przedtem już tu ktoś z naszych zaglądał. Potem ja grzebałem

między ciałami, aby pana wydobyć. Nie, nie, tylko pan. Jestem pewny.

– Ale ja nie jestem. Koniecznie trzeba zobaczyć.

– Dobrze. Wpierw jednak odprowadzę pana. Chcę, aby Dino wiedział, że pan żyje.

– Czyżby interesował się moją osobą?

- Mówiłem mu, że pan jest autorem „Wieży Babel”. Gdy Mariano przybiegł

i powiedział, że wszyscy zostali zabici, kazał mi iść i sprawdzić, czy pan naprawdę nie żyje...

Obawiam się, że wasz przywódca, utraciwszy wszystkich innych zakładników, zbyt wiele znaczenia przykładu do ostatniego, który mu pozostał...

– Nie miałem czasu na rozmowę z Dinem. Wydawał rozkazy. Mówił, że chce spalić hangar, gdyż ciała będą się rozkładać.

– Więc gdyby mnie pan nie znalazł, zostałbym spalony. Ale właśnie dlatego trzeba jeszcze raz sprawdzić.

– Powiem o tym Dinowi. Teraz, proszę, niech pan idzie, jeżeli pan da radę.

Prowadził Andrzeja pod rękę, aż doprowadził go do hotelu. W mrocznej kawiarni na dole nie było nikogo. Dopiero gdy Aldo zbliżył się do bufetu i zawołał kilka razy, gdzieś z ciemnego kąta wynurzył się czarny recepcjonista. Jego twarz była szara, jakby przyprószona popiołem. Usta dygotały. W wielkich oczach było przerażenie. Kiedy usłyszał, że ma podać kawę, począł zapewniać gorączkowo:

– *Zaraz monsieur*, natychmiast. Przygotuję, zaparzę. Wszystko, co trzeba, wszystko, co *monsieur* sobie życzy... Już idę, już robię.

– Obiecał, że zaraz poda kawę – powiedział Aldo, wróciwszy do stolika, przy którym zostawił Andrzeja. – Napije się pan?

– Z rozkoszą.

– To świństwo, że trzymali panów w tym hangarze. Nic nie mogliśmy na to zrobić.

Wszystko ten Mohammed...

Rozległy się kroki. Do kawiarni wszedł porywacz z płowym zarostem, w towarzystwie niskiej, czarnowłosej dziewczyny o krzyżaco wymalowanych ustach. Oboje podeszli do stolika.

– *Hallo*, Aldo – rzucił mężczyzna. – Czyżby to ten pisarz?

– Właśnie, to pan! Wyobraź sobie: pan ocalał. I nic mu się nie stało! Prawdziwy cud.

Był przywalony ciałami. A to jest właśnie Dino...

Płowowłosa mężczyzna zarzucił na ramię peem, który trzymał w ręku, i siadł na skórzanej kanapie naprzeciwko Andrzeja.

– To się panu udało! Miał pan cholerne szczęście. Wysłałem Alda, żeby pana poszukał, ale naprawdę nie miałem wielkiej nadziei. Siadaj – powiedział do dziewczyny, która stała, jakby czekając na pozwolenie zajęcia miejsca. – Powiedz temu czarnemu aby dał kawy – rzucił Aldowi.

– Już mu powiedziałem. Zajął się parzeniem.

– Dobrze. Miej na niego oko, żeby nie zwiął.

– Dlaczego miałby zwiąć?

– Nie zadawaj głupich pytań. Czy w hotelu poza nim nie ma nikogo?

– Nikogo nie widziałem. Jest tylko jeszcze ta Hinduska w pokoju Teresy.

– O, właśnie. Dobrze, że przypomniałeś. – Zwrócił się do dziewczyny. – Idź, zobacz, co z tą kobietą. Pierwszy pokój na lewo w korytarzu.

Dziewczyna wstała i bez słowa odeszła. Zza bufetu wynurzył się recepcjonista z tacą, na której stały filiżanki. Ale na widok Dina zatrzymał się. Taca w jego rękach zadrżała, naczynia zadzwoniły. Jeśli poprzednio widok Alda wywołał jego przerażenie, to obecnie zjawienie się Dina musiało mu się wydać czymś strasznym. Stał jak skamieniały,

rozdygotany. Dino podniósł na niego wzrok. Patrzył twardo spojrzeniem węża Kaa. Zdawał się bawić lękiem stojącego przed nim człowieka. Dopiero po dłuższej chwili rzucił:

– Kawy dla wszystkich. Prędko. – Obrócił się do Andrzeja, zmienił ton. W jego oczach było teraz jakby rozbawienie. Spytał:

– Zapali pan?

– Chętnie.

Prztyknięciem wysunął papierosa z pudełka i podał Andrzejowi.

– Pan jest Polakiem?

– Tak, rzeczywiście.

– I jest pan przyjacielem Karwatta, dyrektora mediolańskiego konsorcjum?

Andrzej opuścił dłoń z papierosem. Zaskoczony, podniósł wzrok na brodatego porywacza. W przymrużonych oczach tamtego zobaczył jakby iskierki.

– Skąd pan o tym wie? Dino wybuchnął śmiechem.

– Zdarza mi się wiedzieć rozmaite rzeczy. W takim razie muszę panu powiedzieć pewną nowinę, która być może pana zmartwi: pański przyjaciel nie żyje.

– Karwatt nie żyje? – wykrzyknął. – To niemożliwe! Widziałem go tak niedawno...

– Jednak możliwe. Umarł przed trzema dniami. To właśnie nasza sekretarka przywiozła tę wiadomość.

Niska dziewczyna wynurzyła się właśnie z ciemnego korytarza. Miała twarz nadętą powagą niesionej wiadomości.

– W pokoju nie ma nikogo – powiedziała. – Ale drzwi od ogrodu otwarte. Na pewno tamtędy uciekła.

Dino zapukał palcami na stole, jakby grał na ćwiczebnej klawiaturze.

– To nieważne. Jeśli uciekła, będzie błądziła po pustyni. Każ rozejrzeć się za nią. Nie

ma jednak potrzeby robienia zamętu. Nigdzie nie zawędruje, gdzie nie trzeba. Natomiast na czarnego musisz uważać, Aldo. Odpowiadasz za niego.

Bez pośpiechu dopił kawę, dopalił papierosa.

– Tam, w hangarze, nie ma już żyjących? – zapytał.

– Trzeba sprawdzić – zaczął Andrzej. – Mówiłem właśnie panu. Ktoś może być tak jak ja pogrzebany pod ciałami...

– Sprawdzi się, sprawdzi. Dobrze, dobrze. – Zrobił lekceważący ruch dłonią. – Ty,

Aldo, dotrzyмай panu towarzystwa tutaj. Pilnuj czarnego. A pan – zwrócił się do Andrzeja – mam nadzieję, że nie ma pan zamiaru uciekać?

Wzruszył ramionami.

– Nie myślałem o tym. Chyba macie mi zamiar zwrócić wolność?

– Oczywiście. Odzyska ją pan. Za dwa dni. Zgoda?

– Wszystko, widzę, u pana wyrachowane. Więc za dwa dni będę wolny?

– Za dwa dni. Oddamy pana w dobre ręce. Sylwia – wskazał na dziewczynę – ułożyła się w tej sprawie z panem Benuzzi.

– Z sekretarzem Karwatta?

- Z nim. Przyrzekł osobiście przyjechać do Afryki, aby pana odebrać. No co, zadowolony pan? Tylko dwa dni. No, rozumiem, śmierć przyjaciela musiała pana zmartwić trochę...

– Niewątpliwie...

– Od dawna byli panowie przyjaciółmi?

– Od czasów szkoły.

Dino gwizdnął cicho, jakby chciał tym gwizdem wyrazić podziw.

– Pański przyjaciel – rzekł – zostawił ładną forszę.

– Nic o tym nie wiem. Nie interesowałem się nigdy sprawami jego majątku.

– Pan jest bogaty?

– Nie. Ale wystarcza mi to, co mam.

– Czyżby pan tak wiele zarabiał jako pisarz?

– Zarabiam mało, ale mam małe wymagania. Jestem samotny.

– A interesy, na których Karwatt zarobił miliardy, nie ciekawiły pana nigdy?

– Nie.

Dino chwilę milczał. Kolbą peemu strząsał jakiś pył ze swego rękawa.

– Mimo to w związku z naszymi rozmowami z Benuzzim będę miał dla pana pewną propozycję... – powiedział.

– Cóż to może być za propozycja? – Andrzej rozłożył pytająco ręce. – Ja naprawdę ani o tamtych interesach nic nie wiem, ani się na nich nie znam.

– Zobaczymy, pogadamy. Wrócimy do tego. Teraz idę do swoich. Muszę wydać odpowiednie zarządzenia. Po tej walce powinniśmy stąd jak najszybciej prysnąć. Tutejszemu rządowi może przyjść do głowy przysłać tutaj żołnierzy, a ja nie mam ochoty walczyć z nimi, zwłaszcza że musiałbym się bić z nimi o pana.

– Ma pan rację: zbyt dużo zaszczytu.

– Byłby to może zaszczyt stoczyć wojnę o słynnego pisarza. Aldo jest takim pana wielbicielem, że musiałbym mu oddać dowództwo. Ale raczej będę walki unikał.

Najrozsądniej byłoby dziś jeszcze w nocy przekroczyć granicę. Ja jednak muszę zostać do pojutra rana... Wobec tego będziemy musieli zamaskować naszą obecność. Myślę, że tamci zaczną od przysłania samolotu rozpoznawczego. Samolot nie wylądjuje, bo na płycie leżą szczątki waszego samolotu. Przeleci i będzie obserwował. Powinien odnieść wrażenie, że nas tu już nie ma. Zanim wróci, zanim zdecydują się na wysłanie ludzi, już nas nie będzie. Czy

nie mam racji? – skierował pytanie do Andrzeja, jakby go uważał za swego sojusznika.

– Ma ją pan niewątpliwie – zapewnił.

– W takim razie idę wydać polecenie. Ty idziesz ze mną – skinął na Sylwię, która stała w ciągłej gotowości.

Aldo odszedł w stronę bufetu. Coś mówił do recepcjonisty. Andrzej pozostał przy stoliku. Oparł głowę na rękę, przymknął oczy, zamyślił się.

Musiał zebrać myśli, przytrzymać je, by nie mknęły na ślepo za tym, co się wokoło niego działo. Miał uczucie, że przestały nadążać za wypadkami lecącymi z opętańczą szybkością, niby potok górski, który porwał człowieka i niesie go, ciskając raz po raz o głązy, lecz nie pozwalając zatrzymać się na żadnym.

Więc to było zaledwie pięć dni temu, gdy rozmawiał z Helle? Wróciła do niego pamięć strzępków tamtej telefonicznej rozmowy. Głos kobiety brzmiał spokojnie jak zawsze. Było w nim nie dające się wyrazić słowami oddanie. „Co słychać?” „Obawiam się, że będę musiał pozostać trochę dłużej...” „Mówiłam ci – głos Helle pełen był ciągle niezmałconej pogody – żebyś załatwił wszystko, co trzeba”. „Jerzy wsadził mi na głowę sprawę swojej córki...” „I cóż ta młoda osóbka? – teraz głos zawibrował żartobliwą nutą. – Czego potrzebuje?” „Tłumaczyłem mu, że nie znam się na sprawach wychowania...” „Ale jesteś pisarzem”. „On także, wyobraź sobie, coś takiego powiedział...” „W takim razie próbuj, próbuj. To może być dla ciebie interesujące. A potem wszystko mi opowiesz. Dobrze?”

To było pięć dni temu! Głos Helle wydawał się wtedy taki bliski, jakby kobieta znajdowała się w sąsiednim pokoju i za chwilę miała wejść ze słowami: „Czy nie dosyć już tej pracy? Może miałbyś ochotę na obiad? Albo może wybierzemy się na spacer?” Tak działo się codziennie, od lat. Nigdy jej wejście nie było natręctwem. Umiała wyczuć, kiedy czas jego pracy dobiega końca, kiedy znużona myśl szuka tylko wymówki, aby się zatrzymać.

W różnych czasach pracowało mu się rozmaicie. Na początku, gdy był młody, porywczo i gorączkowo, jakby pisanie było czymś ważniejszym od życia. Później zaczął pracować dojrzej. Potrafił łączyć zadowolenie, wynikające z poczucia posiadanych

umiejętności, z radością życia. To były jakby dwie sfery – każda równie interesująca, jedna nie wchodząca w parady drugiej. Nagle przyszedł okres powstawania „Wieży Babel”. Życie wkroczyło z całą mocą w twórczość, uformowało ją na swój kształt. Odeszły – jakby niepotrzebne – sprawy rzemiosła. Ale już następna książka nie była taka. Krystyny nie było. „Jeśli ty wzięłaś moją prawdę – napisała mu odchodząc – to ta moja prawda wróciła do mnie przez ciebie dwukrotnie mocniejsza, oślepiająco rzeczywista. Nie szukaj mnie, proszę. Będę modliła się, aby jeszcze raz moja prawda stała się twoją...” Jej słowa wywołały rozdrażnienie. To głupota, myślał. Nic nie wróci do mnie z tamtych prawd, jeśli jej nie będzie przy mnie! Nic, nigdy!

Twórczość i życie stały się dla niego znowu dwoma niezależnymi nurtami. I w twórczości, i w życiu znajdował wiele zadowolenia. Może był także jakiś niedosyt, ale on z tym niedosytem zaczął się godzić. Najważniejszy był dla niego spokój. I ten spokój znalazł w Stagnes. Tutaj mógł pracować bez wysiłku, bez pośpiechu wyważać słowa. Czy jeszcze czegoś szukam? – zapytywał czasami siebie. – Oczywiście – zapewniał – oczywiście... Ten spokój został zakłócony. Najpierw był list, potem żądanie Karwatta. Dał je sobie narzucić. Pozwolił się zaskoczyć. Nie potrafił obronić siebie.

To, co potem nastąpiło, przypominało równię pochyłą, po której toczyły się wypadki. Porwanie samolotu, spór między porywaczami, walka, wymordowanie pasażerów. A na koniec teraz: wiadomość o śmierci Karwatta... Jakby spinająca wszystko kłamra. Za dużo jak na kogoś, kto spragniony jest spokoju i tylko w spokoju może żyć. Bo czy potrafiłbym już teraz żyć poza Stagnes? – myślał. – Taki jest skutek tak zwanych dobrych uczynków... Że Benuzzi skłonny jest złożyć za niego okup, to rozumiałe. Ostatecznie popadł w tę przygodę tylko dlatego, że zgodził się zająć dziewczyną. Może Karwatt przed śmiercią kazał swemu sekretarzowi tak postąpić? Ale Karwatt mógł także poczynić kroki narzucające mu

dalszą opiekę nad córką. Cóż z tego, że zostanie uwolniony, jeśli będą go czekały jakieś nowe sprawy? Oczywiście uwolni się od nich. Czy jednak będzie mógł się uwolnić od razu? Czy będzie mógł zaraz wrócić do Stagnes? To było najważniejsze.

Wrócić, wrócić! Wydawało mu się, że niczego więcej nie pragnie w życiu, jak znaleźć się znowu nad cichym fiordem pod opieką Helle!

Ten Dino powiedział, że chce mu coś zaproponować... O co chodzi? Pewno o jakiś nacisk na Benuziego? Gotów jestem przyjąć każdy warunek, myślał, jeśli dzięki niemu będę mógł jak najszybciej powrócić. Miał dosyć, po uszy, zwariowanego świata, w jakim się znalazł. Pomyśleć... jeszcze przed godziną leżał przywalony trupami i nie wiedział, czy go ktoś spod nich wyciągnie. To już nie sensacyjny dramat, ale po prostu melodramat, takie to wszystko nieprawdopodobne. Jeśli będą chcieli, abym zażądał od Benuziego większego okupu – rozważał – zrobię to. Ostatecznie pieniądze idą z jednych brudnych rąk w drugie... Do stolika wrócił Aldo. Za nim szedł czarny kelner, niosąc nowe filiżanki kawy.

Wyraz lęku nie opuścił jego twarzy, policzki miały dalej barwę szarą, jakby były posypane popiołem. Postawiwszy naczynia na stole, cofnął się, stanął przy bufecie w postawie kogoś gotowego na każde wezwanie.

– Powiedziałem, że nie wolno mu się nigdzie oddalać. Przeraził się okropnie.

Myślałem, że zemdleje...

– Czy pański szef nie ma wobec niego żadnych złych zamiarów?

– Skądże! Dlaczego pan tak myśli? Nie, na pewno...

W głosie Alda była szczerłość, ale w oczach wielka naiwność. Ten chłopak mimo opadających na kark włosów, mimo zatkniętego za pas pistoletu robił wrażenie kogoś z innej epoki. Właśnie z mojej, myślał Andrzej. Z lat swojej młodości pamiętał chłopców jak on. Walczyli, a przecież byli pełni ufności. Może dlatego czuł dla Alda przyjazną serdeczność.

– Staram się zrozumieć powody jego strachu – rzekł. – I żal mi go trochę.

– Kiedy naprawdę nie ma się czego bać.

Powoli mieszał kawę. Była mocna, a jednak nie działała orzeźwiająco. Przeżycia i zmęczenie sprawiły, że jego umysł zasnuwały myśli ciężkie jak niosące deszcz chmury, zbierające się powoli i omotujące cały horyzont.

– Wygląda pan na bardzo zmęczonego – zauważył Aldo.

– Rzeczywiście, jestem zmęczony.

– Musi pan wypocząć. Powiedziałem temu czarnemu, aby dał panu jeden z pokoiów.

Proszę iść się położyć i przespać. Ja wierzę, że pan... – Zaczął, ale nie skończył, jakby nagle zawstydzony tym, co chciał powiedzieć.

– Dziękuję panu. Jest pan naprawdę bardzo miły. Pójdę i spróbuję się przespać. –

Patrząc na zmieszaną twarz chłopaka, dorzucił: – Powiedziałem już panu Dinowi, że nie mam zamiaru uciekać. Wobec pańskiego szefa nie czuję się do niczego zobowiązany. Ale pana szczerze chcę zapewnić, że taka myśl nie powstała w mojej głowie. Niech pan będzie spokojny.

Na twarzy Alda odmalowała się wdzięczność.

– Dziękuję panu. Ucieczka zresztą naprawdę nie miałaby sensu. Skoro Dino

powiedział, że pan będzie wykupiony za dwa dni, tak się na pewno stanie. Pan był naprawdę przyjacielem tego Karwatta?

– Tak.

– Ale pan nie zna Teresy?

– Jego córki?

– Tak. No tej, która porywała samolot razem z nami.

Znowu miał uczucie, że między stłoczone, ociężałe myśli padł piorun i sprawił, że zaczęły się znowu kłębić niby rozdmuchany wiatrem dym. Więc to była ta dziewczyna?

Widział ją mało, ledwo mu mignęła w samolocie i potem na płycie. W pamięci została zgrabna sylwetka i twarz o nieregularnych, ale ciekawych rysach. Córka Jerzego i Kathy... On jechał do niej, a ona jego porwała. Czy ten Benuzzi wie o tym? Przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał się upewnić, że nie śni, i to, co się wokół niego dzieje, jest rzeczywistością.

– Gdzie ona jest teraz? – zapytał.

– Pojechała wczoraj do świętego mozabickiego miasta. Całe szczęście. Nie było jej podczas walki. Mogło jej się coś stać. Ona jest bardzo odważna i zapala się. Ale to wspaniała dziewczyna...

W głosie Alda brzmiał entuzjazm.

– Czy wróci?

– Tak. Powinna wrócić pojutrze. Dlatego Dino chce czekać.

Opuścił głowę jakby przygnieciony myślami, które na nowo obudzone i wprawione w szybki ruch napływały ze wszystkich stron.

Myślał, że wiadomość o śmierci Karwatta to była wiadomość ostatnia. Ale dopiero to, co mu powiedział Aldo, określiło sytuację. Czy może być większy nonsens: ojciec wysłał go do córki, a córka sprzeda go ojcu?! A ponieważ ojciec nie żyje – sprzeda go samej sobie, bo ona jest dziedziczką Karwatta! Teraz już nie miał pojęcia, czego będzie chciał od niego Dino. Och, dość miał tej całej sprawy! Znowu pojawiły się w jego głowie słowa niby natrętnie powracający refren piosenki: Wrócić! Wrócić do Helle!

Tak był przygnieciony myślami, że nie słyszał, co mówił Aldo. Doszły do niego tylko ostatnie słowa:

– ...że pan musiał ocaleć...

– Musiałem ocaleć? – zapytał oszołomiony.

– Naturalnie. Ja w to wierzę. Nie wiem, jaki wpływ wywarła na innych pana książka,

ale dla mnie była ona przełomem. Pod jej wpływem zrozumiałem, że muszę szukać. Pan pisał tak porywająco. Czuło się, że pan także szuka. Kiedy wrócę, zajmę się znowu moim musicaliem. Myślałem, że wypowiedziałem w nim wszystko, co chciałem. Ale teraz wiem, że tak nie jest. To jest temat, który, gdy do niego sięgamy, staje się coraz głębszy. Prawda? Pan zresztą coś takiego napisał, może ja tylko powtarzam pana myśli. To u pana jest to zdanie, że kiedy się dotknie tych spraw, to tak jakby się dotknęło ognia. Nawet jeśli nie spalą, zostawia bliznę. I ta blizna nie da człowiekowi nigdy spokoju. Prawda, to pan tak napisał?

– Tak napisałem? – zastanowił się. – To prawda, zawsze powtarzałem, że całe życie twórcy powinno być szukaniem. Upewniałem siebie, że szukam... Tylko, że szukanie jest niepokojem. A ja w tej chwili pragnę tak bardzo spokoju.

– Ale ja mówię i mówię, a pan jest zmęczony – usłyszał. – Chodźmy, zaprowadzę pana do pokoju.

Gdy wstał, zachwiał się na nogach. Aldo wziął go pod rękę. Czarny recepcjonista widząc, że wstali, szybko podszedł do nich. Ruszył przodem w głąb ciemnego korytarza. Otworzył drzwi pokoju. Wnętrze było nie przygotowane, pościel nie obleczone.

Recepcjonista powiedział:

– Zaraz to zrobię, to będzie chwila...

Ale widok pokoju i łóżka sprawił, że Andrzej poczuł się tak zmęczony, iż nie był w stanie czekać ani chwili dłużej. Powiedział:

– Nie, nie. To potem. Teraz nie. Muszę się położyć. Muszę zamknąć oczy...

– W takim razie zostawiamy pana...

Chłopak uśmiechnął się i wyszedł razem z recepcjonistą. Andrzej osunął się na fotel.

Położył nogi na krześle stojącym obok. Miał uczucie, że zagłuszający wszystko sen stoi już blisko i tylko czeka, aby Andrzej zamknął oczy. Myśli znowu stały się ciężkie i ciemne jak

noc.

Ocalałem... ja jeden... Powiedział, że to z powodu tej książki... Nigdy nie chciałem przywiązywać do niej znaczenia... Chciałem, aby ją uważano za jedną z szeregu... Każda następna powinna być lepsza... Ten chłopak nic innego nie czytał... Tamta książka popchnęła go... Przesada, przesada... Książki mają swoje własne życie... Czytelnik znajduje w nich to, czego pisarz wcale nie włożył... Gdyby to było to... Gdyby to było to...

Nie dokończona myśl była jak ostatni kamień lawiny, która stoczyła się na niego i przysypała go z głową. Potem zapadła cisza.

Spał aż do południa i nawet nie słyszał, jak Aldo zaglądał do pokoju. Kiedy się wreszcie przebudził, zszedł na dół do kawiarni. Przy stolikach siedziało kilku ludzi Dina, jedli jakąś konserwę, którą czarny kelner odgrzewał im na gazowej maszynie. Słodko-tłusta woń unosiła się w powietrzu wplątana w chmurę tytoniowego dymu. Tamci popijali także jakiś alkohol. Mówili głośno, wszyscy naraz. Ich twarde, przechodzące łatwo w krzyk głosy odbijały się o łukowe sklepienie. Raz po raz padało soczyste przekleństwo.

Kelner chodził wciąż między bufetem a stolikami. Twarz mu się nie zmieniła, zachowała dalej szarą barwę. W oczach o pozółkłych białkach malowało się przygnębienie. Gdy tylko Andrzej usiadł przy stoliku, kelner podszedł do niego.

– Ten pan – powiedział – który tu rano siedział z panem, kazał podać panu śniadanie.

– Dziękuję. Co ma pan mi do zaproponowania?

– Ci panowie nawieźli puszek. Jest mięso z fasolą. A ja – dorzucił – mam jeszcze kawę i trochę biskwitów.

Skinął głową. Kelner odszedł. Nie miał wątpliwości, że czarny mężczyzna rozmawia z nim innym zupełnie tonem niż z ludźmi Dina. Tamtych lękał się: usługiwał im szybko, z wyraźnym drżeniem. Andrzejowi – chociaż go przecież widział rozmawiającego z Dinem i z Aldem – okazywał życzliwość i sympatię. Czyżby miał świadomość, że obaj są więźniami? A może odczuwał rodzaj solidarności wynikającej z tego, że obaj w tym gronie byli ludźmi starszymi?

Gdy powrócił do stolika niosąc na tacy konserwę i kawę, Andrzej zapytał go:

– Co się tu dzieje?

Porozumiewawczy błysk oczu czarnego mężczyzny potwierdził przypuszczenie Andrzeja, że tamten poczuwa się z nim do solidarności.

Zanim odpowiedział, rzucił spojrzeniem na boki.

– Nie wiem... – mówił cicho, ledwo poruszając wargami. Nie przestawał coś ustawiać na stoliku. – Ci panowie czegoś oczekują... Nie śpią, są gotowi... Nie dali mi wyjść ani na chwilę z domu... Pan wie, spalili hangar?

– Ten hangar, w którym byliśmy zamknięci?

– Tak. Ten pan Dino kazał połączyć ciała benzyną i wszystko podpalić.

– Więc wszyscy byli zabici?

– Pewno tak. Nie wiem, co zamierzają zrobić.

– Mówili, że chcą jutro stąd odejść...

Po twarzy kelnera przebiegł skurcz. Gruba warga na chwilę obwisła martwo. Ale zaraz opanował się.

– Niech Allah ma nas w opiece – westchnął, wytrząsając na tacę napełnioną ogarkami popielniczkę.

– Pan jest sam w hotelu? – zapytał.

– Sam – skinął głową. – Allah strzegł, że nie zabrałem ze sobą żadnego z synów.

Jeśli mam zginąć, to przynajmniej zginę sam...

– Dlaczego by mieli pana zabić?

– Dla nich zabić człowieka nic nie znaczy. Pociągnąć za spust... i już. Obawiam się, że nie będą chcieli zostawić świadków. To straszni ludzie, ci młodzi...

– A jacy są pana synowie? – zapytał.

– Moi synowie wiedzą, że wiele się muszą nauczyć. Wiele zdobyć. Ale i oni będą straszni, jeśli im ktoś coś zabierze. Jak tamtym... Wtedy gotowi także zabijać...

– Ma pan wielu synów?

– Czternastu. I jeszcze pięć córek.

– To niełatwo chyba wykarmić taką gromadę?

– Niełatwo. Ale dziecko to dar Allacha. Z dziecka trzeba się cieszyć. Dla dziecka trzeba zrobić wszystko. Jeśli mnie zabiją, będzie im ciężko...

Ktoś z tamtych zawołał go i kelner od razu pobiegł do wołającego. Andrzej wziął się do jedzenia słodkiej amerykańskiej fasoli. Jedząc przyglądał się z boku ludziom Dina.

Pierwszy raz miał okazję przyrzeć się im dobrze. Byli to wszystko ludzie młodzi, prawie chłopcy. Nawet obwisłe wąsy i kudłate brody nie odbierały ich twarzom młodego wyglądu.

Włosy niektórych tworzyły ogromne, przypominające murzyńskie, szopy na głowach.

Rozmawiali żywo, hałaśliwie; wymachując dłońmi, w których trzymali dymiące papierosy.

W zawziętej dyskusji nie mogli wytrzymać na miejscu. Zrywali się, podbiegali jedni do drugich. Pantomimą całych ciał ilustrowali swoje słowa. Raz po raz wybuchali wariackim, huraganowym śmiechem. Co chwila używali ordynarnych słów. Często były to slangowe wyrażenia, których znaczenia Andrzej mógł się tylko domyślić. Nie przestawali pić. Łykali pełne szklanki szybko, jak się łyka niesmaczne lekarstwo.

Kim mogli być ci chłopcy? – zastanawiał się. – Czym mogli się zwyczajnie zajmować? Nie wyglądali na takich, którzy się uczą czy pracują. Lecz w takim razie, kto ich utrzymywał? Ubrania, które mieli na sobie, brudne i zmiętoszone, były przecież dobrego gatunku. Skąd posiadali środki, aby je kupić? Jak je zdobywali? Kim byli ci, którzy ich rękami dokonywali zamierzonych przez siebie czynów?

Poprzedniego dnia otrzymał od Alda tytoń, więc z przyjemnością zapalił fajkę. Kelner przyniósł mu filiżankę mocnej kawy, kieliszek i otwartą, do połowy opróżnioną butelkę whisky.

– Whisky przysłali tamci panowie, żeby pan się napił.

Spojrzał w stronę ich stolików. Jeden z zarośniętych młodych ludzi, ubrany w koszulę

wojskowego kroju, zrobił z daleka niezbyt wytworny, ale zapraszający gest. Kiwnął głową i nalał sobie do kieliszka. Oddał kelnerowi butelkę.

– Niech pan im to zwróci.

Tamten otrzymawszy z powrotem butelkę spojrział na nią jakby ze zdziwieniem, potem skierował wzrok ku Andrzejowi. Andrzej pokazał mu z daleka, że ma nalany kieliszek.

Młody człowiek wybuchnął gromkim śmiechem. Zanosząc się od śmiechu, coś powiadał towarzyszom, wskazując raz po raz na Andrzeja.

W kawiarni zjawił się Aldo. Przechodził obok stolików, przy których siedzieli młodzi ludzie. Kilka głosów coś krzyknęło w jego stronę, nie wyglądało to jednak na zaproszenie. Raczej na kpiącą zaczepkę. Także jeden z tamtych próbował swoim peemem zastawić drogę przechodzącemu. Był jednak pijany, peem wymknął mu się z ręki. Powitali hałaśliwy upadek broni nowym huraganem śmiechu.

Aldo podszedł do stolika Andrzeja.

– Dawno pan już tu siedzi? Wyspał się pan?

– Wyspałem. Na pańskie polecenie dano mi śniadanie. Pańscy koledzy poczęstowali mnie nawet kieliszkiem whisky.

– To nie są moi koledzy! – rzucił.

– Pan Dino nie jest pańskim szefem?

– Dino kieruje całym komitetem, wszystkimi wchodzącymi w jego skład grupami – wyjaśnił. – Ale ci to tylko jego ludzie. Nie wiem, skąd ich nabrał. Owszem, kiedyś wciągnął mnie do swojej grupy...

Po twarzy Alda przemknął grymas, jakby tamto wspomnienie nie było zbyt przyjemne.

– Należał pan do nich, a potem odszedł?

– Tak... Nie podobało mi się. To nie dla mnie... – Z twarzy Alda nie schodził ten sam grymas. – Ale Dino zgodził się... – Zmienił temat. – Wie pan, kręcił się niedawno samolot zwiadowczy. Widać Algierczycy chcą zobaczyć, co się tu dzieje...

W południe mały samolocik zwiadowczy pojawił się znowu nad lotniskiem.

Przeleciał, zatoczył krąg. Zniżył się, przemknął nad samą płytą lotniska, na której leżał wciąż jeszcze dymiący kadłub spalonego samolotu. Powtórzył ten manewr kilka razy.

W końcu poszedł znowu w górę. Krążąc na wysokim pułapie, wystrzelił czerwoną rakietę. Jeszcze zatoczył dwa koła, jakby oczekiwał odpowiedzi na swój sygnał. Ale odleciał nie otrzymawszy odpowiedzi i niczego nie zobaczywszy, gdyż ludzie na rozkaz Dina pozostawali cały czas w budynkach, a auta, którymi przyjechali, zostały starannie zamaskowane.

Z tego, co mu powiedział Aldo, Andrzej wiedział, że grupa Dina nie miała połączenia radiowego ze światem. Aparat nadawczy, który znajdował się na lotnisku, został zniszczony podczas walki przez partyzantów. Drugi aparat był w samolocie i także uległ zniszczeniu. Mogli jedynie odbierać nadchodzące wezwania małym tranzystorowym aparatem. Jednak większość apeli nadawano po arabsku i nie mogli ich zrozumieć. Przyszły jedynie wezwania od Alitalii, domagające się wiadomości o życiu zakładników. Pytano zwłaszcza wiele razy o Motte. W mniejszym stopniu troszczono się o życie turyńskiego bankiera, który był jednym z pasażerów samolotu, oraz o ludzi załogi. Innymi pasażerami nikt się nie interesował.

Andrzej nie miał co robić przez cały dzień. Nie mógł wyjść z hotelu, więc tylko krążył między swym pokojem a kawiarnią. Aldo zjawiał się i znikał. Jedni ludzie Dina szli na jakieś placówki czy patrole, inni na ich miejsce przychodzili do kawiarni, aby pić, jeść, gadać i grać w karty. Niektórzy układali się na skórzanych kanapach i spali. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy, jeśli się nie biją i nie piją, nie wiedzą, co ze sobą zrobić.

Gdy Andrzej zjawiał się w kawiarni, zaraz podchodził do niego czarny kelner.

Przynosił mu kawę lub proponował konserwę, którą wciąż, puszka za puszką, rozgrzewał na gazowej kuchence. Andrzej już wiedział, że kelner nazywa się Żuki. Przy każdym spotkaniu wymieniali ze sobą kilka słów. Czując się coraz mocniej współtowarzyszami niedoli, dzielili się posiadanymi wiadomościami.

– Ci panowie – mówił Żuki – ciągle są bardzo czujni. Kilku poszło tam za wydmy.

Widać stamtąd obserwują drogę. Zabrali mi rower. Wygląda na to, że boją się, aby ich ktoś niespodziewanie nie zaskoczył. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze stąd nie odeszli.

– Mówiłem panu, że czekają na kogoś ze swoich.

– Sam nie wiem, co lepiej. Boję się, gdy są, i boję się ich odejścia, bo myślę, że mnie wtedy zabijają.

– Dlaczego by mieli zabijać?

– Mówiłem panu. Nie będą chcieli zostawić świadków. Zresztą wiem...

– Co pan wie?

– Coś słyszałem... Oni pilnują mnie. Nie spuszczają ani na chwilę z oczu. Nawet gdy pójde na moment do swego pokoju, zaraz mnie któryś woła... Ja...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale gwałtownie zamilkł. Wyraz przerażenia pojawił się znowu na jego twarzy. Szybko rzucił po swojemu, nie poruszając prawie wargami:

– Przyszedł pan Dino... Idzie w tę stronę...

Wyprostował się, przyjął postawę kelnera, który obojętnie czeka na zlecenie. Ale w jego oczach żarzył, się lęk.

Dino wolno, kołysząc się w biodrach, zbliżył się do stolika Andrzeja. Wydawał się w doskonałym humorze. Oczy mu błyskały kpiąco. Andrzej jeszcze go takim nie widział. Za nim, jak nieodłączny cień, szła Sylwia.

– Witam pana, maestro. – Nie podał ręki, tylko pomachał uniesioną dłonią. – Jak się pan czuje? Doszedł pan już do siebie po tych wszystkich historiach?

– Dziękuję, doszedłem.

Dino usiadł na kanapie, założył nogę na nogę. Gestem dał znak Sylwii, aby siadła także. Rzucił Zukiemu:

– Dobrej, mocnej kawy. Tylko pospiesz się.

Sięgnął po papierosy. Poczęstował Andrzeja i Sylwię. Pozwolił sobie podać ogień.

– Więc za dwa dni spotkanie z Benuzzim – oznajmił. – Dostanę za pana forszę, uwolnię pana i skończą się pańskie zmartwienia. – Zaśmiał się. – A może pan to uważa za cynizm? – zapytał. Przymrużył oko. – Albo za rozbój?

Andrzej wzruszył ramionami.

– Nie podejmuję się kwalifikowania tych spraw – rzekł. – W taki sposób zdobywa dziś wielu fundusze na różne cele i myślę, że wszystko zależy od samego celu. Na podstawie tego, co słyszałem od pana Alda, jesteście ruchem ideowym...

– Oczywiście, oczywiście. – Ale Dino mówił to tak, że trudno było zgadnąć: kpi czy mówi poważnie. – Jesteśmy ruchem ideowym. Są ideały większe i mniejsze. Każdy ideał potrzebuje pieniędzy i my na nasze potrzebujemy ich także. Nawet dużo. Jak pan myśli – odchylił się do tyłu, oparł brodę na rękę i wpatrzył się w Andrzeja – chyba koncert, który

reprezentował pański przyjaciel, dyrektor Karwatt, nie jest instytucją aż tak godną, aby nie wypadło jej naciągnąć na większą sumkę?

Chwilę namyślał się nad odpowiedzią.

– Nie znam koncernu, nie wiem nawet dokładnie, czym się zajmował i zajmuje.

Karwatt był moim przyjacielem z czasów młodości. Przez długie lata nie spotykałem się z nim. Przyjechałem do niego... i zaraz zostałem przez panów porwany...

Dino śmiał się chwilę, jakby usłyszał dobry, ale dyskretny żart.

– Mogę panu opowiedzieć coś niecoś o działalności koncernu. Zajmują się ciekawymi robótkami. Biorą na przykład forszę za uwalnianie rozmaitych terytoriów od radioaktywnych odpadków. Koncern ma swoje statki, za dobrą opłatą zabiera ukradkiem niebezpieczne resztki...

– Mówiono mi, że jest to akcja o charakterze społecznym...

Dino wybuchnął wesołym rechotem.

– O, na pewno, na pewno. Tylko, że ci, którym to świństwo wysypie się do morza blisko brzegu, uważają to za zwykły bandytyzm.

– Do morza? O tym nie słyszałem. O ile wiem, taka rzecz jest zakazana międzynarodowymi układami.

Płowobrody mężczyzna machnął lekceważąco ręką.

– Międzynarodowe układy? Bzdura! Póki kraje będą się bawiły atomową produkcją, będą wysypywać resztki do morza. Niech się tą sprawą martwią profesorowie i naukowcy. Ale koncernowi pana Karwatta nie wystarcza pełnienie usług śmieciarza. Jego statki podpływają cicho do brzegu. Kapitan porozumiewa się z kimś dość wysoko postawionym. Oczywiście nieoficjalnie. Zapytuje grzecznie: Ile zapłacicie, abyśmy koło was nie wysypali? Zaczyna się targ. Koncern jest potężny, bezpieczniej z nim nie wojować. Stokroć lepiej

zapłacić. Czasami proponuje się: A może byście tak wysypali swój ładunek przy brzegu kraju, z którym nie jesteśmy w najlepszych stosunkach? Co? My wam zapłacimy, a wy zrobicie tamtym maleńkiego psikus. A że koncern jest instytucją handlową, stosuje się do zasady: nasz klient – nasz pan, więc... Znowu wybuchnął śmiechem. Chichotał długo. Ale zmrużone od śmiechu oczy utkwione były cały czas w Andrzeja. Nagle przestał się śmiać. Powiedział poważnie, a jego błękitne oczy, na nowo szeroko otwarte, błysnęły, jakby zapalił się w nich ogień.

– Tamci to robią dla zwykłego, brudnego interesu. Ale gdy się ma taką rzecz w ręku, można wymusić ustępstwo dla sprawy naprawdę wielkiej. Po co bawić się w porywanie samolotów, głupie, drobne szantażyki... Dawniej, gdy zjawił się człowiek z koncepcją, jakiś Napoleon czy Hitler, zaczynał wojować ze wszystkimi. Po co? Napadnięci zbierają się do kupy, na wojnę odpowiadają wojną. Sam pan powiedział, że ważny jest cel. Prawda? – Pochylił się do przodu, ton jego głosu stał się nagle twardy i groźny. – No co, mam rację? – zapytał.

Zniósł nacisk wzroku Dina. Bawiąc się papierową serwetką, którą składał w mały wachlarzyk, powiedział:

– I tym razem nie podejmuję się oceny, muszę tylko powiedzieć, że nie sądzę, aby Benuzzi chciał zapłacić aż tak wiele za moją osobę.

Dino jeszcze przez chwilę patrzył z naciskiem na Andrzeja. Potem roześmiał się.

Wrócił do mówienia po swojemu – kpiąco i wyzywająco:

– Jest pan skromny, ale pańska skromność nie jest pozbawiona realizmu. Nie wiem jednak, czy pan wie, że mamy w rękach jeszcze kogoś, na kim Benuzziemu może zależeć więcej niż na panu?

– Myśli pan o córce Karwatta? – zmarszczył brwi.

– Właśnie – twarz Dina rozpromieniła się. – Widzę, że Aldo i o tym panu powiedział.

– Owszem. O ile jednak pojąłem, nie jest ona zakładnikiem w waszych rękach. Jest waszym, jak by to nazwać, współnikiem...

– Zgadza się. Ale...

Znowu poczuł wwiercające się spojrzenie Dina. Płowobrody mężczyzna mówił teraz wolno, cedził słowo za słowem:

– Można by rzecz przedstawić inaczej... Pan, rozmawiając z Benuzzim czy z kimś innym w przyszłości, mógłby powiedzieć, że byliście porwani oboje... Wtedy sprawa byłaby prosta, jasna.

– Benuzzi wie, że jechałem, aby się dopiero spotkać z córką Karwatta. Nawet nie wiedziałem wtedy, jak wygląda. On sam odprowadzał mnie na lotnisko.

Dino parsknął śmiechem.

– Skoro pan powie Benuzziemu, jak było, on będzie wierzył. I nie tylko on. Zdarzają się na świecie niezwykle wydarzenia. Mogliście się spotkać w samolocie...

– A cóż na to panna Karwatt?

– Nie ma tu jej w tej chwili. Nawet jeszcze nie wie o śmierci ojca. Ale mogę dać panu za nią odpowiedź: gotowa jest na takie właśnie załatwienie sprawy. – Położył łokcie na stole, znowu pochylił się ku Andrzejowi. – Niech pan posłucha. Jeżeli się teraz dogadamy, zwolnię pana już jutro. Po co pan ma czekać do jej powrotu? Odeślę pana od razu do Benuzziego. No cóż, jak się to panu podoba? A może teraz uważa pan, że to jest nieuczciwa transakcja? Ale zastanówmy się. Ona jest dziedziczką schedy po Karwacie. Prawda? Jeżeli gotowa jest sprzedać siebie za własne pieniądze, to co? Nie ma prawa tego zrobić? A jeśli to jest po prostu forma, aby dać na cel, któremu się służy...

Akcentował słowa ruchem dłoni. Jego oczy ciągle zmieniały wygląd: to tężały,

stawały się niemal groźne, to znowu skrzyły się jakby rozpierającą człowieka ideą. Andrzej siedział oszołomiony niespodziewaną propozycją. Nie wiedział, co o niej sądzić.

– Nie myślę – zaczął wahająco – aby ten pomysł był czymś bardziej niewłaściwym niż cała wasza akcja. Wydaje mi się jedynie, że wyprawa do Benuzziego w sprawie panny Karwatt nie jest potrzebna. Skoro ona, jako spadkobierczyni, chce wam dać pieniądze, wystarczy poczekać, aż wróci i to zrobi...

Dino potrząsnął głową.

– Jest pan naiwny, kochany maestro. Zanim panna Karwatt zacznie dysponować swoimi pieniędzmi, upłynie wiele czasu. Nawet jako główna akcjonariuszka koncernu będzie musiała pertraktować ze współakcjonariuszami. Natomiast dla jej wykupienia koncern wyłoży od razu każdą żądaną sumę.

Ma rację – przemknęło przez głowę Andrzeja. A mimo to było w nim coś, co podświadomie budziło sprzeciw wobec żądania Dina. Ten sprzeciw był jednak niejasny, a Dino nie spuszczał z niego oczu. Była w nich zimna bezwzględność. Wpijały się w twarz Andrzeja jak pazury. Czuł, że tamten nie zna wahań ani wątpliwości. Pojął, dlaczego jego osoba napełnia takim strachem Zukiego. Czarny kelner musiał wyczytać już wcześniej w spojrzeniu Dina, kim jest ten człowiek. Lecz właśnie może ta twardość budziła sprzeciw. Perswazji ulegał łatwo – wobec nacisku pojawiał się w nim opór.

– Wolałbym się namyślić... – bąknął.

– Szkoda czasu! – rzucił Dino. Z jego głosu zniknął wszelki ton żartobliwości. Pojawił się natomiast gniew. – Niech pan się decyduje od razu. Jeśli pan powie: tak, wysyłam auto z panem jutro rano...

Nie powiedział, co będzie, jeśli Andrzej powie: nie. Ale Andrzej nie miał wątpliwości.

Przypomniał sobie, co mu powiedział Aldo: „Gdy Dino na kogoś zagnie palec, dla tego

człowieka nie ma ratunku”. Ostatecznie rzeczą ważną dla obu kontrahentów była osoba dziewczyny, nie jego. To, że jego włączono do kalkulacji, miało charakter drugorzędny. Miał być tylko świadkiem. Ale tam, gdzie nie ma świadków, same strony stają się świadkami.

– Więc... tak – wykrztusił.

Dino skinął głową w taki sposób, jakby to, co usłyszał, było odpowiedzią jedynie oczekiwaną.

– Wobec tego rano jedziecie – powiedział. – Ty – zwrócił się do Sylwii – i pan. Pojadą z wami Enzo i Nazzaro. Także zabierzcie Alda, rozumiesz? Powiesz Benuzziemu, że gdy tylko przyjmie nasze warunki, dostanie Teresę... – Obrócił się do Andrzeja: – Co pan ma zamiar robić, teraz?

– Chyba pójdę do swego pokoju...

– Niech pan idzie i niech pan dobrze wypocznie przed drogą. Wyjedziecie wczesnym rankiem. I niech pan przypadkiem nie wybiera się na wycieczkę na pustynię... Nie radzę – zaśmiał się sucho, w jego śmiechu nie było wesołości. – Nie radzę – powtórzył. – Tę babkę z dzieckiem, która się wybrała na taki spacer, znaleźli moi ludzie nieżywą. Sahara nie nadaje się do samotnych pieszych spacerów.

Andrzej wstał i bez słowa odszedł. Tamci zostali przy stoliku.

Oddalając się słyszał, jak Dino przywołał Zukiego. Twardo, nie patrząc na niego, wydawał jakieś polecenia.

Leżał w łóżku wpatrzony w sufit, na którym zamierały ostatnie plamy dnia. Wziął prysznic i zmył z ciała upał. Choć dzień był pełen żaru, nie odczuł tego zbyt dotkliwie, przesiedziawszy cały czas w budynku. Wprawdzie urządzenia klimatyzacyjne nie działały, ale pozasłaniane żaluzjami okna utrzymywały we wnętrzu znośną temperaturę.

Myśl jego krążyła nieustannie wokół wymuszonej zgody. Ciągle wracał ten sam nieumotywowany niczym sprzeciw. A jednak, rozważając na nowo sprawę, nie mógł dostrzec żadnych logicznych zastrzeżeń, domagających się, aby się żądaniu Dina oparł. Jeśli dziewczyna przekáže do Benuzziego: „Jestem porwana”, któż zaprzeczy jej słowom? Jeśli zechce dać pieniądze, które odziedziczy po ojcu, któż ją przed tym powstrzyma?

A jednak – myślał – może ja się po prostu boję tego człowieka? Cóż, lęk byłby usprawiedliwiony... Żuki trzęsie się, gdy na tamtego spojrzy. To nie jest tylko zręczny aktor, który zgrywa się na wielkiego działacza. Umiał porwać samolot, umiał rozprawić się z opornymi sojusznikami, teraz rozgrywa sprawę z Benuzzim. Kilka rzuconych mimochodem słów Alda budziło niepokój. Jeśli ten chłopak, jakże inny niż ci wszyscy, czytelnik jego książki, poeta układający musicale, odzeglunający się od koleżeństwa z ludźmi Dina, jest jednocześnie temu Dinowi ślepo posłuszny, widać istnieje siła, która go do tego zmusza. Jeśli córka Jerzego poszła za tym Dinem, musi być w nim coś... Ale co? Czy tylko groza, która narzuca posłuszeństwo? Nie byłby pisarzem, gdyby nie wyczuł w słowach tamtego, niejasnych i nie dopowiedzianych, zarysu czegoś, co wydaje się jednocześnie wielkie i przerażające. Czegoś, co może porwać. Choć w nim samym wywoływało sprzeciw, jakby magia tamtego człowieka nie działała na niego.

Gdyby chodziło tylko o niego samego! Gotów był złożyć wszelkie oświadczenie, aby tylko uzyskać wolność, spokój, możliwość powrotu do Stagnes. Nie czułby wtedy żadnych

skrupułów. Ale ta obietnica dana Karwattowi. Obietnica wymuszona równie bezwzględnie, jak przed chwilą słowo „tak”. Od samego początku wywoływała w nim rozdrażnienie. Mimo wszystko czuł, że to, co na niego zrzucano, będzie musiał podjąć. O ileż więcej teraz, kiedy Jerzy nie żyje. Ani się pozbyć tego ciężaru. I trzeba nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, żeby oddana jego opiece dziewczyna była w gronie porywaczy!

Pamiętał ją, jak wstała ze swego miejsca w samolocie w naciągniętej na twarz masce. Potem widział ją przechodzącą – już bez maski -: między rzędami foteli. Zainteresowała go jej twarz, jak każda twarz kobieca. Nie była może ładna, jednak miała coś pociągającego. Zapamiętał to: niezwykła mieszanina typów – mocno zarysowane kości policzkowe, lekko skośne oczy... To było zrozumiałe, skoro była córką Kathy. Kiedy wysiadali z samolotu i partyzanci prowadzili ich do hangaru, stała na płycie obok Dina. Wtedy myślał o niej ze złością. Wydała mu się taka młoda, a jego gniewała młodość tych, którzy go porwali. Wszystko się zgadzało: i to, co mówił Jerzy, i to, co mówił Benuzzi. Była związana – z grupą młodych, dążących do swoich nieznanych im a niepokojących celów. Skoro wzięła udział w porwaniu, musiała się także zgadzać na wszystko inne. Może była nawet w tym gronie kimś ważnym? Może tym „niepoważnym” narzeczoną, o którym wspomniał sekretarz, był Dino? Ale jeżeli to jego miał Benuzzi na myśli – to się grubo mylił. To nie był ktoś „niepoważny”. To był ktoś straszny...

Sprzeciwiać się temu człowiekowi nie jest rzeczą rozsądną. Sprzeciwiać się, jeśli dziewczyna jest jego towarzyszką – tłumaczył sobie – to jest zupełny nonsens. O co chodzi? Jutro o tej porze mam być wolny. Nie ja, ale Benuzzi będzie się z nimi układał. Tutaj Dino ma rację: koncern nie zasługuje na to, aby bronić jego interesów. Sam Karwatt mówił, że dokonywane przez nich transakcje uważane są za brudne. Ten proceder wysypywania radioaktywnych odpadków do morza jest czymś oburzającym. Stało przed nim

wspomnienie sprzed kilku miesięcy. Zatrute zostały całe ławice ryb przy brzegu Norwegii.

Wciąż słyszało się o wypadkach zatrucia ludzi, którzy jedli ryby. Helle opowiadała wstrząśnięta o dzieciach odwożonych samolotami do szpitali. Niektóre podobno nie wróciły.

Były wypadki śmiertelne. Przez parę tygodni o niczym innym się nie mówiło w Stagnes.

W całej okolicy nikt nie jadł ryb. Tysiące rybaków znalazło się w nędzy. Jakies pismo napisało, że zatrucie spowodowane było wysypaniem do morza w pobliżu brzegu substancji radioaktywnych. Ale ta wzmianka była jedyna i nie została powtórzona. Inne pisma milczały.

Władze wydawały uspokajające komunikaty. Wyglądało na to, że usiłują fakt przemilczeć. Po pewnym czasie zapewniono, że alarm był fałszywy i ryby są zdrowe. Tyle spraw działo się codziennie – i ta sprawa poszła w zapomnienie.

Kto wie, czy tamto nie było dziełem jednego ze statków koncernu? Może to oni zatruli morze, a potem przekupili prasę? Może krył się za tym jakiś układ? Lecz jeśli oni będą ciągle zatruwali morza, w końcu wszystko zostanie zatrute...

Nie ma co ich żałować! Pieniądze, które zbił koncern, są pieniędzmi pochodzącymi ze zbrodni. Tylko co z tymi pieniędzmi zrobią ci młodzi? Dino mówi o jakichś wielkich celach. Ale co to są za cele? Co to za wielka sprawa? Czy pomagając córce dawnego przyjaciela, aby oskubała instytucję stworzoną przez swego ojca, nie przyczynię się do tego, że jedna zbrodnia zastąpi drugą?

W końcu zapadł w sen, w płytki sen, w którym człowiek nieprzerwanie zdaje sobie sprawę z nękających go myśli. Nawet we śnie pocieszał się. Mimo wszystko zyska wolność.

Kłopotami będzie się musiał zająć Benuzzi. Dziewczyna znajdzie sobie męża i tym samym narzucona opieka przestanie obowiązywać. On sam wróci do Stagnes. Może już jutro wieczorem będzie się mógł połączyć telefonicznie z Helle? Nie ma się co tak bardzo przejmować Dinem... Helle już się na pewno niepokoi. Gazety musiały powypisywać

przerażające historie. Helle – to był prawdziwy port ucieczki... Niech przyjdzie potop, byleby on mógł przedtem odjechać do Stagnes!

Budząc się raz po raz uświadomił sobie, że wieczór przemienił się już w noc. Godziny ciekły leniwie, ciało to pokryte było błotem, to znowu kąsał je chłód.

Nagle obudził się i uświadomił sobie, że ktoś stoi obok jego łóżka. Otworzył oczy.

Blask księżycy sączący się przez żaluzje wypełniał pokój srebrną mgiełką. W tej mgiełce dostrzegł ciemną sylwetkę ludzką.

– Kto tu? – zapytał, gwałtownie siadając na posłaniu.

Człowiek wydał ciche syknięcie. Zbliżył się do łóżka. Plama blasku padła na twarz tamtego, lecz nie wydobyła jej z mroku. Zaśniły tylko oczy. Cichy głos zaszemrał:

– Niech pan nic nie mówi... To ja, Żuki... Musiałem przyjść...

Czarny kelner przykucnął przy łóżku. Prawie dotknął swymi wełnistymi włosami skroni Andrzeja.

– Musiałem... Tam... oni... planują coś niedobrego... Słyszałem pana rozmowę z tym Dinem...

– Jak pan mógł słyszeć?

– Wszystko słyszałem... Nikt nie wie, że przy bufecie jest urządzenie... To kiedyś kazała zrobić policja... Gdy się włączy, można słyszeć, co się mówi przy stoliku... Zacząłem słuchać... Martwiłem się o pana... Pan był dobry dla mnie... Pan nie taki jak oni...

Wargi Zukiego dotknęły ucha Andrzeja. Poczuł, jak drżą.

– Pan ma jutro jechać, prawda? – szeptał recepcjonista. – Oni tak z panem ułożyli...

Ale potem słyszałem, jak rozmawiali ze sobą... Ta dziewczyna, o którą chodzi, nazywa się Teresa, prawda?

– Tak.

– Oni powiedzieli panu, że ona chce... Ale jak byli sami, mówili, że będzie z nią kłopot... Że uparła się... Że jeśli się jej nie zmusi... Czy pan to rozumie?

– Jeszcze nie...

– Ta Sylwia mówiła, że trzeba będzie ją zmusić. Że koniecznie trzeba ją przywieźć, czy chce, czy nie chce, a w razie oporu trzeba dać zastrzyk... Bo wszystko już ułożone...

Tamten się zgodził. Za dziewczynę da statek... Pan rozumie, co to znaczy?

– Zaczynam rozumieć...

– Jak tak, to dobrze. Bo ja nie rozumiem. Czy to ważne, co ja panu powiedziałem?

– Bardzo ważne.

– Allach jest wielki. Powiedziałem i uciekam... Jeśli oni zobaczą, że wyszedłem z pokoju, zabiją mnie...

Zerwał się i natychmiast utonął w wypełniającej pokój mgłę. Cicho szczęknęły drzwi.

Andrzej spuścił nogi. Oparłszy łokcie o kolana i trąc dłońmi policzki, zestawiał w głowie usłyszane wiadomości.

A więc to tak? Dziewczyna nie chce uchodzić za zakładnika.

Dlaczego? Nie wiem i w tej chwili chyba nie zgadnę. To dlatego zamierzają wysłać mnie wcześniej do Benuzziego. Ją chcą zmusić. Sylwia doradzała zastrzyk. Chyba nie chcą dziewczyny zabić? Wszystko ułożone... Zgodził się... Kto? O jakim statku oni mówili? Była mowa o tych statkach wywożących odpadki radioaktywne... Statek dla nich? Jak to Dino powiedział: „gdy się ma w ręku taką rzecz...”

Mniejsza o te ich układy! Jedna sprawa jest istotna – dziewczyna nie chce tej transakcji. Nie wiem, na czym opiera się jej sprzeciw. Wyglądało na to, że jest z Dinem. Współdziałała w porwaniu, stała obok niego na płycie lotniska. Jakies ich spory... Jednak skoro ona tego nie chce... Jeśli mówi się o zastrzyku, który ma ją przymusić... Jakikolwiek są

jej motywy, nie mogę postąpić wbrew jej woli. Nie znam jej, nie zamieniłem z nią słowa, jednak Jerzy prosił. Nie mogłem mu odmówić i teraz muszę... Do licha z zobowiązaniami, które wiążą człowieka wbrew jego woli!

Lecz w takim razie, co mam robić? Sprzeciwić się wyjazdowi? Ten człowiek nie zna wahania w drodze do swoich celów. Zabije mnie. I czy moja śmierć pomoże coś dziewczynie? Przecież to ona jest tu główną postacią intrygi. O nią idzie targ. Za nią, nie za mnie, ma Dino otrzymać statek... Cóż z tego, że ja zginę?

Wobec tego próbować uciekać? Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Hotel jest obstawiony ludźmi Dina. Jeśli nawet wymknę się, znajdę się w pustyni. Albo mnie odnajdą i zabiją, albo czeka mnie los tamtej kobiety. I znowu nic dobrego z tego nie wyniknie dla dziewczyny.

Co za głupia sprawa! Dlaczego Karwatt właśnie jemu wepchnął na głowę swoją córkę? Szukał go po całej Europie, aby go obdarzyć tą opieką. Rozstali się przed dwudziestu z górą laty. Kiedy się rozstawali, nie było między nimi najlepiej. Nie ułożyło się między kobietami... Brenda nie lubiła Kathy czy też może Kathy nie lubiła Brendy? W każdy razie Brenda miała do niego o tamtą jakieś pretensje. Głupstwa... Brenda nie nadawała się na jego żonę. Była głupią, zapatrzoną w siebie gąską. A on był już wtedy pisarzem. Pisarz jest człowiekiem, którego nie można wtlaczać pod strychulec zwykłych spraw... Ale między nim i Jerzym nie padły żadne złe słowa. Jerzy uważał go zawsze za przyjaciela. Potem wprawdzie przez dwadzieścia lat nie wiedzieli nic o sobie... I to właśnie jego Karwatt wplątał w całą tę kabałę!

Nagle stanęło przed nim: Aldo! Ten chłopak mówił o dziewczynie tak, jak się mówi o kimś, kogo się kocha... Był inny niż ludzie Dina. Nawet wypierał się wspólnoty z nimi. Może to on jest tym „niepoważnym” narzeczonym? On także boi się Dina – to widać. Może

nawet tym więcej, że go lepiej zna. Ale skoro kocha tę dziewczynę... I on ma także jechać...

Trzeba się z nim koniecznie porozumieć. Trzeba mu powiedzieć, co powiedział Żuki.

Pamiętał, że pokój Alda znajdował się obok. Spojrzał na zegarek. Była druga. Teraz wszyscy mocno śpią.

Z palącą się zapałką w ręku podszedł do drzwi. Cicho je otworzył. Drżąc wysunął się na korytarz. W budynku panowała głęboka cisza. Od podłogi biło chłodem. Zapałka zgasła.

Szedł po omacku sunąc dłonią po ścianie. Po chwili jego dłoń natrafiła na framugę drzwi. To chyba tu? A jeżeli się omylił? Jeżeli tam za drzwiami śpi ktoś inny? Serce biło mu tak mocno, że słyszał jego łomotanie. Namacał klamkę w kształcie metalowej gałki. Chwilę trzymał ją w dłoni. Wciąż dygocząc pokręcił gałką. Drzwi lekko stęknąwszy ustąpiły. Cicho wśliznął się do pokoju. Zatrzymał się w ciemności cały roztrzęsiony. Słyszał wyraźnie oddech śpiącego.

Powoli, wysunąwszy przed siebie rękę, posuwał się w stronę łóżka. Jego palce dotknęły poduszki, a potem rozsypanych na niej włosów.

– Proszę pana... – powiedział cicho. – Proszę pana. Niech się pan obudzi...

Ręka natrafiła na ramię śpiącego. Spokojny oddech stał się nagle inny: rwany, krótki, przypominający szloch. Potem odezwał się jękliwy głos:

– Czego chcecie ode mnie? Nie zdradziłem... Niczego nie zdradziłem!

Słońce leżało na samym grzbiecie górskiego łańcucha, ślizgało się po nim i kładło świetlistymi smugami na gładkie jak kamienna płyta niebo. W powietrzu wisiał jeszcze ciągle nocny chłód. Auto gdzieś ukryte w ciągu dnia ciężko warcząc zjawiało się przed hotelem. Był to mocny wóz pochodzenia niewątpliwie wojskowego. Nie miał cywilnych numerów rejestracyjnych, natomiast na jego bokach widać było ślady po starannie wydrapanych kolorowych znakach w kształcie tarcz.

Na przednim siedzeniu siedziało dwóch młodych ludzi z długimi włosami i bujnym zarostem. To musieli być wspomniani przez Dina Enzo i Nazzaro. Obok swych siedzeń mieli uczepione peemy. Z tyłu wóz tworzył małą platformę z ławkami po bokach. Mogło na nich siedzieć po sześciu ludzi z każdej strony. Z tyłu auta sterczał mocny hak dla przyczepy lub dla działka.

Andrzej i Aldo usiedli obok siebie z jednej strony. Naprzeciwko nich usiadła Sylwia w długim, szarym płaszczu. Okręciła sobie twarz cienką apaszką.

Dino, który wyszedł także przed hotel, lustrował uważnym spojrzeniem odjeżdżających.

– No, dobra – powiedział. – Wiecie wszyscy, co macie robić. Gdyby się wam zdarzyło trafić na ludzi Jussufa, nie wdawajcie się z nimi w strzelaninę. Wóz jest szybki. Gaz do dechy i wiejcie! Rozumiecie?

– Wszystko będzie fajnie – rzekł Enzo, który siedział przy kierownicy.

– Wiesz, że zrobimy tak, jak poleciłeś – powiedziała dziewczyna. – Andrzej zauważył szybkie, lękliwe spojrzenie Alda. – Zawsze jest wykonane, co rozkażesz. Choć ty nigdy...

Nie skończyła, gdyż Dino groźnie zmarszczył brwi. Zrobiła tylko grymas, który miał być może grymasem kokieterii, lecz na jej twarzy robił wrażenie naburmuszonej miny

obrażonego dziecka.

Dino nic nie powiedział. Machnął dłonią i rzucił krótko:

– Jedźcie!

Auto ruszyło od razu bardzo szybko, podnosząc wirujący ogon pyłu, który zasłonił lotnisko z okopconym kadłubem spalonego samolotu i sterczące, czarne resztki hangaru.

Andrzej i Aldo znowu spojrzeli na siebie. Ale zaraz musieli się złapać za uchwyty, aby nie wypaść z miejsc na zakręcie.

W nocy, pochyleni nad stolikiem, patrzyli na małą mapkę. Szosa, którą miała wracać Teresa, i ta, którą teraz jechali, była tą samą szosą, która zataczała łuk na południe, aby dotrzeć do lotniska, a potem zaraz wracała na północ. Oba ramiona łuku znajdowały się początkowo blisko siebie, potem dopiero rozbiegały się w dwóch różnych kierunkach.

„Gdybyśmy w tym miejscu – położył palec na mapce – zawładnęli autem, moglibyśmy jadąc wprost przez pustynię i omijając lotnisko, dostać się na tamto ramię. I wtedy spotkalibyśmy ją, gdy będzie wracała...” Na mapce wyglądało to całkiem realnie. Ale mapka była mała, nie pokazywała terenu. A poza tym – trzeba było zawładnąć autem...

Gdy wyłożył swój projekt, Aldo nie zaprotestował, ale z jego zachowania

wywnioskował, że chłopak jest śmiertelnie przerażony. „Ich będzie dwóch... I Sylwia... – bąknął. – Będą uzbrojeni... Enzo i Nazzaro, oni są mocni... Bardzo niebezpieczni...

Najbardziej oddani Dinowi. Zawsze, gdy Dino chce coś ważnego załatwić, wysyła ich...” –

Chłopak nagle zatrzęsł się, podniósł na Andrzeja przestraszony wzrok. „Po co on mi kazał jechać z wami? Ja przecież... Czy on nic nie powiedział?” „Nic. Po prostu wyliczył, kto

pojedzie. Pewno zna pańskie uczucia do dziewczyny i nie chce, aby pan był, gdy będą ją

zmuszali, by spełniła ich wolę”. „Tak, to możliwe... – na chwilę w głosie Alda pojawiła się

jakby ulga. Ale tylko na chwilę. – Nie, nie... Byłem mu potrzebny. Teraz już nie jestem. On

nie lubi niepotrzebnych... A może mnie podejrzewa?...” „Szkoda tracić czas na zastanawianie się. Musimy zdecydować”. „Tak, rzeczywiście...” „Pan ją zna. Dlaczego ona nie chce zgodzić się na plan Dina?” „Teresa? Czy ja wiem? Ona jest czasami dziwna. Ale jak powie nie, to nie ustąpi”. „Dino chyba także?” „Dino? Na pewno. Jeśli coś postanowi, nie cofnie się. A kto by chciał mu się sprzeciwić...” „W takim razie musimy ją ratować. Musimy uprzedzić. Pan kocha ją?” „Och, proszę pana. Tak. Bardzo”. „Tak mi się wydawało. Dlatego tu przyszedłem... Czy ma pan inny plan?” „Nie...” „W takim razie musimy spróbować”.

„Zginiemy... Ale dobrze...” „Musimy spróbować i nie zginąć. Od tego zawisło jej bezpieczeństwo. Ma pan broń?” „Mam pistolet. Nawet dwa”. „Niech pan da mi jeden. To już jest coś”. „Czy pan jednak wie, jacy to ludzie?” „Nie mamy wyboru, jeśli nie chcemy jej zostawić w rękach Dina”. „To prawda. Musimy... Musimy ją ratować... Wie pan, mówiłem jej, że miłość to nie tylko to, co się samo zjawia. O miłości można się przekonać, prawda?”

Powiedział: „tak”, ale bez przekonania. Zresztą to nie była chwila do rozmawiania o miłości. Obaj drżeli z podniecenia pochyleni nad maleńką mapką. Po co ja się w to mieszam? – myślał Andrzej. – Więcej niż trzydzieści lat nie miałem broni w ręku. Jestem stary, a tamci są młodzi, silni, nawykli do zabijania. Jak daleko ma sięgać opieka nad córką innego człowieka? To, co kiedyś łączyło mnie z Karwatem, nie istnieje; tej dziewczyny nawet nie znam. Sama wkopała się w całą historię. Ostatecznie co jej grozi? W najgorszym razie dadzą jakiś oszałamiający zastrzyk i wydadzą ją Benuzziemu. Zależy im na tym statku. Nie koncern, ale oni będą zatruwali morza i zdobywali szantażem pieniądze. Może nie tylko pieniądze? Może ci ludzie pragną czegoś więcej. „Gdy się ma taką rzecz w ręku...”

Nie będę przecież walczył przeciwko szaleńcom, którzy chcą w taki sposób zdobyć władzę nad światem! Jest od tego ONZ, – są wojska rozmaitych krajów. Mój czas wojowania skończył się. Biłem się kiedyś w powstaniu. Nie były to może żadne specjalne wyczyny, choć

miałem przestrzeloną rękę. Ale byłem młody. I walczyli wszyscy. Tylko nieliczni kryli się po piwnicach. Teraz jestem człowiekiem poważnym. Gdyby ten Aldo był bardziej bojowy... Ale on boi się.

A jednak... głupia rzecz, lecz to przyrzeczenie nie daje spokoju. Karwatt był moim przyjacielem. Pomagał mi... Nie mogę jakoś nie wyrównać rachunku... Nie mógłbym spokojnie wrócić do Stagnes wiedząc, że ją przehandlowali za ten statek...

Spojrzał na twarz chłopaka smaganą przez wiatr. Aldo obwiązał sobie głowę chustką. Bez zarostu, z długimi, rozwianymi włosami wyglądał jak dziewczyna. Jego sylwetka robiła wrażenie delikatnej. Mężczyźni na przednim siedzeniu mieli szerokie bary, grube karki, żyłaste dłonie. Gdyby umiał przyłożyć im pistolet do pleców, strzelić, nim chwycą za peemy... Ale czuł, że nie wystrzeli, póki nie zobaczy ich broni skierowanej w siebie. A wtedy może być za późno...

Spojrzał na zegarek. Już czas. Za chwilę ramiona szosy zaczną się od siebie oddalać.

Zaczną rosnać odległość, jaką muszą przejechać pustynią. A dziewczyna już może wraca.

Jeśli mają działać, muszą to zrobić teraz.

Ich plan opierał się na improwizacji. Powiedzieli sobie”: skorzystamy z okazji. Nie ustalili, kto będzie tym, który rzuci hasło. Na twarzy Alda czytał wciąż przerażenie i niepewność. Mrugnął zachęcająco. Tamten nie odpowiedział. Może nie zrozumiał, czego Andrzej od niego chce, a może zawiodła go odwaga. Sekundy biegły. Szosa zbliżała się do ściany skalistego łańcucha. Gwałtownym przyływem woli przemógł się. Trącił w ramię Enza, który był kierowcą.

– Musimy stanąć... Na chwilę... Proszę...

Ale tamten potrząsnął tylko głową. Coś odkrzyknął, czego Andrzej nie dosłyszał.

Auto mknęło dalej nie zwalniając. Trzeba było się zdecydować, spróbować czegoś nowego.

Napięcie uległo rozproszeniu. Na nowo musiał zebrać odwagę. W głowie miał szum, brakło mu jakiegoś pomysłu.

Nagle uświadomił sobie, że jednak auto zwalnia. Jechało coraz wolniej, wreszcie stanęło na boku szosy. Enzo obejrzał się.

– Co? Przypiliło pana? – zapytał śmiejąc się.

– Tak... Ale... Tutaj otwarta przestrzeń...

– Krępuje się pan Sylwii? – parsknął grubym śmiechem. – Ona nie taka... Nie zleknie się niczego...

– Jednak... – ociągał się patrząc na Alda, czekając, że może chłopak wystąpi teraz z jakąś inicjatywą.

– No, schodzi pan czy nie?

Zobaczył, że Enzo zeskakuje także.

– Widzi pan ten kamień? – wskazał ręką Andrzejowi na skalnym rumowisku sterczący głaz podobny do małej kolumnienki, oddalony o kilkadziesiąt kroków. – Pójdziemy tam zrobić pi-pi.

Daleko od niej, aby nas nie urzekła... – Znowu roześmiał się hałaśliwie. Zarzucił peem na ramię. – Chodźmy.

Ruszył wielkimi krokami. Andrzej usiłował dotrzymać mu kroku. Idąc, dotknięciem dłoni sprawdził, czy ma pod marynarką dany przez Alda pistolet. Jeszcze się obejrzał. Sylwia siedziała na swym miejscu tyłem do odchodzących. Ponad jej ramieniem zobaczył utkwiony w siebie wzrok Alda. Wciąż nie wiedział, czego może oczekiwać od chłopaka. Przypomniało mu się natarcie na katedrę. „Żebyś tylko potrafił was poderwać w odpowiedniej chwili” – martwił się podchorąży przed uderzeniem. Nazzaro zeszedł z auta i podniósł jego maskę. Zdjął z ramienia peem, oparł go o koło.

Teraz albo nigdy – myślał – muszę go rozbroić. Jeśli na wezwanie nie rzuci broni, strzelę... Podniósł wzrok na idącego obok mężczyznę. Enzo szedł uśmiechnięty, pogwizdując. Andrzej nieznacznie wsunął dłoń w zanadrze, namacał palcami kolbę pistoletu.

I wtedy właśnie niespodziewanie stracili grunt pod nogami. Nie dostrzegli, gdy nagle otworzyło się przed nimi urwisko. Wymijając szybko kilka wielkich głazów, które zasłaniały głęboki ued, nie potrafili się zatrzymać, gdy znaleźli się na jego krawędzi. To była jedna z niespodzianek pustyni: głazy kryły głęboki i nawet dość szeroki rów niewidoczny z szosy. Stoczyli się na jego dno razem z potokiem szurgoczących piargów. Ale kiedy chcieli zerwać się na nogi, powstrzymał ich głos stojącego nad nimi człowieka. Miał głowę owiniętą szeszem i lufę peemu skierowaną w ich stronę. Ciemna twarz przecięta była jakby dwiema krzyżującymi się liniami: na poprzek ust biegła długa blizna. Poznał Jussufa.

Przez chwilę panowała cisza. Lufa peemu, opatrzona tłumikiem ognia, kołysała się nad nimi niby głowa węża gotującego się do uderzenia. Śmierć – pomyślał. Lecz nagle zobaczył, że przekrojone usta rozchylają się i błyskają w nich zęby w szerokim uśmiechu.

– *Cest toi? Polonais? Tu est vivant? Comment?* Odpowiedział niepewnym śmiechem:

– To ja...I Lufa peemu przesunęła się; wisiała teraz tylko nad Enzem.

– Odwrócić się! – padł rozkaz. Gdy Enzo obrócił się twarzą do ziemi, Jussuf przyklęknął na nim. Zręcznie i szybko związał mu za plecami dłonie. Wstał, zarzucił na ramię oba peemy: swój i ten, który przy upadku wypadł z ręki Enza.

– Wstawaj – powiedział do Andrzeja. Wyciągnął rękę, aby mu pomóc stanąć na nogi.

– Żyjesz? To dobrze...

Teraz dopiero zobaczył, że ued dalej rozszerza się. Ukryte pod skalnym nawisem stały trzy wielbłądy, a obok nich dwaj brodaci starzy Arabowie w białych burnusach. Obaj zbliżyli się, podeszli bliżej. Patrzyli z zaciekawieniem na to, co się stało. Jeden coś powiedział po

arabsku, na co mu Jussuf odpowiedział w tym samym języku.

Potem zwrócił się do Andrzeja. Pokazał palcem w stronę szosy. Zapytał:

– Ilu tam w aucie?

– Dwóch.

– Dobrze. – Znowu rzucił coś' po arabsku starym. Przesunął peem w pozycję bojową.

Zawołał: – Idę!

– Pójdę z tobą.

Jussuf spojrzał na niego i zaśmiał się szeroko. Uderzył go dłonią w ramię:

– *Bon! Toi et moi camarades!*

Zsunął z ramienia peem Enza i podał Andrzejowi.

– *Polonais camarade* – powtórzył.

Brzegi uedu tworzyły strome urwisko. Ale kilkadziesiąt kroków dalej było łagodne osypisko, po którym można było wyjść bez trudu. Gdy znaleźli się na równinie, zobaczyli, że przy aucie toczy się walka. Aldo trzymał Nazzara na ziemi pod groźbą skierowanego na niego peemu. Ale Sylwia skoczyła na niego z tyłu. Darła mu policzki paznokciami, usiłowała wsadzić palce w oczy.

– Nie strzelaj! – zawołał do Jussufa bojąc się, aby ten, nie orientując się w sytuacji, nie skierował ognia w Alda. – Ani ty! – krzyknął do Alda.

– On z tobą? – zapytał partyzant.

– Ze mną.

– Twój przyjaciel, mój przyjaciel...

Co za farsa! – przebiegło Andrzejowi przez głowę. Patrzył na ogłupiałe miny Alda, Sylwii i Nazzara, miał ochotę śmiać się.

Jussuf związał przede wszystkim Nazzara. Sylwii nie związał. Zebrał peemy, także ten,

który dał przed chwilą Andrzejowi, i ten, którym zawładnął Aldo.

– Broń potrzebna – powiedział. – Auto także. Pojedziecie ze mną.

Andrzej potrząsnął głową. Wyjąwszy z kieszeni kawałek papieru i narysowawszy na nim pętlę szosy, usiłował wytłumaczyć Jussufowi, dokąd chce się dostać. Tamten słuchał go uważnie, ze zmarszczonymi brwiami, z zaciśniętymi ustami. Blizna pobladła, tworzyła jasną smugę na ciemnej twarzy. Kiedy Andrzej powiedział, że potrzebuje auta na przejazdy przez pustynię, Jussuf przerwał mu:

– Nie, nie! Auto nie! – Gestem zwiniętej dłoni usiłował pokazać, jakie są na pustyni nierówności terenu. – Auto tamtędy nie pojedzie... Auto mnie potrzebne... Ty jedź ze mną... On – wskazał Alda – może także jechać...

Na nowo zaczął tłumaczyć Arabowi, dokąd chce jechać i że bardzo mu się spieszy.

Jussuf i tym razem słuchał uważnie. Potem nagle dał znak ręką, jakby wzywał do cierpliwości. Złożył dłonie w trąbkę i coś zawołał kilka razy w stronę, gdzie znajdował się niewidoczny ued. Po małej chwili ukazali się starzy Arabowie. Jeden prowadził Enza, drugi ciągnął na lince wielbłądy.

– Ty – powiedział Jussuf, kładąc dłoń kolejno na piersi Andrzeja i Alda – ty i ty pojedziecie z nimi. Tam – ruchem ręki wskazał kierunek przez pustynię. – Idris – wskazał jednego z Arabów – zawiezie was. Ja mu powiem. Wielbłądy przejdą, auto nie przejdzie. Będziesz tak samo prędko... Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Auto zabiorę. Także broń. Wy nie potrzebujecie. Ty wrócisz do domu, prawda?

– Wrócę.

– Ja nie chciałem ciebie zabijać. To Mohammed. Ja mu mówiłem: Polak przyjaciel...

To on...

Chciał coś jeszcze dalej tłumaczyć, ale szybko zabrakło mu słów. Zniecierpliwiony machnął tylko ręką. Stał przed Andrzejem – człowiek z blizną, która nadawała jego twarzy wyraz dziwnie okrutny, ale w jego czarnych oczach malowała się przyjaźń, którą na próżno usiłował wypowiedzieć słowami. Jakże skomplikowane są sprawy ludzkie! – myślał Andrzej.

– Gdzie jest wróg, a gdzie przyjaciel? Kto jest z nami, a kto przeciwko nam?

– Dobrze – powiedział. – A co z tymi? – wskazał Sylwię i ludzi Dina.

– Ich trzeba zabić – twarz Jussufa nawet nie drgnęła, gdy to mówił. Zdjął z ramienia jeden z peemów.

– Nie, nie! – gwałtownie sprzeciwił się. – Dość zabijania!

– Trzeba zabić – Jussuf mówił spokojnie, bez podniecenia. – To wrogowie... Jak ich nie zabijesz, oni będą zabijali.

– Nie! Nie! – opanowała go taka porywczosć, że nie panował nad słowami. – Nie!

Dość zabijania! Przestańmy się zabijać! Nie chcę zabijać! Nie chcę, aby zabijano!

Rozumiesz?! Rozumiesz?!

– Nie chcesz zabijać? – w głosie Araba było jakby zdziwienie. – Ja też nie chciałem zabijać... Ale zabili moich... W obozie... Przyleciały samoloty, rzuciły bomby... Trzeba zabijać...

– Nie, nie – upierał się. – Nie zabijaj! Proszę cię! Nie, nie!

Jussuf wzruszył ramionami. Z powrotem zarzucił peem na ramię.

– Jak chcesz. Ty przyjaciel – powiedział.

Wrzucił zabraną broń do auta. Siadł przy kierownicy, uruchomił motor. Jeszcze się obrócił. Powiedział:

– Allach niech będzie z tobą.

Biegi zazgrzytały. Auto ruszyło od razu ostro, prawie natychmiast zniknęło w tumanie

kurzu.

– Nie rozumiem – powiedział Enzo. – Z kim pan jest: z nami czy z nimi?

– Ani z nimi, ani z wami! – odpowiedział. Jeszcze w nim wszystko dygotało. – Jestem z tymi, którzy mają dość bezsensownego zabijania!

– Bzdura! – rzucił Enzo. – Cholerna bzdura! Głupiec z pana! Mogliśmy zrobić dobry interes...

Znowu poczuł, że go ponosi gniew.

– Mam dosyć interesów, za które się płaci życiem ludzkim!

Starszy z Arabów, nazywany przez Jussufa Idrisem, podprowadził Andrzejowi wielbłąda i gestem wskazał mu, aby siadł na niego. Wielbłąd, który ukląkł, dźwignął się z bolesnym stęknieniem.

– A co z nami? – rzucił Enzo. – Chcecie nas pozostawić związanych?

– Gdy odjedziemy, ta pani was rozwiąże – powiedział. – Wróćcie sobie szosą. To niedaleko. Na wieczór zajdziecie.

– Psiakrew! – zaklął Enzo. – W taki upał! Też się znalazł łaskawca!

Sylwia podniosła na Andrzeja czerwoną z gniewu twarz.

– Ostrzegam pana. Nie mówię do Alda, bo on jest głupcem. Dobrze powinien wiedzieć, co czeka tych, którzy zdradzają Dina. Ale pana ostrzegam. Dino jest człowiekiem, jakiego drugiego nie ma na świecie. On robi rzeczy wielkie...

– Dotychczas widziałem, jak w imię tych wielkich rzeczy zabijał i oszukiwał.

– Ach, to pan jest taki! – Nadęła twarz, jakby chciała plunąć.

Arabowie zawołali i wielbłądy zeszły z szosy na skalne rumowisko. Andrzej jechał na końcu. Nie odjechali daleko, gdy usłyszał nad głową świst. Przeleciał ciśnięty kamień.

Obrócił się. To rzuciła dziewczyna.

– Głupcy! Zobaczcie! – zawołała. W jej głosie pienił się gniew, jakby przemieszany ze łzami.

Nie odpowiedział. Jego wielbłąd drobnym truchtem dogonił towarzyszy. Szosa zniknęła. Nad głową mieli płomienne niebo, pod kopytami wierzchowców pustynię coraz bardziej nasiąkającą żarem.

Część piąta

Telefon zaterkotał dyskretnie. Zawiadomiono go z recepcji:

– Przyjechał *monsieur* Benuzzi.

– Proszę poprosić, aby zaczekał w barze na dole. Już schodzę. Rozłączył się i zaraz nakręcił wewnętrzny numer.

– Czy to pani, pani Tereso?

– Ja.

– Jest Benuzzi. Na dole, w barze. Schodzę do niego.

– Niech pan powie temu łobuzowi, co o nim myślę.

– Nie omieszka tego zrobić. Ale sądzę, że będzie lepiej, gdy tymczasem

porozmawiam z nim, nic mu nie mówiąc o obecności pani w hotelu. Proszę się więc nie pokazywać, dobrze?

– W porządku.

Opuścił pokój. Hotel był nowy, przeznaczony głównie dla turystów zagranicznych.

W swej konstrukcji był dobrze pomyślany, ale zbudowany tandetnie. Ciągłe coś się w nim psuło: to urządzenia klimatyzacyjne, to światło, to woda, to żaluzje. Do pokoju należał duży

balkon ocieniony kolorową markizą. Z balkonu odkrywał się widok na porośnięte zielenią

wzgórze. Wśród drzew kryły się małe wille. Niegdyś niewątpliwie luksusowe, dziś

przedstawały obraz kompletnej dewastacji. Między wzgórzem i hotelem rozciągał się teren,

na którym znajdowało się kilka basenów kąpielowych. Dolatywał stamtąd wesoły gwar.

Migały smagłe ciała w bardzo kolorowych kostiumach. Woda w basenach miała barwę

nienaturalnego aż błękitu. Dwa ostatnie baseny oddzielała od innych wysoka przegroda

zaciągnięta pasiastą materią, ale z balkonu można było zobaczyć, że w tamtych basenach

kąpią się ludzie bez kostiumów. Zarządca hotelu, urodziwy Kabyl o brwiach zrosniętych nad

nasadą nosa, powiedział z przekąsem do Andrzeja, gdy poprzedniego dnia rozmowa między nimi zeszła na temat basenów: „Staramy się zaspokoić życzenia wszystkich naszych gości. Ale do tamtych basenów nasze kobiety nie chodzą. Nie dopuścilibyśmy do tego! Jeśli Europejczycy czy Amerykanie chcą tego dla siebie i dla swoich kobiet – to ich sprawa. My mamy własne poglądy”.

Szeroki korytarz doprowadzał do wind. Andrzej zjechał na dół. Już przez siatkę otaczającą windę zobaczył sylwetkę Benuzziego przypominającą filmowego amanta. Dawny sekretarz Karwatta? siedział na kanapce pod ścianą, ze stopami zanurzonymi w puszystym dywanie. Wstał na widok zbliżającego się Andrzeja.

– *Buongiorno, signor professore*. Jakże się cieszę, że widzę pana całego i zdrowego.

Czemu można zawdzięczać tę szczęśliwą okoliczność?

Mimo gorącego powitania Andrzejowi wydało się, że zachowanie Benuzziego jest nieco mniej uniżone niż dawniej. A może po prostu w jego postawie była lekka niepewność?

Wyraźnie jednak starał się ją przezwyciężyć.

– Co mogę zaproponować? O ile pamiętam, lubi pan campari?

– Owszem. I chętnie się napiję.

– Czekam tego, co pan powie, z prawdziwą niecierpliwością. Przed paroma dniami zgłosiła się do mnie niejaka signorina Notti. Sylwia Notti. W imieniu porywaczy samolotu. Zapewniłem ją, że sprawa złożenia okupu za pana jest czymś oczywistym. Tymczasowy zarząd koncernu nie będzie miał w tej sprawie żadnych zastrzeżeń. Dowiedziałem się także rzeczy nieoczekiwanej, że w samolocie, do którego, jak pan pamięta, sam pana odprowadzałem, była także Teresa... To znaczy, chciałem powiedzieć: córka dyrektora Karwatta...

Zatrzymał się i spojrzał na Andrzeja. Ten skinął głową.

– Rzeczywiście, zgadza się...

Benuzzi robił wrażenie człowieka, który oczekuje na dalsze słowa. Jego

wypielęgnowane dłonie przesuwały się tam i z powrotem po brzegu stołu. Ale Andrzej milczał. Nie doczekawszy się niczego więcej, Benuzzi podjął:

– Powiedziałem tej panie Notti, że sprawa wykupu panny Teresy jest również sprawą oczywistą... To było akurat następnego dnia po śmierci dyrektora... Pan już wie o tym, naturalnie?...

– Wiem.

– Jest bardzo możliwe, że to wiadomość o porwaniu samolotu, która dotarła do dyrektora, wywołała gwałtowny atak sercowy.

O tym, że w samolocie była również jego córka, dyrektor nie wiedział. Gdyby i to jeszcze...

Znowu urwał. Patrzył na Andrzeja czekając, co usłyszy. I tym razem Andrzej pozostał w postawie słuchającego.

– No, cóż – mówił Benuzzi – to chyba wszystko, co mogę powiedzieć. Śmierć dyrektora, choć liczyliśmy się z tą możliwością, wywołała pewne zamieszanie. Byłem bardzo zajęty. Wiele spraw tylko ja znałem i tylko ja mogłem o nich powiedzieć komitetowi akcjonariuszy i przedstawicielowi tymczasowego zarządu... Oczywiście rozmowy z panną Notti były prowadzone na zasadzie dyskrecji. Ale ledwo porozumieliśmy się, zaczęły napływać wiadomości niepokojące. Prasa podała, że zerwane zostały pertraktacje, że nie wiadomo, co się dzieje z zakładnikami. Algierska agencja informowała, że przelatujący samolot widział wrak spalonego samolotu... Zaczęliśmy się niepokoić. Mimo braku wiadomości udałem się, jak to było ułożone z panną Notti, do Tunisu. Według układu tam miano przywieźć pana i pannę Teresę... Okup miał być jednocześnie przekazany

w Trypolisie...

Chrząknął i podniósł rękę do ust. Ale zaraz ją opuścił. Andrzejowi przyszło do głowy, że elegancki sekretarz ma skłonność do gryzienia paznokci.

– Wczoraj znowu opublikowane zostały nowe wiadomości – podjął. – Rząd algierski przystąpił do akcji. Oddział spadochroniarzy wylądował na lotnisku. Nikogo nie odnalazł żywego, jedynie spalone trupy... Nie zidentyfikowano nikogo. Jeszcze nie zdołałem ochłonać po otrzymaniu tej wiadomości, gdy przyszła depesza od pana, że jest pan w Algierze...

Tym razem Benuzzi zatrzymał się na dobre.

– Zanim opowiem panu moją wersję wydarzeń – powiedział Andrzej zapalając fajkę – pozwoli pan, że postawię panu pytanie.

– Ależ proszę, naturalnie. – W Benuzzim wciąż jeszcze odzywał się dawny usłużny sekretarz.

– Czy pan rozmawiał z tą panną Notti pierwszy raz, gdy przyszła zawiadomić pana o porwaniu samolotu?

Benuzzi obrzucił Andrzeja szybkim spojrzeniem.

– Właściwie – zaczął – co to ma wspólnego z ostatnią historią? Ale skoro pan sobie życzy... owszem, poznałem tę panienkę wcześniej...

– Nie robi wrażenia osóбки efektownej, więc jeśli rozmawialiście ze sobą, to chyba nie w celach towarzyskich?

– Były, rzeczywiście, pewne sprawy...

– Opowiadał mi pan kiedyś o znakomitym interesie, którym za pana poradą zajął się koncern.

– Opowiadałem? Być może... Sądziłem, że jako bliski przyjaciel dyrektora Karwatta może pan znać wszystkie, nawet sekretne sprawy naszego przedsiębiorstwa...

– To prawda, że dyrektor nie ukrywał przede mną waszych interesów, nawet tych, które nie były całkiem czyste. O tym jednak pańskim wspaniałym pomysle nie usłyszałem od niego. Dowiedziałem się o nim dopiero w czasie mojej przygody.

– Od panny Teresy?

– Od niej dopiero na końcu. To właśnie mnie zastanowiło. Początkowo myślałem, że porwała nas grupka zwariowanych ludzi, opowiadających o mętnej rewolucji młodych. Ale potem nabrałem przekonania, że za porwaniem samolotu kryje się jakaś większa *combinazione* i że chodzi o cele o wiele bardziej konkretne...

Tym razem z twarzy Benuzziego opadł wyraz ugrzecznienia. Stała się nagle twarda, prawie równie bezwzględna, jak twarz Dina. Ton głosu stał się także od razu inny.

– Nie rozumiem – rzucił – po co te wszystkie wymądrzone pytania? Między panem i dyrektorem istniał stosunek, który nazywaliście przyjaźnią. To wasza sprawa. Natomiast sprawy konsorcjum nie powinny pana obchodzić. I lepiej niech pan do nich nosa nie wtyka!

Radzę panu...

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan mówił grzeczniej. Nie lubię takiego tonu. Być może, nie zainteresowałbym się nigdy waszymi aferami. Ale w grę weszła osoba córki dyrektora Karwatta, nad którą, jak pan dobrze wie, miałem objąć opiekę...

– Jej tu nie ma!

– Rzeczywiście.

– Nie wiem nawet, czy żyje...

– Żyje.

Twarz Benuzziego znowu zmieniła się. Opuścił ją wyraz twardości, ale nie odzyskała swego dawnego wyglądu twarzy ugrzecznionego sekretarza. Piękne rysy skrzywił grymas, jakby bólu.

– Gdzie jest?

– Za chwilę się pan dowie. Chciałbym wpierw opowiedzieć panu swoją wersję wydarzeń. Był pan jej ciekaw.

– Niech pan mówi.

– No, cóż... Pan wie, że zostaliśmy porwani, że siedzieliśmy zamknięci na tym saharyjskim lotnisku. Potem doszło do rozprawy między przyjaciółmi panny Notti a grupą miejscowych partyzantów i w wyniku tej rozprawy pasażerowie zginęli. Wyszedłem z tego cało i dzięki temu miałem stać się obiektem transakcji handlowej, omówionej między panem a panną Notti. To była zresztą transakcja drugorzędna... Główna transakcja dotyczyła osoby córki dyrektora Karwatta, nieprawdaż?

– Mówiłem panu: chodziło o wasze bezpieczeństwo. Zrobiłem wszystko, co mogłem...

– Nie wątpię. Tylko, widzi pan, przy okazji ujawniła się sprawa ceny, jaką gotów był pan, w imieniu koncernu, zapłacić za pannę Karwatt. Okazało się, że skłonny jest pan odstąpić tamtej grupie nawet swój wspaniały pomysł, z którego, o ile pamiętam, był pan niezwykle dumny...

– Uważałem, że sprawa bezpieczeństwa panny Teresy jest warta najwyższej ceny.

– Ale pan wiedział, że panna Teresa nie jest zakładnikiem. I wiedział pan, co ona myśli o pańskim pomysle.

– Skąd pan wnosi, że wiedziałem? To insynuacja!

– Czy układ o wydaniu panu córki dyrektora Karwatta, nawet gdyby przyszło do użycia siły, nie wyjaśnia wszystkiego?

Benuzzi nie powiedział nic. Po jego twarzy przemykały blaski i cienie, jakby rzucała na nią światło lampa o obracającym się kloszu, na którym namalowane są różne ornamenty. Na valentinowskiej twarzy pojawiał się to wyraz gniewu, to znowu zaskoczenia.

- Widzę, że pana nie doceniłem – mruknął wreszcie. – Nie przyszło mi do głowy, że pan tyle zdoła wywęszyć. Ale jeszcze raz panu mówię: niebezpiecznie się pan bawi.
- Nie lubię niebezpiecznych zabaw. Ale sami zmusiliście mnie do tego.
- Jeśli tamci wyjdą cało, nie chciałbym być w pana skórze.
- Sądzę, że Algierczycy potrafią ich unieszkodliwić.
- Gdzie jest panna Karwatt?
- Tutaj. Chciałby pan z nią porozmawiać?

Niechętnie wzruszył ramionami, jakby mu proponowano coś, co jest bezwartościową stratą czasu.

- Co zamierzacie zrobić?
- Zgłosiliśmy się do tutejszych władz.
- Idiotyzm! Ja, skoro się przyzna do udziału w porwaniu, czeka sprawa sądowa. Będzie miała masę nieprzyjemności. Koncern skompromituje się. Może się nawet skończyć bankructwem. Ona była zawsze szalona, ale pan wygląda na rozsądnego...

- Naprawdę?
- Trzeba było wpierw naradzić się ze mną. Mój pomysł nie był zły. Dino i tamci chyba z tej afery nie wyjdą...
- Więc jednak uważa pan, że rewolucja młodych dobiega swego końca?
- Nie ma pan mnie chyba za wariata? Kto by w taką rewolucję naprawdę wierzył.

Chodziło o interes.

- Przypominam sobie, że pytałem pana kiedyś, po której jest pan stronie w konflikcie starych i młodych. Odpowiedział mi pan wtedy, że jest pan zawsze po stronie interesu. Widzę, że nie zmienił pan zdania.

Benuzzi rozjaśnił twarz i zrobił gest, jakby chciał potwierdzić słowa Andrzeja. Ale po

chwili zreflektował się, skrzywił, jakby go coś zabolalo.

– Pan oczywiście kpi – powiedział. – Proszę bardzo. W interesach tak bywa: raz się wygrywa, drugi raz przegrywa. A że jestem człowiekiem, który ceni interes, to takim zrobili mnie moi starzy. Także pański przyjaciel, dyrektor Karwatt... Nie tylko ten Dino miał swoje pomysły. Wasze pokolenie także... Tylko, że wy uważacie się za niewinnych. Zawsze za niewinnych. Jak Teresa nazwała Karwatta trucicielem, to tak się przejął, że trzeba go było od razu odesłać do sanatorium dla umarłaków. Panu nic takiego nie powiedziała?

– Dlaczego miałyby powiedzieć?

- Może miałyby powód – uśmiechnął się złośliwie. – Jest pan teraz jej prawnym opiekunem. Dyrektor Karwatt załatwił to jak najbardziej formalnie.

– Sam pan mnie pocieszał, że opieka nad nią skończy się, gdy tylko wyjdzie za mąż.

– Ona pewno powiedziała panu, że chciałem się z nią ożenić?

– Mówiła.

– Gotów to byłem zrobić dla jej ojca. Ona nie w moim guście...

– Liczył pan, że jako zięć Karwatta zajmie pan z czasem jego miejsce w koncernie?

– Może...

– Jeśli będę miał wpływ na jej wybór, będę ją namawiał, by wybrała kogoś z mniej genialnymi pomysłami.

– A może to pan sam miałby ochotę na młodą dziewczynę z forszą?

– Pańskie rady są perwersyjne, panie Benuzzi!

– Rzeczywiście... – znowu po jego ładnych ustach przewinął się złośliwy uśmiech.

Powoli wstał. Dyskretnym ruchem podciągnął mankiety, które wysunęły się zbytnio z rękawów. Przesunął palcami po kancie spodni. Przyglądał błyszczące włosy.

– Myślę, że do niczego nie dojdziemy – powiedział. – Wobec tego idę. Przyjechał ze

mną urzędnik naszego biura. Przyślę go jutro do pana... Oczywiście, jeżeli panna Karwatt rzeczywiście jest tutaj.

– Jest. Nie chce się pan z nią zobaczyć?

– Nie. Wracam do Mediolanu. Złożę dymisję.

– Woli pan zniknąć zawczasu?

– Nie zginę...

Zrobił ruch, jakby chciał odejść. Ale jeszcze się zatrzymał. Wsunął rękę w kieszeń spodni. Na jego ustach był ciągle ten sam złośliwy uśmiech człowieka, który jeszcze zachował sobie ostatni argument.

– Życzę panu powodzenia w wychowywaniu panny Karwatt – rzekł. – Dyrektor nie miał do tego ręki... A przy okazji chciałbym się jeszcze o coś zapytać, jeśli pan pozwoli.

– Proszę.

– Pan znał nieboszczkę żonę dyrektora?

– Znałem.

– W takim razie niech pan się przyjrzy dobrze metryce panny Karwatt.

Andrzej ściągnął brwi. Zapytał:

– Co pan chce powiedzieć?

– Miałem kiedyś okazję przeglądać notatki dyrektora. Czy nie zdarzyło się panu kiedyś, że leciał pan z panią Karwatt na Majorkę, a wylądował w Barcelonie? Czy tak?

W takim razie wszystko jasne... Prawda?

Zaśmiał się, skłonił i przez puszysty dywan ruszył prosto w stronę recepcji. Przejście było z drugiej strony; z tej strony między hallem a recepcją wznosił się niski murek, który zdobiły doniczki z kwiatami. Ale Benuzzi nie zatrzymał się. Zręcznym skokiem przesadził murek. Uśmiechnięty przeszedł obok recepcji. Zniknął za szklanymi drzwiami.

Andrzej stał w miejscu długo, jakby czekał, że tamten jeszcze powróci.

Minęło dobre pół godziny, zanim zdecydował się nakręcić numer pokoju dziewczyny.

– Benuzzi poszedł sobie. Nie chciał z panią rozmawiać. Chętnie opowiedziałbym pani o naszej rozmowie. Może spotkamy się w barze?

– Z przyjemnością posłucham, ale okropnie nie chce mi się schodzić. Czy nie przyszedłby pan raczej do mnie?

Wyszedł na korytarz. Pokój dziewczyny był na tym samym piętrze w drugim skrzydle.

Minęły go dwie pokojowe: czarnowłose, niskie, smagłe, w niebieskich sukienkach. Zawsze były chętne do każdej pomocy i gdy coś w numerze niedomagało, z zapałem zajmowały się ściąganiem fachowców do recepcji. Wyszczrzyły zęby w domyślnym uśmiechu, gdy zapukał do drzwi pokoju Teresy.

Dziewczyna leżała na zaścielonym łóżku z wysoko podniesionymi kolanami.

Wskazała mu sąsiednie łóżko.

– Niech pan, proszę, kłapnie tutaj. Przepraszam, teraz widzę, że popełniłam wielki nietakt, zapraszając pana do pokoju. To pewno cholernie niewłaściwie, nieprawda?

– Nie widzę w tym nic niewłaściwego.

– Naprawdę? Jestem pewna, że ojciec byłby zgorszony.

– Ojciec pani? Nie sądziłem, że był taki skłonny do gorszenia się.

– Ależ tak. Był po prostu pryncypialny... To nie znaczy, że był surowy. Mówił o moich nietaktach ze smutkiem, nigdy z wyrzutami.

– Pani go kochała?

– Nie... Znowu pewno powiedziałam coś niewłaściwego. Ale ja jestem szczerą. Pana to oburza?

– Raczej dziwi. O ile wiem, ojciec kochał panią bardzo.

- Może. Może po prostu nie umieliśmy się dogadać... Mniejsza z tym. Co Benuzzi?
- Oświadczył, że złoży dymisję. Zrozumiał, że poznaliśmy się na jego kombinacjach.
- Głupi mydłek! Dobrze, że już nie będzie kręcił. Niech pan powie, czy to możliwe, żeby wszystkie świństwa, jakie ojciec kazał robić, były z jego porady?

Chwilę milczał. Patrzył w okno na jasne niebo, z którego lał się słoneczny żar.

- Czy ja wiem?... Byłem przyjacielem pani ojca. Znaliśmy się długie lata... Ojciec pani nie był człowiekiem, który zwykł był robić coś pod czyjeś dyktando...
- Czyli, że wszystko wymyślał sam?
- Nie. To nie znaczy, że nic mu nie można było narzucić. Ale można go było skrzywdzić. Należał do tych ludzi, którzy bronią się twardością. A jedna twardość pociąga drugą. Człowiek popełnia błąd, ten błąd zamienia się w łańcuch błędów...
- I nie można tego łańcucha przerwać? Nie wierzę!
- Nie zawsze człowiekowi dana jest chwila... Ojciec pani bardzo kochał matkę...
- Tak, często o tym opowiadał. Mówił, że jestem do niej podobna... Ale czy naprawdę ją kochał?
- Dlaczego pani pyta?
- Nie wyglądał na takiego.
- Kochał ją naprawdę. Mocno. Zaufał jej.

Poruszyła ręką, jakby odpędzała jakiegoś owada.

- Nie mówmy już o tym... Niech pan lepiej mi powie: co teraz będzie ze mną?
- Będzie pani miała kłopoty.' Stanie pani przed sądem. Ale sama pani uważała, że tak trzeba.
- Bo tak chyba trzeba. Ale co oni mi zrobią? Trochę się boję...
- Sąd na pewno weźmie to pod uwagę, że pani uciekła od Dina i nie dała się użyć do

kombinacji z Benuzzim. Dobry adwokat potrafi to przedstawić...

– Och – skrzywiła się – nienawidzę adwokackich kruczków. Nienawidzę adwokatów.

Sprawiedliwość powinna być taka, że albo jest biało, albo czarno...

– W życiu nie jest nigdy ani całkiem biało, ani całkiem czarno.

– Powinno być. Wcale nie chcę uchodzić za niewiniątko. Ale ja naprawdę wierzyłam...

– W co?

– W tę rewolucję młodych. Roberto nie brał tego poważnie. Ale Dino... Dlaczego on chciał tych statków?

– Nie wiem. Spodziewał się pewno, że przez szantaż zdobywać będzie pieniądze.

A może... Zaczynam podejrzewać, że może za nim także stoi jakiś koncern...

– Cholerny świat! Kraje gotują się do wojny, koncerny zatruwają morza... Najchętniej wróciłabym tam, skąd przyjechałam...

– Do tego świętego miasta?

– Aha. A właściwie nie tyle do miasta, co do tych białych sióstr, u których byłam... To takie zakonnice saharyjskie. Mieszkałam u nich. Nigdy tego nie zapomnę...

– Co tam tak panią zachwyciło?

– Właściwie nie wiem... Ale tam czułam się człowiekiem. Tam nawet o ojcu nie mogłam myśleć źle. Nawet o Benuzzim... Wie pan – spojrzała na niego, a jej jasne, lecz lekko skośne oczy błysnęły – nawet o tej waszej Polsce myślałam bez złości...

– A dlaczego pani myśli źle o Polsce?

– Nie wiem. Nigdy tam nie byłam. Ojciec o niej wspominał... Ale przełożona tych sióstr była Polką... Czy pan kiedy widział białe siostry?

– Nie. Ale mogę sobie wyobrazić ich życie, ich pracę...

– Czasami myślę, że może byłoby dobrze pojechać tam i zostać z nimi na zawsze...

– Mówiła pani, że ma pani inne plany. – Tak... Muszę się zająć Aldem...

– Wyjść za niego?

– O tym będzie czas pomyśleć. Tak naprawdę to mnie do niego nic nie ciągnie.

Przedtem nieraz mówiłam sobie, że gdybyśmy znaleźli się oboje na bezludnej wyspie, to nawet wtedy nic by między nami nie było... Ale on mnie kocha.

– Skoro nic panią do niego nie ciągnie, nigdy go pani nie pokocha.

– Kochałam już kilka razy, a za każdym razem to nie była naprawdę miłość. Może nazywamy tym samym słowem inne rzeczy, jak pan myśli? To on właściwie uratował mnie, prawda?... Sam pan mówił, że podjął walkę. I zbuntował się wobec Dina. Gdyby Dino wyszedł cało, groziłoby Aldowi wielkie niebezpieczeństwo... Nie mogę go zostawić...

– Jeżeli Dino wyjdzie cało... – zaczął, ale nie skończył. – Miejmy nadzieję, że nic już nikomu nie zrobi – rzekł. – Musi pani pamiętać, że staniecie przed sądem...

– Pamiętam. I choćby dlatego musimy trzymać się razem. A właściwie muszę jego trzymać. On, wie pan, wszystko bierze tak nerwowo. Kiedy się go pchnie, to coś zrobi. Ale przedtem... ciężko z nim.

– Może mu pani rzeczywiście pomóc. Stała się pani bogatym człowiekiem...

Niechętnie wzruszyła ramionami.

– Nie chcę tych pieniędzy!

– Pieniędzmi można okupić zło.

– Myśli pan? Bo mnie się zdaje, że ludzie tak siebie tylko pocieszają. A mnie w ogóle nie zależy na forsie. Mam swój zawód. Mogę pracować jako dekoratorka. Malować, wylepiać, robić jakieś artystyczne drobiazgi... Właściwie pociąga mnie to. Pracować, męczyć się, żyć pasją... Czy może być coś bardziej przyjemnego?

Uśmiechnął się ubawiony jej młodzieńczą dezynwolturą.

– Wróci pani do Rzymu?

– Wrócę. Mam pewne zobowiązania. Obiecałam także Aldowi, że będę występowała w „Jezusie – dobrym kompanie”. On to ma na nowo napisać. Jakoś inaczej. A ja przygotowuję nowe dekoracje... Kłopot, że będę musiała wrócić do ciotki. Ona nic nie rozumie. Za stara...

Przepraszam, znowu chlapnęłam, czego nie trzeba...

– Nie. Ma pani rację. Nie jest nam łatwo się zrozumieć: wam, młodym i nam, starym...

– Ech, bo nie umiecie. Chcecie nas uczyć, pouczać. A my potrzebujemy jednego: przyjaciół.

– Przyjaciół?

– Tak. Tamta przełożona od białych sióstr gadała ze mną, jak gadają przyjaciółki.

A była stara. Widzi pan. Ciekawa jestem, jaka by była moja matka, gdyby żyła...

– Co pani o niej wie?

– Nic. Musiała być fajna. Pan ją znał?

– Znałem. Była bardzo piękna. Ale nie miała pani energii. Ulegała łatwo... Zanadto ufała ludziom...

– Kiedy, wie pan, ja naprawdę nie jestem taka, na jaką wyglądam... Chciałabym innym pomagać, a często sama potrzebuję pomocy. Nikogo w Rzymie nie będę miała... Pan wraca do siebie?

– Jeszcze nie wiem. Myślę, że dopóki się sprawa nie wyjaśni, zostanę w Rzymie...

Mogę być potrzebny sądowi...

– To będę mogła z panem czasami pogadać?

– Jeśli tylko rozmowa ze mną coś pani da...

– Spróbujemy się dogadać, dobrze? Aldo okropnie panem zachwycony. Podobno pan

napisał ciekawą książkę. Jak wrócimy, chyba przeczytam...

Uniosła ręce nad głową, zacisnęła pięści, wyprężyła nogi. Przeciągnęła się niby leniwe zwierzątko. W jej zachowaniu nie było żadnego skrępowania. Z dziwnym uczuciem patrzył na jej małe stopy i mocno związane kostki nóg...

– Strasznie jestem zmęczona – powiedziała. – Chce mi się ciągle spać...

– Niech pani się kładzie i śpi. – Spojrzał na zegarek. – Idę do siebie. Mam zamówiony telefon. Dobranoc.

– Dobranoc panu. Dziękuję, że pan przyszedł. A kiedyś opowie mi pan coś więcej o mojej matce, dobrze?

Palił fajkę i czytał gazetę. Aparat klimatyzacyjny cicho warkotał. Na dole nad basenami paliły się lampy i słychać było głosy i śmiechy kąpiących się ludzi. Żar dnia wygasł, mrok pełen był rozkosznego ciepła.

Przeczytał wielki tytuł artykułu: „Zatrucie ryb przy brzegach Korsyki”. Korespondent donosił, że ryby przy brzegach wyspy zostały wytrute na skutek spuszczenia do morza przez miejscową fabrykę zabójczych dla życia odpadków. Zrozpaczeni rybacy zaprotestowali, blokując swymi łodziami port Ajaccio. Doszło do konfliktu z policją... Przy okazji tej wiadomości jakaś dziennikarka wyliczała, że po oceanach pływa stale około dwudziestu tysięcy tankowców, przewożąc ponad półtora miliarda ton ropy. Statki te przy okazji oczyszczania cystern wylewają do morza co najmniej jedną dziesiątą procentu ładunku. Przypominała, że już żeglarze na Kon-Tiki nie mogli myć wodą morską zębów...

Więc jednak – myślał odłożywszy gazetę – proces zatruwania mórz trwa dalej. Jeśli nie będzie tego robił koncern Karwatta, jeśli nie będą tego robili tajemniczy ludzie – jak Dino – będą to robili inni. Nie tylko morza są zatruwane... Zatrutowany jest cały otaczający nas świat. I może każdy z nas jest trucicielem?...

Choć oczekiwał na telefon, zadrżał, gdy aparat zadzwonił. Odrzucił fajkę i gazetę, podniósł słuchawkę.

– *Ne quittez pas, ne quittez pas* – powtarzał głos kobiety. Potem słychać było inny, jeszcze inny. – *Ein Moment, bitte...* – Na koniec odezwał się tak dobrze znany, budzący tyle spokoju głos.

– Helle... – powiedział. Głos mu drżał. – To ja...

– Andrzej! Och, co za szczęście! Jesteś wolny? Skąd dzwonisz?

– Z Algieru. Wszystko w porządku.

– Tak się niepokoiłam. Czy jesteś zdrow? Cały? Byłeś w niebezpieczeństwie?

– Wszystko się dobrze skończyło...

– Kiedy wracasz?

– Jutro odlatuję do Rzymu...

– A do Stagnes?

Przez chwilę zbierał siły. Słowa, które miał przygotowane, uleciały, rozproszyły się jak dym. Pod czaszką była pustka, w której wzbierały falą tysiące wątpliwości.

– *C'est fini? C'est fini?* – jakiś głosik pytał na linii.

– *Non! Ne coupez pas!* Helle! Jesteś?

– Jestem. Kiedy przyjedziesz do Stagnes?

– Ja... Nie wiem... nie wiem, kiedy... Teraz cisza zapanowała po tamtej stronie.

– Helle... Słyszysz mnie?

– Tak... – Głos zabrzmiał dziwnie wyraźnie, pełen spokoju, jakim zawsze promieniował. – Słyszę. Pamiętasz?

– Co mam pamiętać?

– Co ci mówiłam, co ci powtarzałam...

– Pamiętam. Ale...

– Nie tłumacz się. Nie chcę...

– Ale ja muszę... Słuchaj... jestem potrzebny...

– Stagnes będzie czekało... Zawsze...

– Helle!

– Tak się cieszę, że ci już nic nie grozi... Bałam się... Mówiłam...

– Helle...

W słuchawce rozległo się trzaśnięcie, głos się urwał.

– Helle! Helle! – powtarzał.

Znowu tylko słyszał trzaski i stuknięcia. Potem nagle odezwał się bliski głos:

– *Avez vous fini?*

– Nie, nie! Przerwano mi...

– Postaramy się o nowe połączenie. Proszę tymczasem położyć słuchawkę.

Odłożył ją wolno, z jakimś dziwnie bolesnym uczuciem. Helle – myślał. – Jej postawa jest postawą prawdziwej miłości. Innej niż miłość Krystyny, ale uczciwej. Tylko jego miłość była fałszem... Jak okropną rzeczą jest zdać sobie z tego sprawę...

– Myślałem o spokoju dla siebie... – szepnął z goryczą.

Wzrok jego padł na rozłożoną gazetę. Znowu odkrył jakiś artykuł, który mówił, że co piąty mieszkaniec Paryża jest człowiekiem „niezrównoważonym” i że kto wie, czy to niezrównoważenie nie jest wynikiem dwukilometrowej osłonki zapyłonej atmosfery, unoszącej się nad miastem. Oparł głowę na rękę. Zza okna dochodził ciągle wesoły gwar głosów i plusk wody w basenach. Hotel był także pełen dźwięków. Z ciężkim stęknieniem ruszały windy. W barze na dole skrzeczała telewizja. Wszystko przygłuszył na chwilę startujący z bliskiego lotniska samolot. W zakończeniu artykułu jego autor wyrażał niepokój, jak będą żyły za parę lat dzieci, które dziś się rodzą...

Telefon milczał. Andrzej położył się na łóżku. Patrzył w sufit.

– Helle... – szepnął. Ale zaraz poderwał się. Usiadł. Powiedział do siebie przez zaciśnięte zęby: – Nie, nie. Nie czas na odpoczynek...

20 marca 1973 r.